PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM METRO 2033

SZEPTY ZGŁADZONYCH

OPOWIADANIA POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

UNIWERSUM METRO 2033

SZEPTY ZGŁADZONYCH

WYBÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ POLSKICH FANÓW UNIWERSUM METRO 2033

Insignis

Insights

Szepty zgładzonych

Wybór najlepszych opowiadań polskich fanów

Uniwersum Metro 2033

Autorzy

Piotr Jedliński, Komodo, Wojciech Magiera, Ewa „Pani_Cogito” Malinowska, malynosorozec, Paweł Naskręt, Marek Pietrusewicz, Tomasz Przyłucki

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033

Dmitry Glukhovsky, 2009

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2015

Konsultacja merytoryczna

Paweł Podmiotko

Redakcja

Dominika Repeczko | ragana.com.pl

Piotr Mocniak

Pracownia 12a | pracownia12a.pl

Koordynator projektu

Admin_uniwersum

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Zdjęcia wykorzystane na okładce

mężczyzna © Bortn66 | Dreamstime.com; ruiny © Catalin Petolea | DepositPhotos krajobraz © Yorkberlin | Dreamstime.com; niebo i spękana ziemia © Marina Pissarova | DepositPhotos

Projekt logotypu serii

Jacek Doroszenko,www.doroszenko.com

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-63944-92-6

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)
instagram.com/insignis_media

Od wydawnictwa

Antologia *Szepty zgładzonych* to efekt drugiej edycji konkursu na najlepsze opowiadania z *Uniwersum Metra 2033*, ogłoszonego w 2014 roku na forum portalu www.metro2033.pl zrzeszającym polskich fanów postapokalipsy, zwłaszcza autorskiego projektu Dmitrija Glukhovsky'ego. Spośród zgłoszonych prac jury składające się z użytkowników portalu i redaktorów naszego wydawnictwa wyłoniło trzynaście opowiadań, i to one tworzą oddawany w Wasze ręce zbiór.

Zachęceni olbrzymią popularnością pierwszej fanowskiej antologii zatytułowanej *W blasku ognia*, którą wydaliśmy w formie darmowego e-booka (do tej pory 37 tys. pobrań z Google Play Books i 11 tys. pobrań z Apple iBooks, nie licząc pozostałych e-księgarni!) oraz wychodząc naprzeciw oczekiwaniom czytelników, zdecydowaliśmy się na wydanie kolejnego zbioru opowiadań fanów *Uniwersum Metra 2033* drukiem.

Jest to wydarzenie bezprecedensowe – debiutanci otrzymują bowiem szansę dotarcia do wielkiej rzeszy czytelników: niniejsza książka jest wydrukowana w takim samym nakładzie (20 tys. egzemplarzy!) i w identycznej szacie graficznej, jak „regularne" tomy *Uniwersum Metra 2033*.

Szepty zgładzonych dystrybuowane są jako darmowy dodatek do *Ciemnych tuneli* Siergieja Antonowa – najnowszej powieści *Uniwersum*. Antologia ta jest również dostępna w formie bezpłatnego e-booka. To pierwsza na taką skalę promocja twórczości fanów postapokalipsy spod znaku *Metra 2033*!

Wszystkim uczestnikom konkursu serdecznie dziękujemy za udział. Laureatom – gratulujemy publikacji! Rozwijajcie Wasze pisarskie talenty!

A Czytelnikom *Szeptów zgładzonych* życzymy pasjonującej lektury i zapraszamy do wzięcia udziału w kolejnym konkursie – może w roku 2016 w podobnym zbiorze znajdzie się opowiadanie kogoś spośród Was?

Wydawnictwo Insignis

Piotr Jedliński

Iteracja

Kałasznik pamiętał ciemność i różne w ciemności rzeczy.

Błyski, wizje – przemieszane, dziwne.

Wędrówka tunelami, przeprawa przez zawiesinę czerni. Potem baza.

– Nu, bez takich – mówi Kozak.

Geigerniak burczy, jak to ma w zwyczaju. Światłem zwiastowane potwory, straszne, bo ludzkie.

Rozdzierający krzyk:

– To jeden z nich! Strzelać! Zabić!

Wirują w aksamitnej czerni odcienie jaśniejsze, podrygująca latarka rozcina ciemność, tnie i tnie, odcina od ściany sylwetkę, bryłowate monstrum, szpony i krew, i…

…wali się obelisk metalowy, przygniata i ogłusza.

***

Kałasznik przebudził się.

***

Skończyła się wódka. Po tym poznał, że na nic wysiłki, i darował sobie syzyfową pracę oraz płonne nadzieje.

Rana się paskudziła, przed gangreną nie było już ratunku. Gardło suche, usta spieczone, myśli ciemne, ciemniejsze niźli otoczenie. W głowie szum jak z zepsutej radiostacji, w skroniach pulsujące ogniska bólu.

Amfiladą serwisowych pomieszczeń niosły się odgłosy tej podziemnej nekropolii – kakofoniczna symfonia jęków, zawodzenia i incydentalnych

skowytów. Zasnąć nie sposób; ciągle hałas i wizja rychłej śmierci, kłów i szponów albo straszniejszych odeń głodu, odwodnienia i zakażenia.

Wszystkie te lęki i niedobory chociaż tymczasowo zrekompensować dało się wódką – ale wódka się skończyła. W piersiówce pustka.

Z tego też powodu Kałasznik zapłakał, ze zmęczonych wpatrywaniem się w mrok oczu łzy płynęły jak grochy. Nie był to jednak płacz desperata i żałobnika, ale człowieka, który padł ofiarą ironii losu i nie pozostało mu nic innego, jak śmiać się z tego dowcipu.

Oto leżał w dawnej siłowni, z nogami unieruchomionymi przez przewrócony generator, jedną dodatkowo rozoraną do kości, i po osuszeniu piersiówki marzył jedynie o wódce. Jego plecak, upuszczony podczas ataku, leżał dwa metry dalej i wyładowany był butelkami po brzegi. Kilka pewnie się rozbiło, bo poza stęchlizną, pleśnią i zapachem jątrzącej się rany czuł woń alkoholu.

Dwa metry. Blisko, a za daleko. Ba, nie tyle za daleko, ile zupełnie poza zasięgiem. W obecnym położeniu dla Kałasznika nie było różnicy między dwoma a dwustoma metrami. Na metalowej podłodze rozlała się kałuża wódki, on jednak konał o suchym pysku. I śmiał się, a jego zgrzytliwy rechot niósł się echem po podziemnym kompleksie, dołączał do upiornego chóru tutejszej fauny. Broni też nie miał. Zgubił. Chyba. Nie pamiętał.

Skończyła się wódka, pomyślał, a ja zdechnę o suchym pysku. Ja, który zaopatrywałem połowę metra w gorzałę. Ja, baron pijaństwa i hrabia alkoholowej kontrabandy.

Szarpnął się – niespodzianka, niespodzianka, wciąż przygnieciony, bezsilny; stal dociska nogę, nie ma już nawet bólu. Paradoksalnie – brak bólu równa się złej wróżbie. Oto nadchodzi koniec.

Coś przemknęło po podłodze, zapewne szczur. Tuptały po metalu drobne pazurki. Gdzieś z daleka dobiegł przejmujący dźwięk, ni to wycie, ni warczenie, coś pomiędzy, coś zdecydowanie nieludzkiego. Kałasznik nie przejmował się harmidrem. Obawy znikły. W tej chwili nie lękał się żadnych skrzywionych wytworów radiacji, żadnych genetycznych pomyłek i zmutowanych ślepych zaułków ewolucji.

Umieranie, skonstatował, to dziwna sprawa. Niby mówią, że widzisz życie, że odtwarza się jak w tych przedwojennych dziwactwach, w ruchomych obrazkach… w filmach. A tu nic, pustka, pamięć wykastrowana. Nie potrafił przypomnieć sobie, jaki splot wydarzeń przywiódł go do tego miejsca pod zwałami stali. Może z winy szoku. Może wyparł wspomnienia. Może jakowaś z tych anomalii, o których tyle bajdurzy się na stacjach.

Wiedział, gdzie był – kompleks pomieszczeń gospodarczych z wejściem od nieużywanej bocznicy, kilometr od najbliższej stacji. Ziemia zakazana, ziemia nawiedzona, nietknięta przez szabrowników – poza, rzecz jasna, Kałasznikiem i jego śmiałą bandą. Tam, dwa piętra niżej, mieściła się w pełni wyposażona bimbrownia. Gorzelnia na miarę roku 2033.

Co pamiętał sprzed wypadku? Niósł nowy ładunek, ot, typowa przebieżka, realizacja zamówienia dla którejś z sekt; nazwę zapomniał, tyle się ich na stacji rozpleniło. *Nihil novi sub terra*, jak zwykła mawiać Smartna w którymś z dziwnych narzeczy umarłego świata… Smartna! Ona, ona. Była, mignęła – kojarzył rozmowę. Chyba przed powrotem ze stacji. Mieszały się wspomnienia, ścierały, stapiały w niewyraźną plamę. Jeden wielki kleks konfuzji.

W każdym razie pamiętał ją. Gdzieś. Kiedyś. Niedawno. Pamiętał też przybycie do kryjówki. Zapas był przygotowany, Kałasznik napił się dla dodania sobie animuszu, Geigerniak i Kozak chyba też łyknęli, potem wysłali go z powrotem. Albo sam się zgłosił.

Cokolwiek by było, kurs na stację. Drezyna w pomocniczym tunelu zepsuta, wybrał się więc na piechotę trasą, którą pokonał już dziesiątki razy. Szedł albo i biegł, załóżmy, że szedł, nie doszedł – bo… Strach, zapamiętane wrażenie zwierzęcego lęku.

Napadli mnie, pomyślał. Napadli, cholera. Ktoś poważył się wejść w tę dzicz. Śledził? Kto wie, może i śledził.

Gdyby napadli, dodał głos rozsądku, czy leżałbym przygnieciony żelastwem? Czy nie zabraliby łupu?

Dywagacje przerwał nagły raban. Nieludzki dźwięk powtórzył się, zrazu nieznośnie głośny, szczęściem urwał się chwilę później. Zastąpił go odgłos jak najbardziej ludzki. Kroki – jedna osoba, ciężkie buty, równo, jeden za drugim, w wojskowym rytmie. Kałasznik jeszcze niedawno drżał na samą myśl o żołnierzach penetrujących tunele. Teraz tylko czekał i próbował zgadnąć. Kto? Czemu? Czy to wojskowi mnie w opały wpakowali? Nie – oni nie zostawiali żywych. Jeśli zrobiliby nalot na gorzelnię, zostałyby same trupy. Profesjonaliści. Chyba ostatni fachowcy w tym świecie. Medycy leczyli na czuja, mechanicy naprawiali metodą prób i błędów, rusznikarze – kupa śmiechu. Ale siły zbrojne każdej większej stacji, ci szafarze śmierci, działały zawsze rzetelnie i niczego nie pozostawiały przypadkowi.

Rozbłysła latarka, rozcinając kotarę czerni. Jej posiadacz stanął w wejściu do pomieszczenia. Zaświecił po suficie (pęki kabli i stalowa kratownica), po zastawionych śmieciem regałach (śmieci jak śmieci), po beczkowatych generatorach. Promień światła natrafił na generator przewrócony, ześliznął się po nim, reflektor wyłowił z mroku Kałasznika. I zgasł.

Nie, uznał Kałasznik. To ja. Zwyczajnie zaciskam oczy. By nie oślepnąć – albo w oczekiwaniu na strzał.

– Już – usłyszał kobiecy głos. – Możesz patrzeć.

Spojrzał. Snop światła zwrócony w bok, zarysowane na tle mroku kontury postaci. Wiedział, kogo przed sobą ma. Tylko jedna kobieta mogła znaleźć się w tym labiryncie, tylko jedna w trzech słowach potrafiła zawrzeć tyle wyższości (stężenie przekraczające wytrzymałość Kałasznika i przyprawiające go o irytację). Smartna – wojskowa, radna, nauczycielka.

– Możesz także mówić – dodała.

Chcę, pomyślał. Ale wargi spieczone, a gardło zmumifikowane. Chcę mówić, pani profesor. Kląć, prosić o pomoc, dziwić się, pytać. Chociaż wiem, że fałszywa to nadzieja. Smartna z pewnością nie pojawiła się tutaj przypadkiem – od dawna węszyła i tropiła, z niewiadomych pobudek interesowała się wzbierającą ilością alkoholu i jego źródłem. Ale jako

członkini rady stacji oraz tamtejsza nauczycielka, skarbnica wiedzy, była też nietykalna. Gorzelnicy z zasady nie wikłali się w politykę i po rozwiązania ostateczne nie sięgali. Zabójstwo wywołałoby na stacji chaos. A obecna sytuacja była im na rękę, zmian nie chcieli; stosunki z klientelą doskonałe, rynek zbytu pewny i znany.

Smartna (przezwisko, prawdziwego imienia Kałasznik nie znał) odłożyła latarkę na regał, zbliżyła się. Kroki ciężkie, sylwetka masywna. Pancerz bojowy, przysługujący wyłącznie elitarnej gwardii. Kevlarowe płytki, serwomotory, amortyzatory, maska z filtrem, teraz zdjęta – cud, dziedzictwo militarnej potęgi i myśli technicznej przodków. Kobieta dotknęła szyi, zapaliła się dioda, nikłe błękitne światło wystarczyło, by wyłowić z lepkiego cienia jej twarz.

Profesor Smartna. Radna i krzewicielka oświaty, relikt dawnych czasów. Zdumiewająco dobrze zachowany. Zmarszczki wokół oczu, włosy przetykane siwizną i w strąkach – ale oczy inteligentne, spojrzenie bystre, zębów komplet, a głos z upływem lat zupełnie niezdarty. A w ciele siła, by podźwignąć wojskowy pancerz. W metrze, gdzie kobiety starzały się szybko i bez gracji, Smartna była chlubnym wyjątkiem.

Kałasznik wydobył wreszcie głos.

– …naboje… – wydusił. – Dam wszystkie… Byleś… byleś mnie…

Kobieta położyła mu palec na ustach.

– Dobiła? Łaski się upraszasz, młodzieńcze. Zrozumiałe, chociaż sama propozycja wymiany, twarda waluta za usługę, zgoła nielogiczna. Gdybym chciała naboi, zabrałabym je. I, powiedzmy, odeszła.

– W gorzelni więcej, tam sejf, żeśmy składowali… Zaprowadzę…

– Ach, skoro gotowość do oprowadzania zgłaszasz, to i nie dobicia się domagałeś. Ratunku zatem. Ratunek! Z rąk wroga! Za wroga mnie przecież masz, czyż nie? Nie produkuj się nadaremnie, głos zupełnie stracisz. Zamiast tego: pomyśl. Jestem sama, żołnierzy odesłałam już na stację, ot, kaprys dowódcy. Więc jak jedna samotna kobiecina w sile wieku ma cię wydostać spod ton złomu? Tutaj nie potrzeba obliczeń, i bez arytmetyki i pomiarów mogę ci rzec: ten generator to cholernie ciężki kawał żelastwa.

Stracił inicjatywę, stracił wątek – nie przychodziły mu do głowy żadne odpowiedzi ani też pytania. Ponowił więc apel:

– …pomoc sprowadź, a zapłacę, podzielę się… bogactwem, łupami, cośmy je nagromadzili…

– Fortuna szabrowników. Z kontrabandy i przemytu. Owoc rozpijania naszych żołnierzy i siania fermentu wśród mieszkańców stacji. Nie bez powodu rada zaostrzyła rygor. Grozi naszej stacji wojna, grożą ekspansywni sąsiedzi. Bez prohibicji nie utrzymamy się w ryzach, a wyście prohibicję potraktowali jako dar losu i eksploatowali do cna. Ty, młodziaku, i twoi lekkomyślni kompani. Niepotrzebna mi twoja fortuna, niepotrzebne skarby gorzelników, obsłużyłam się sama.

Oblicze skonfundowanego Kałasznika musiało przybrać bardzo wymowny wyraz.

– Ach – żachnęła się Smartna. – Nie domyślasz się? Czy nie pamiętasz…? Czy… Ach. Więc działa. Działa! Potwierdzasz?

– Co?

– Samo twoje pytanie jest potwierdzeniem! Powiedz. Nie smakowała inaczej woda ognista, gdy strzeliliście ostatnio po kielichu? Niczego… hmm… egzotycznego? Wspaniale. Więc niewykrywalne.

Nagłe oświecenie w skołowanym umyśle.

– W wódce? – wyszeptał Kałasznik, po czym zaniósł się kaszlem. – Dodaliście, otruliście, potem… potem atak?

– Zaprawił trunek jeden z was. Mieliście u siebie wtykę.

– Wtykę…?

– Szpicla, zdrajcę, konfidenta. Nieważne, mój drogi pokrzywdzony młodzieńcze. Nuży cię mój wykład, przecież widzę. Odejdę już, zabiorę tylko skarby, jakie ze sobą niosłeś. Dziwisz się? Po co mi wasza marnej jakości wódka, pytasz. Otóż, Kałaszniku, nie chodziło wyłącznie o zatrzymanie haniebnego procederu. Chodziło o przejęcie wytworów tego procederu. Posłuży do lepszych celów, posłuży za bazę do pewnego… eksperymentu. Posłuży za broń, którą pokonamy konkurentów. Dlatego zabrałam nie bogactwa, ale to, co ich przysporzyło. Zapas alkoholu,

wszystko, co mieliście. I widzę, że nie na próżno udałam się na obchód okolic waszej kryjówki.

Wstała, chwyciła latarkę i zaświeciła do wnętrza plecaka.

– To chociaż… – wycharczał. – Chociaż wódkę podaj… raźniej i lżej będzie…

Zawahała się. Odejdzie, pomyślał. Nie odeszła. Napełniła jego piersiówkę w milczeniu, postawiła przed twarzą, ruszyła. Zatrzymała się w progu.

– Powiedz – zaczęła – czy nie przyuważyłeś czegoś dziwnego…? Zapominasz, to wiem. Ale widy i zwidy, tego nie testowaliśmy. Ciężko o jednoznaczną definicję „dziwności” w tym wypaczonym, zdegenerowanym świecie, ale… Nic? Absolutnie? Cóż. Jeszcze może ujrzysz. Specyfik na jednych działa szybciej, na innych wolniej. Kto wie, czy przed niechybną śmiercią nie zobaczysz jeszcze rzeczy osobliwych i niewytłumaczalnych. Żegnaj, młodzieńcze. Miłego spektaklu.

I zniknęła, chociaż długo jeszcze słyszał rytmiczne uderzenia ciężkich butów o beton.

Trucizna – pomyślał, przetrawiając informacje. Trucizna… Mam coś w żyłach. Pod jej przewodem zrobili nalot na gorzelnię, a uprzednio jeden z nas – wtyka, zdrajca – czymś trunek zakropił. Wznieśliśmy toast. Ja i partnerzy, spółka gorzelnicza Kałasznik, Geigerniak i Kozak.

Jakie zwidy? Jakie majaki? Czy te wspomnienia pocięte i zmieszane miała na myśli? Ach, żachnął się w duchu, było nie słuchać bredni, było sięgnąć, kiedy klęczała, za czerep złapać, rozprawić się z szydercą…

Litanię pobożnych życzeń przerwał ból. Wrócił nagle, uderzył z cicha; ostre impulsy strzeliły wzdłuż nogi w górę, rozpełzły się po torsie. Nacisk na przygniecioną kończynę zwiększył się, chrupnęło – Kałasznik nie krzyczał, nazbyt był zaskoczony – i naraz generator z potwornym wizgiem i jękiem giętego metalu przewalił się do tyłu, wyrżnął o ścianę. Zwielokrotniony echem łoskot ogłuszył Kałasznika i, paradoksalnie, pierwsze wrażenie po zniknięciu ciężaru z nogi okazało się od bólu znacznie gorsze.

Zaklął. O dziwo nie szeptem, lecz całkiem głośno – ot, zbawczy wpływ żywych emocji na nadwyrężone gardło. Minęła może minuta (ale dłużyła się jak godzina), nim zdecydował się podnieść i zdiagnozować stopień uszkodzeń.

Gorzej bywało, okłamał sam siebie. Widywałem gorsze, utwierdził się w kłamstwie, kontemplując ranę. Choćby ostatnia sensacja na stacji: ekspedycja naziemna przeczekać musiała trzy dni i trzy noce w rozwalonym blokowisku, a przewodnik, niejaki Iwan, czy to na rauszu, czy też ze zgnuśnienia, postanowił sam jeden wleźć na szczyt budynku. Czemu? To nieistotne. Istotne, że wyczyn powiódł się połowicznie – Iwan dostał się na dach dziesięciopiętrowca, ale triumfem się nie nacieszył. Zmurszałe deski i popękana podłoga nie wytrzymały nacisku, zapadły się, Iwan spadł z wysokości kilku pięter, rymnął na hałdę gruzu. Pogruchotał obie nogi i zaliczył trzy otwarte złamania.

Kałasznik widział, jak kamraci przynieśli Iwana na stację, jak do leczenia wziął się miejscowy medyk Dymitr Samochlaniec. Dziad tak stary, że pamiętał chyba nie tylko epokę naziemnej dominacji człowieka, ale i owiane legendami czasy „carów” i „zrywów proletariackich”, o których jakże chętnie opowiadał (Kałasznik w historii rozeznania nie miał, bo i nie dostrzegał sensu w jej zgłębianiu). Dzięki interwencji medyka i sporej ilości wódki (dostarczał ją Kałasznik właśnie) Iwan migiem odzyskał względną sprawność; nie minął miesiąc, a już kuśtykał na powierzchnię i z powrotem.

Moje szczęście, niezgruchotane, pomyślał Kałasznik. Ale dopiero po minucie poważył się na weryfikację tezy. Nogi w istocie pogruchotane nie były. Poruszał palcami u stóp, zginały się stawy kolanowe. Ale bolało jak diabli. Lewa kończyna, ta, na której głównie opierał się ciężar, ćmiła. Prawa, rozcięta wzdłuż piszczela, głęboko, aż po kość, swędziała, piekła, aż chciało się sięgnąć i drapać, rozdrapać ją całą. Opanował odruch.

Kolejna minuta – i Kałasznik wstał. Podźwignął się, zakolebał, zatańczył niezgrabnie, ściana posłużyła za oparcie. Chodził, a więc żył. Żył, a więc mógł uciekać. Bądź szukać zemsty. Ewentualnie – odpowiedzi. Zastanowił się. I na początek wybrał wódkę.

Wymacał w mroku piersiówkę, upił łyk, powędrowała do kieszeni. Podparłszy się o regał, zzuł jeden but, wydobył zeń nóż. Niewielki, o stępionej krawędzi, jak by nie patrzyć lichy oręż mimo wszystko dodawał otuchy. Odciął rękaw koszuli, byle jak oplótł ranną nogę. Potem zadumał się Kałasznik po raz drugi. Iść prosto na stację? Przez posterunek graniczny może i przepuszczą, odwiedziny na peronie to jednak pewna śmierć. Smartna musiała już wrócić. A do przebaczenia skłonności nie miała.

Zatem do gorzelni. Ocenić, przekonać się, spustoszenie ujrzeć na własne oczy. Ucichły wszelkie odgłosy, krwiożercza menażeria albo się przyczaiła, albo odeszła na tereny bardziej rokujące. Z nożem w spoconej dłoni, ze wzrokiem wbitym w mroczną bezdeń i szczęką zaciśniętą z bólu ruszył Kałasznik przez labirynt pomieszczeń, warsztatów i magazynów, przez plątaninę kładek i tuneli, w mroku jednakowych i jednako odrealnionych.

Jeśli zjawią się jakieś halucynacje, stwierdził, to umkną niezauważone.

Potęgujący się ból przypominał, że Kałasznik nie śni i nie majaczy. Na inną jawę liczyć nie mógł.

***

Klapa, szyb, drabina. Wymacane w ciemności. Drogę znał Kałasznik na pamięć. Wyuczył się jej nie tylko z racji codziennych niemalże wędrówek, ale z przymusu. Razu pewnego Geigerniak, celebrując samogonem mnogość naboi, rozmnożonych ostatnimi transakcjami, rzekł do Kałasznika: „Tyś się, synek, spisał pierwszorzędnie, partnerem naszym zostaniesz, ino jedną rzecz zrobić musisz – na stację skocz, zagrychę przynieś”. Nic trudnego, gdyby nie fakt, iż Geigerniak wypchnął Kałasznika na zewnątrz, pozbawiając go przy tym latarki (broń łaskawie zostawił). Zaryglował też śluzę. Skoczył wówczas Kałasznik od razu na głęboką wodę (choć znaczenia tego zwrotu w pełni nie rozumiał) i zmuszony okolicznościami, pokonał drogę na stację w mroku absolutnym. Wracał już z latarką.

Teraz z nawigacją radził sobie bezproblemowo, gorzej z nogą. Prawa, rozorana, nie krwawiła obficie, ale czuł, jak rana rośnie. Pnie się w górę nogi, przy każdym ruchu wydłuża o milimetr. Przy schodzeniu wąskim szybem po drabinie opierał się kilkakrotnie na poranionej kończynie; omal nie skończyło się to upadkiem na dno tunelu, dwadzieścia metrów niżej. Wreszcie zszedł, stanął w pozornie niewyróżniającym się magazynie, przedsionku ukrytej gorzelni. Chwila odpoczynku, czas na oddech; cisza, ból ledwie wyczuwalny, bo już znajomy (siła przyzwyczajenia). Kałasznik oddychał ciężko, a powietrze smakowało kurzem, pyłem tak starym, że pamiętającym jeszcze genezę tego podziemnego świata.

Minuta, na tyle sobie pozwolił. Potem odnalazł wejście. W ciemności nie potrafił dostrzec śladów świadczących o wizycie żołnierzy, słowa Smartnej mogły przecież okazać się tylko blefem, ba, może posłużyła się nim, szła jego śladem. Że nic nie słyszał, nic nie wyczuł – zmysły miał przytępione i priorytety zgoła odmienne.

Wrota gorzelni kryły się za załomem muru, dla niepoznaki przysłonięte fałszywą ścianką (kiepska robota, ale test zdawała). Mechanizm otwierający drzwi od zewnątrz mieścił się pod obluzowaną cegłą, zaraz obok.

Pociągnął za dźwignię – zamaskowane drzwi uchyliły się do wewnątrz, a w Kałasznika buchnęło światło. Ślepota minęła po dziesięciu sekundach. Zaklął, zamrugał, przetarł łzy z oczu i wśliznął się do gorzelni.

A tam – jak gdyby nigdy nic. Pokój pierwszy, dawna pompownia: żarząca się pergaminową żółcią świetlówka, liszaje mchu na gołych ścianach, dwa krzesła w kącie, niezasłana prycza, ponad gmatwaniną rur i zaworów wisiały wyblakłe tablice, z ostrzeżeniami wypisanymi zatartą cyrylicą. Śladów walki czy inspekcji brak. Izba wyglądała zupełnie tak, jak ją Kałasznik zostawił (przynajmniej na tyle swojej pamięci wierzył).

Ruszył tam, gdzie najjaśniej. Betonowy korytarz, oświetlony dla odmiany oślepiającą bielą, zaprowadził go do drzwi właściwej części gorzelni. Solidna, stalowa i dźwiękoszczelna bariera ustąpiła po uruchomieniu przełącznika. Oczekiwał Kałasznik krwi i trupów, wnętrza

ograbionego ze wszystkiego, co wartościowe. Nie spodziewał się natomiast widoku dwóch kompanów, Geigerniaka i Kozaka, żywych i jak najbardziej zdrowych.

Grali w karty. Popijając między rozdaniami.

Geigerniak, o potężnej posturze i kałdunie wylewającym się z poobdzieranego kombinezonu, rechotał, burczał, chrząkał, tradycyjnie emocje uwidaczniał onomatopejami i przesadną wręcz gestykulacją. Kozak, dla odmiany, chował łysy łeb w ramionach, koścista sylwetka i szarawy odcień skóry nadawały mu wygląd nieźle zakonserwowanego trupa. Żaden nie zwrócił uwagi na Kałasznika, nazbyt zaabsorbowani byli grą.

A on nie od razu dał o sobie znać. Stał oniemiały. Czyli Smartna kłamała…? Czyli… Pamięć nadal szwankowała nieskora do udzielenia odpowiedzi. Otrząsnął się, podszedł do stołu, mijając retorty, zbiorniki i łączący je chaos rur, rurek i przewodów.

– Nie może być! – wydarł się nagle Geigerniak, a wydatny brzuch zadygotał. – Nie może być, żeś zaiwanił mi kartę, no widział kto, patrzaj, nie mam asiska, a miałem, ty chłyście jeden, ty…

– Nu, bez takich – ostrzegł Kozak, zgarniając pulę (góra kapsli, zanurzone w niej nieliczne naboje). – Sam się wpakowałeś, było na pałę nie ciągać, a pomyślunku trochę w grę włożyć. Tera…

Kałasznik rąbnął pięścią w blat. Popatrzyli na niego jak na szaleńca. Spojrzenie odwzajemnił.

– Smartna – powiedział. – Gdzie ona?

Geigerniak zdumiał się niepomiernie.

– Młody, młody, tyś pijany czy jak? Czego o tym babsztylu wrednym gadasz? Dajże pokój, siadaj, strzelim po kielichu, o, czym se, ty też, Kozak, miglancu jeden… Polejmy wyrobu naszego własnego… I w gardło hop, będzie wódy kop!

Siła przyzwyczajenia przejęła nad nim władzę. Gorzały się nie odmawia, i nim się obejrzał, już wychylił kielona.

– Nu – prychnął Kozak. – Tera możem dalej grać. Jeśli dobytku całego żeś nie stracił. Czekaj, czekaj, na dwóch rozdawaj, młody nie gra!

Absurd sytuacji nie pozwalał Kałasznikowi znaleźć właściwych słów.

– Ach, ach – wymamrotał Geigerniak. Wstał, ramieniem otoczył oszołomionego Kałasznika i slalomem zaczął prowadzić go z powrotem do przedsionka. Mruczał przy tym: – Taaak… Właśnie. Ty, Kałasznik, ty na stację drałuj. Rychtuj się, klienci czekają, o, tam plecak jest, w plecaku butelki, w butelkach gorzała, dosyć podła, acz sekciarzom styknie, tym, jak im tam… Ach, nieważne, nieważne, sekty wszystkie jednakie, a sekciarze różnym bzdurom hołubią, ale każda także w wódę wierzy… Weźmisz plecak, o, uważaj, nie stłucze się, ale…

Tego nawet skołowanemu Kałasznikowi było za wiele.

– Na ciul mi ten plecak! Co ty, szalony?! Co wy, oboje uchlani?! Tam Smartna na zewnątrz, tam żołnierze, coś mnie zaatakowało, ledwiem się tu dowlókł, patrz na moją nogę, patrz, ślepyś?!

Geigerniak nie słuchał zajęty burkliwym monologiem (z przerwami na posapywanie). Rany Kałasznika zdawał się nie zauważać. Siłą wcisnął młodszemu kompanowi do rąk pobrzękujący plecak, za pas zatknął latarkę, potem pistolet, i całym sobą jął spychać go w kierunku wyjścia. Przed szerokimi barami i ogromnym brzuszyskiem musiał Kałasznik ustąpić. Drzwi do kryjówki stanęły otworem, Geigerniak rzucił jeszcze na pożegnanie: „Tylko se krzywdy, młody, nie zrób i wracaj czem prędzej!”, po czym wrota zawarły się i Kałasznik znów stał w mroku. Sam. Bez odpowiedzi, z jeszcze większym mętlikiem w porwanych na strzępy myślach. Jedno się w nich formułowało pytanie: co tu się wyprawia?

„Miłego spektaklu”, powiedziała mu Smartna. Cholera – pomyślał. – Może i się zaczęło. Dziwnie, dziwnie, a tamci schlani, ale żeby tak wypchnąć, żeby nie pogadać, a ja wmurowany, uległy, żem nie zapytał o nic, żem… Może i oni struci czymś, kto to wie. Trzeba iść, z dala, ukryć się gdzieś, przeczekać, chociażby do stacji podejść, na barykadzie znajdzie się może znajomek, mam czym przekupić, kupię sobie spokój, przynajmniej na chwilę. Byle dalej od tego leża szaleństwa.

Do drezyny zatem. Skrótem, tunelem pomocniczym. Pamiętał jak przez sen, że był przy drezynie, że chyba awaria, psuło się dziadostwo non stop…

Ale nic to, sprawdzić nie zaszkodzi, inne opcje wydają się mniej przyjazne.

Ból w nodze powrócił, krew sączyła się przez prowizoryczny opatrunek i ściekała wąskimi strużkami. Kroczył powoli, ostrożnie, z plecakiem na jednym ramieniu, w dłoni trzymał latarkę. Druga dzierżyła pistolet (nóż powędrował do buta). Tak wyekwipowany, zagłębił się Kałasznik w metalowo-betonowy gąszcz, a ten wnet go połknął i otulił lepkim i chłodnym mrokiem.

***

Przy drezynie ktoś majstrował. Ktoś, kto na robocie się znał – może wojskowi. Jeśli tu byli, mogą też wrócić. Obejrzał mechanizm; wymontowana przekładnia, wykręcone śruby. Kałasznik zaklął, jedyną opcją pozostał mozolny spacer, z powrotem do miejsca, gdzie przygniótł mu nogi generator, i dalej, ku stacji. Nie że się obawiał – teraz miał światło, miał broń, a i ryzyko napotkania drapieżników było małe, żadnego wszak nie spotkał podczas swej ślepej wędrówki.

Drezynę uszkodzono celowo i zanim podjął decyzję, zanim rozważył na spokojnie plan postępowania, z dalszej części wąskiego, nisko sklepionego tunelu dobiegł go szmer głosów, który zaraz przeobraził się w cichy zaśpiew. Rozpoznawał melodię, nieoficjalny żołnierski hymn.

– Idą, idą, idą legioniści…! Będą, będą wisieć komuniści…! Rozstrzelamy, rozwalimy, tałatajstwo my zgnoimy…!

I w polu widzenia pojawiły się smugi światła, a władały nimi potwory najstraszniejsze, bo ludzkie. Szli, nie widział dokładnie, kroki wojskowych, przynajmniej dziesiątka. Reflektory zwróciły się ku drezynie, rozegnały ciemność i wyłowiły jego sylwetkę. Znajomy głos zawołał:

– To jeden z nich! Strzelać! Zabić!

Smartna, poznał, Smartna wróciła. I rzucił się do ucieczki, na tyle szybko, na ile nadwątlone siły i kondycja pozwalały. Z tunelu do bocznych korytarzy, z nich wznoszącym się łagodnie szybem, dalej prosto, przed

siebie, z ciążącym mu plecakiem (zbyt cennym, by wyrzucić), z pistoletem w dłoni, ze strachem pierwotnym w myślach.

I biegł. Biegł, a nieprzenikniony mrok otwierał swoje podwoje, by zamknąć się zaraz za plecami Kałasznika. Wirowały w aksamitnej czerni odcienie jaśniejsze, podrygująca latarka chirurgicznie cięła ciemność, skupiona wiązka światła wyłuskiwała przeszkody i nadawała sens ledwie widocznym kształtom. Biegł, na chwilę zapomniał o poranionej nodze, o rozsądku, o wszystkim poza samą istotą biegu. Za nim kroki, szczęk broni i pancerzy, żołnierskie nawoływania, coraz cichsze, coraz dalsze, coraz bardziej stłumione.

Biegł.

Niedawno jeszcze pogodzony z wizją śmierci, teraz poddający się pierwotnemu instynktowi. Butelki brzęczały, kilka się pewnie zbiło. Broń wypadła z rąk, nie zauważył kiedy. Latarka – ta nagle wymsknęła się z uścisku, poturlała po podłodze do kąta, stamtąd rzucała blask na całe pomieszczenie.

Zatrzymał się jak wryty. Wnętrze wyglądało bliźniaczo podobnie do tamtego, w którym się ocknął, w którym odwiedziła go Smartna. Beczkowate generatory i prądnice na ukośnych, stalowych belkach, pod ścianami regały, okupowane przez kolekcję śmieci, na suficie stalowa kratownica. Identycznie, jak w miejscu tajemniczego wypadku i niedokonanej agonii – tyle że żaden z szeregu obłych generatorów nie leżał zwalony na ziemię, śladu nie było po krwi czy zniszczeniu, nic, nic.

Istniały w metrze pomieszczenia podobne czy wręcz identyczne, świata podziemnego nie charakteryzowała różnorodność i niepowtarzalność, stworzyły go ludzkie ręce, według planów, podług zapotrzebowania. Tak sobie tłumaczył zdumiony i przelękniony Kałasznik i nic a nic w to nie wierzył.

I gdy lustrował pomieszczenie wzrokiem, naraz widziana kątem oka część zadrżała, nagły ruch zwrócił uwagę, kazał mieć się na baczności; Kałasznik odskoczył, upuścił plecak (brzęk tłuczonego szkła) i ujrzał potwora, tym razem rzeczywiście strasznego, w pełnej krasie. Fragment

kratownicy na suficie oderwał się, spadł na ziemię, a przez otwór spłynęła na podłogę postać, której naturę trudno było zdefiniować nawet w bladym świetle latarki. Stwór był chudy, skarlały, groteskowo wykręcony, oblepiała go chropowata skóra, nie miał oczu ani otworu gębowego, nic, wyglądał jak kokon na dwóch krzywych nogach. Być może kreatura wywodziła się od człowieka – Kałasznik nie wiedział, nie rozsądzał, bo intruz zaatakował bez zwłoki.

Runął na Kałasznika. Ze sflaczałych, zwisających po bokach niby-rąk wysunęły się szpony i stwór sieknął raz, drugi, skosem w dół; sztych pazura zahaczył o nogę Kałasznika, który spóźnił się z reakcją i zawył, jakby dopiero teraz poczuł w nodze prawdziwy ból. Uskakując poza zasięg bestii, plecami wpadł na jeden z generatorów. Stwór rzucił się w ślad za ofiarą. Skrzeczał przy tym, dźwięk wydobywał się gdzieś z wnętrza zapadniętej piersi i zwiastował śmierć.

Kałasznik sam się zapędził w kozi róg i rozpłaszczony na ścianie generatora, mógł tylko patrzeć, jak cofa się powykręcana kończyna potwora, bierze zamach, uderza; uchylił się w ostatnim momencie, padł na płask, szpon przejechał po metalu ze zgrzytem, krzesząc iskry. Następnego ciosu nie miał prawa uniknąć, zbyt wiele już szczęścia, zbyt wiele zbiegów okoliczności; uniknął, jednak uniknął. Przeturlał się o metr w bok i zdobył się nawet na kontratak, napędzany adrenaliną, z myślami opanowanymi przez animalne odruchy. Wymierzył kopniaka chuderlawemu drapieżnikowi, coś zachrzęściło, i drugi raz i drugi chrzęst, i jakby trzask, i jakby ryk bólu, i już Kałasznik odtoczył się znów pod generator, obok podtrzymującego urządzenie stalowego rusztowania.

Szpon siekł na odlew, minął skroń Kałasznika o centymetry, przeszedł przez stal jak przez masło. Masywny generator zadygotał, zaśpiewały jękiem giętego metalu obciążone i tracące balans dźwigary, a Kałasznikowi serce podeszło do gardła. Nie, lamentował w duchu, niemożliwe, ale jak nie, skoro się dzieje, przecież…

Potwór zaskrzeczał raz jeszcze i nagle przepadł, uciekł gdzieś, kołysząc patykowatym korpusem, zbiegł na powrót do leża przycupnąć w ciemności,

zregenerować siły, zaleczyć rany.

Kałasznik zdołał jeszcze odpełznąć metr, półtora, niecałe dwa w bok, gdy uszkodzona konstrukcja ustąpiła i runął na podłogę obelisk generatora. Nachylał się powoli, z gracją, i zatrzymał tuż nad ziemią trzymany jednym ocalałym wspornikiem – na tyle wysoko, by nie zmiażdżyć nóg Kałasznika; na tyle nisko, by przygwoździć je i wysłać przez całe ciało Kałasznika potężny impuls bólu, przed którym mózg chciał się ratować utratą świadomości.

Kałasznik nie pozwolił na to. Odebrał cały ból, zachłysnął się nim.

I już wiedział. Już rozumiał.

***

Opadał kurz, cichło echo pękającego metalu.

Latarka zgasła. Może nigdy jej nie było.

Do plecaka z butelkami za daleko, ale jest piersiówka. Wypił wszystko.

Więc to są konsekwencje, myślał, to są efekty wódki halucynogennej. Więc w istocie czegoś do niej dolano, dolał ktoś z polecenia Smartnej, po to nalot, po to jej wódka; ma plan, testuje, doprawi alkohol domieszką tej trucizny, rozprowadzi po wrogich stacjach, tak zapewni sobie przewagę, zniszczy konkurencję od środka… A my, a ja, wszyscyśmy ofiary.

Więc leżę. Leżałem, od kiedy mnie przygniotło. Wstałem jedynie w majaku, we śnie rzeczywistszym od jawy. Więc leżę i umieram, dławi się moja głowa wciąż tym samym, kilkoma wydarzeniami, które przed wypadkiem przeżyłem, i na nowo, i na nowo. Przeżywam na nowo, zacięty jak ten gramofon na stacji, jak to, bodajże stuletnie, badziewie, co w kółko trzy smętne melodie odgrywa.

Więc wkrótce przybędzie (powróci?) Smartna. I rozpocznie się wszystko od nowa – przynajmniej w myślach moich zagmatwanych. Przyjdzie Smartna, niosąc powtórkę…

Nie przyjdzie. Nie, drogę wizjom zastąpię, nie wlezie mi w myśli trucizna. Nie zapomnę. Tym razem nie zapomnę. A pamiętanego się dwa

razy nie przeżywa. Przeczekam najgorsze, może ulotni się trutka, to paskudztwo myślogwałtne, może efekty znikną. I przetrwam albo umrę pod tą stertą złomu, wszystko lepsze niźli kolejne powtórzenie.

Nie zapomnę. Nie będzie następnej iteracji.

Baza, Geigerniak i Kozak, zasadzka. Bieg, szalony bieg. I monstrum.

Nie zapomnę.

Nigdy.

Nigdy!

…nigdy, tak, tylko… Tylko co?

Zapomniał. Chwilę wołał w rozpaczy, wykrzykiwał słowa bez znaczenia. Jęki i wycie, język, którym od zarania dziejów posługują się desperaci.

Potem zapadł w płytki sen, a gdy się ocknął – zapomniał, że zapomniał.

Zaschło w gardle przygniecionemu Kałasznikowi, Kałasznikowi dotkniętemu amnezją.

Potrząsnął piersiówką (złudna nadzieja zrzuca przebranie i rechocze prosto w twarz). Pusto, cholera, ani kropli, cholera, cholera, po stokroć cholera. Cóż zrobić. Tylko leżeć. Czekać. Słyszał własne tętno, szum krwi w żyłach. W skołatanej głowie wrażenie na wpół zapomnianego snu czy może majaku – że chyba już widział tę scenę. Że raz przebudził się z mętlikiem niepamięci, że coś wówczas umknęło. Że kiedyś już składał nieporadnie obraz ostatnich zdarzeń i złożyć nie potrafił. Że niegdyś, gdzieś, raczej, może, w innym życiu bądź czasie gniótł mu nogi zwalony generator.

Że nie pierwszy raz skończyła się wódka.

Wojciech Magiera

Układanka

– Nikt nie mówił, że będzie to jedna z tych typowych stalkerskich misji – krzyk Staruszka przebijał się gdzieś między odgłosem bestii a hukiem wystrzałów.

Ale zacznijmy od początku…

Mam siedemnaście lat, jestem średniego wzrostu i, jak to w metrze bywa, mam niedowagę. Na imię mi Julia. Jestem stalkerem, więc zazwyczaj chodzę w stroju ochronnym, z nieodzowną maską i oczywiście z automatem. Profesja stalkera jest raczej domeną mężczyzn, ale jakoś daję radę. Jak każdy stalker dostałam przydomek. Mówią mi „Lisica", głównie z powodu moich rudych włosów, a przynajmniej zawsze sądziłam, że właśnie o to chodzi.

Mój ojciec nie używał tego przezwiska niezadowolony z mojego fachu. Ale jakoś nigdy się tym nie przejmowałam. Czas spędzam na misjach lub też w mieszkaniu, które dzielę z nim – jedyną rodziną, jaka mi pozostała.

Właśnie poczułam smakowity zapach. Znaczy ojciec zrobił coś do jedzenia. Przysiadłam się do małego stolika. Stare gliniane miski były wypełnione gulaszem.

– Smacznego.

Mój ojciec, Aleksander, jest spokojnym człowiekiem, choć wygląda jak ponury twardziel. Prawie dwa metry, dość szeroki w barach, z kilkudniowym zarostem.

Po posiłku chciałam wyjść pohandlować, ale ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam? – zapytałam.

– To ja, Nikita.

Za drzwiami stał chłopiec. Wiedziałam, po co przyszedł. Poniekąd pracował dla mnie, bo pomagał mi handlować lub też szukał ludzi, którzy potrzebują stalkera.

Chyba już nic nie widział zza tej grzywki. Wiedziałam, że za pazuchą ma schowany ostry kozik, i wiedziałam, że po cichu kompletuje uzbrojenie, bo już nieraz wspominał o tym, by zabrać go na powierzchnię.

– Jest robota – powiedział bez wstępów.

– Roboty nigdy za wiele – ucieszyłam się, zważywszy, że niewielu chciało korzystać z moich usług, mając do wyboru rosłych mężczyzn. Jednak na powierzchni często nie od siły zależało przeżycie, ale od szybkości.

– Jest tam taki staruszek, nie przedstawił się, stoi na drugim końcu stacji. Powiedział, że szuka stalkerów na misję…

– Stalkerów? – upewniłam się.

– Tak, dwóch. Ale powiedział, że jednego już ma. Płaci dużo. – Nikita sięgnął teraz do kieszeni nieco za dużej kurtki moro i wyciągnął z niej kilka naboi. – Dał mi to, za samą fatygę.

Kazałam mu je schować i postanowiłam wybadać sama, o co chodzi w tym zleceniu. Schowałam nóż za cholewę i dałam się poprowadzić chłopcu.

Miał długą brodę, podziurawioną czapkę. Cały jego ubiór był brudny, a i on sam nie miał zapewne kontaktu z wodą od dłuższego czasu. Na sam jego widok powinnam zawrócić. Postanowiłam jednak zostać ze względu na Nikitę.

– Witam – zachrypiał.

Nie pytałam go o imię, bo sądziłam, że jeśli sam się nie przedstawił, to nie bez powodu.

– Szukasz stalkera?

Nie odpowiedział, lecz otworzył torbę i z pewnym trudem wyciągnął z niej metalowy pojemnik. Uchylił nieco wieko i ujrzałam taką liczbę

naboi, która mogłaby mi zapewnić godne życie przez długi czas. Starzec zamknął pojemnik i ot tak, po prostu mi go podał.

– Połowa teraz, połowa po powrocie. – Nie miałam pojęcia, ile naboi jest w puszce, ale na myśl, że dostanę drugie tyle, od razu się zainteresowałam. – Nie będziemy szukać skarbów ani z czymkolwiek walczyć na powierzchni, chyba że z konieczności. Chcę, żebyś wraz z jeszcze jednym stalkerem, którego wybrałem, eskortowała mnie w pewne miejsce. – Pokazał na mapie cel podróży.

I tylko tyle? – zdziwiłam się w duchu. Sprawa wydawała się banalna. Staruszek chciał zwiedzić powierzchnię, więc czemu nie, zważywszy na profity. Umówiliśmy się za godzinę przy śluzie odgradzającej nasze mroczne tunele od równie mrocznego świata na powierzchni.

– Mówią na mnie Lisica – powiedziałam na odchodne.

Uzbrojona po zęby i ubrana w skafander, czekałam na Staruszka. Tymczasem dołączył do mnie drugi stalker. Patrzył gdzieś w bok, mrużąc jednocześnie jedno oko. Od razu ochrzciłam go Jednookim. Miał nowszą maskę, lepszy karabin.

– To ciebie zabieramy? – spojrzał na mnie spode łba.

Pierwszy raz widziałam faceta na oczy, a on od razu zaczął mnie traktować jak protekcjonalny dupek…

– Nie. Jak już, to ty idziesz z nami.

Zanim zdążyliśmy się pokłócić, podszedł do nas Staruszek w swojej masce przeciwgazowej.

– No, młodzi, zbieramy się – powiedział krótko.

Kiedy wyszliśmy na powierzchnię, Staruszek zatrzymał się i chłonął obraz zniszczonego świata, tak jakby go pierwszy raz widział. Mrok, gruz, spalenizna i wszechobecna pustka. Wydawał się zdziwiony i wstrząśnięty. Dla mnie świat na powierzchni od zawsze wyglądał tak samo, więc nigdy nie odczuwałam nostalgii za czymś, czego nie znałam.

Ruszyliśmy. Zostałam z nim z tyłu, podczas gdy drugi stalker szedł na przedzie, pełniąc funkcję zwiadowcy.

Starzec wyglądał śmiesznie w swojej wiekowej masce przeciwgazowej.

– Dlaczego nie zainwestujesz w lepszy sprzęt? Jesteś w końcu bogaty – zainteresowałam się.

– Stary sprzęt i brud na twarzy to dobry kamuflaż, jeśli nie chce się na siebie zwracać uwagi – odpowiedział, starannie dobierając słowa. – Wszyscy mnie omijają, jakbym nie istniał.

Niewątpliwie miał rację.

– Lecz nie zawsze byłem bogaty – wyznał. – Te naboje, które ci dałem, w pewnym sensie przechwyciłem.

Popatrzyłam na niego wyczekująco, on zaczął opowiadać swoją historię:

– To było… – jakby szukał w pamięci – na Prospekcie. Siedział tam taki człowiek, Szuler. Grał w karty, na naboje. Naprawdę miał wyniki… Niektórzy wiedzieli, że był kanciarzem, i trzymali się z daleka, ale wielu dawało się nabrać. Myśleli, że go ograją, ale odchodzili z pustymi kieszeniami. Czasem zarzucali mu oszustwo.

– I co wtedy?

– Szuler nic sobie z tego nie robił. Za jego plecami stało wielu ziomków i gapiów, więc albo ktoś się dostosował, albo nie.

– A jeśli nie? – dopytywałam.

– Wtedy najczęściej sięgali po broń, ale Szuler miał refleks. Niczym pieprzony rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu.

– Czyli odchodziło się przegranym albo martwym?

– W istocie. Ale do czasu. Zjawił się raz gracz z własną ekipą i doprowadził Szulera do szału. To było starcie równego z równym, każdy kantował jak się dało. I nagle na stole znalazło się pięć asów. Szuler wyciągnął broń. Ale ktoś strzelił pierwszy. Z rękawa Szulera wysypały się zakrwawione karty. Wybuchł popłoch. Gapie zaczęli walczyć o ogromną pulę.

– Ale kto zastrzelił Szulera?

– Tego nikt nie wie. Mówiło się, że była to ustawiona rozgrywka i drugi kanciarz został nasłany. Miał odwrócić uwagę i uśpić czujność Szulera,

zlikwidować go tak, żeby wyglądało to na porachunki dwóch oszustów. Ponieważ to Szuler wyciągnął broń pierwszy, nikt nie mógł mieć pretensji do zabójcy. Kilku ludzi oberwało. Sam dostałem po twarzy i poleciałem na ziemię. Próbowałem się odczołgać.

– Ale rozumiem, że wyszedłeś cało?

– Tak… Znasz pewnie powiedzonko: gdzie dwóch się bije…

Zrozumiałam.

– Gdy wszyscy szarpali się o to, co było na stole, ja zainteresowałem się ogromnym kufrem, na którym siedział Szuler. Jak się okazało, trzymał tam cały zapas amunicji.

Opowieść Staruszka była jak wiele innych zasłyszanych w metrze. Mogła być prawdziwa albo i nie. Ważne, że miał naboje…

Postanowiliśmy się zatrzymać. Ja zatroszczyłam się o naszego zleceniodawcę, Jednooki sprawdził teren.

– Od dawna to robisz? – zapytał Starzec.

– Czy od dawna jestem stalkerem? Będzie już parę lat.

– Pasuje ci to? Nie boisz się powierzchni?

Chciałam już coś odpowiedzieć, ale obok nas przystanął drugi stalker.

– Dziadek dobrze gada. Nie boisz się?

– A czego mam się bać?

– Mutantów – podsunął Staruszek.

– Albo innych stalkerów – dodał Jednooki. – Słyszałem, że Dziadek opowiadał jakąś historyjkę. Ja też mam jedną. – Nie czekając na zachętę, zaczął opowiadać. – Powiadają, że w którejś części metra działa pewien stalker. Nazywają go różnie: „Widmo”, „Cień” czy też „Śmierć”. Podobno zaczaja się na upatrzonej stacji, zaznajamia z innymi stalkerami. Wychodzi z nimi na powierzchnię, i… bum!

Drgnęliśmy po jego ostatnim słowie, ale nie rozumieliśmy puenty tej opowiastki.

– Jakie bum?

– Zabija ich. Kradnie broń, maski i wraca…

– Na stacji opowiada bajeczki, że reszta przepadła po ataku mutantów – dokończył za niego Staruszek. – Potem znika jak widmo, by pojawić się na innej stacji ze zmienionym wyglądem i danymi. Znam i tę historię.

– A co ty jesteś? Jakiś człowiek tysiąca i jednej legendy czy co? – oburzył się stalker.

– Po prostu lubię różne historie. Mam dobrą pamięć, dlatego znam jeszcze jeden szczegół tej legendy.

– Co takiego? – zapytałam.

– A to, że mimo zmiany wyglądu, powiadają, czymś jednak się wyróżnia.

– Czym?

– Podobno ma coś z okiem, jakby miał je sztuczne.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim połapałam się w tym wszystkim. Sekunda, a może dziesięć. Zdaje się, że dobra pamięć Staruszka miała nas teraz wpędzić do grobu. Spojrzałam na stalkera, który mierzył już do mnie ze swojej broni. Pieprzony Jednooki.

– Kto by pomyślał, że jestem na tyle sławny, by taki brudas tyle o mnie wiedział. Albo stałem się nieostrożny na stare lata. – Cofnął się o dwa kroki. – Chciałem was zabić, ale nieco dalej, by nikt was nie znalazł. No nic, będziecie musieli dojść do swoich mogił. – Jego zniekształcony przez maskę śmiech był głośny, a na powierzchni lepiej było nie hałasować. Zważywszy, że przed chwilą jego „bum” i tak poniosło się po całej okolicy.

Zobaczyłam jakiś niewyraźny cień przemykający za nami. Coś się do nas zbliżało. Jednooki to usłyszał. Odwrócił się. Latający mutant właśnie siadał na ziemi. Wyglądał niczym bestie z mitycznej otchłani, o której czytałam w jakiejś książce. Jednooki natychmiast nacisnął spust. Niestety, jego karabin się zaciął. Stalker chwycił za pistolet. I znów niewypał. Mutant z całej siły naparł na pechowca i powalił go na ziemię.

Poderwałam swojego kałacha i posłałam w stronę stwora połowę magazynka.

Nikt nie mówił, że będzie to jedna z tych typowych stalkerskich misji. Tak naprawdę nie ma czegoś takiego jak „typowa stalkerska misja”. Zawsze

trzeba się liczyć z tym, że całe gówno tego świata może wypłynąć w każdej chwili, tak jak tu, niespodziewany gość w postaci mutanta, czy zdradliwy stalker, który mógł w każdej chwili strzelić ci w plecy.

Nie było jednak czasu na dyskusje. Na szczęście mutant już się zorientował, że lepiej się zabrać za powalonego stalkera, niż obrywać ode mnie seriami z automatu. Chwycił Jednookiego w szpony i próbował poderwać się do lotu.

– Lepiej i my stąd uciekajmy.

Nie wiedziałam, czy mutant, który pewnie za chwilę skończy się zabawiać z Jednookim, podąży naszym śladem, czy też odejdzie w przeciwną stronę. Musiałam znaleźć jakieś schronienie, w którym moglibyśmy przeczekać najgorsze.

Wczołgaliśmy się powoli w gruz, który miał być naszą osłoną. Nie wiem, ile tam siedzieliśmy, ale cisza zaczęła nas nudzić.

– Chciwość go zgubiła – zaczęłam rozmowę. – Chciał nas obrobić, ale dostał za swoje.

– Tacy powinni gnić w piekle… – przyznał ostro Staruszek. – Albo w ogóle się nie rodzić. Niestety, metro jest pełne takich ludzi.

– I zapewne znasz jakąś historię o jednym z nich?

– Nie masz dość opowiastek? A może ja tylko zmyślam?

Milczałam chwilę, szukając dobrej odpowiedzi.

– E, chyba nie zmyślasz… Mówiłeś o Szulerze, potem Jednooki opowiedział swoją historię, którą też słyszałeś. To wygląda trochę tak, jakbyś pisał książkę o legendach metra. Tylko po co?

Zamyślił się przez chwilę.

– Może to wydaje się kuriozalne, ale wszystkie tworzą idealną układankę.

– Układankę? – powtórzyłam, nie rozumiejąc.

– Układankę całości metra… I ludzi, którzy w ogóle się nie zmienili. Katastrofa nikogo nie nauczyła pokory, bardziej uwydatniła w nich pierwotne instynkty. Zniszczenia, chciwości, zdrady…

– Ale nie wszyscy są źli – przerwałam mu.

– Każdy jest zły. Jedni przez całe swoje życie, inni tylko chwilami. A niektórzy dopiero czekają, aż zło ich opęta.

Zdziwiłam się.

– Znam wielu dobrych, ten chłopiec Nikita. Mój ojciec, a nawet ja. – Spojrzałam na niego. – A ty jesteś zły?

Nie widziałam wyrazu jego twarzy przez maskę.

– Nie jestem dobry… – mruknął w końcu. – Jestem słaby, a słabi są złymi ludźmi. – Zakaszlał znów i zaczął opowiadać. – Był pewien mężczyzna, można powiedzieć, że za młodu podążał złą ścieżką, ale się opamiętał. Poznał kobietę z dwójką dzieci, które pokochał jak swoje. Ale po kilku latach pokazał prawdziwe oblicze. Zaczął znów kraść, znikał na wiele tygodni. Tak jak Jednookiego i jego zgubiła chciwość. Zadłużył się u złych ludzi, chciał więcej, a jedyne, czego miał pod dostatkiem, to długi. Pojawił się jednak ktoś, kto zaproponował mu wyjście. Za anulowanie długów musiał przyprowadzić jedno z dzieci swojej kobiety.

– Przehandlował dziecko? – oburzyłam się.

– Miał je zostawić w jednym z tuneli między stacjami na Okrężnej, ale jemu to nie wystarczyło. Odezwała się jego chciwość. Nie sprowadził jednego dziecka, lecz dwoje, licząc, że jeszcze na tym zarobi. Pomyślał, że to bez różnicy, czy zaginie jedno, czy dwoje dzieci. Za drugie dostał sporą premię. Ale w parę dni stracił wszystko, został mu tylko stary tępy nóż, którego nie miał już na co wymienić. Chciał wrócić znów do biznesu i kraść, ale potrzebował środków na zakup broni. Wrócił więc do kobiety i rzecz jasna, nie miał w planie przyznawać się do sprzedaży dzieci. Ale okazało się, że nie była sama. I ku jego zdziwieniu dzieci, które, jak sądził, przepadły na dobre, dotarły do domu. Okazało się, że maluchy uciekły handlarzowi z pomocą jakiegoś człowieka i wróciły po zaledwie kilku godzinach, i opowiedziały wszystko matce.

– I jak to się skończyło?

– A jak miało się skończyć? Kobieta potraktowała go ołowiem i skonał pod drzwiami. Chciwy i podły, skończył tak, jak powinien.

– Ktoś jednak pomógł tym dzieciom w ucieczce. Ktoś dobry.

– Zapewne z przypadku albo miał w tym jakiś cel.

– Mimo to dalej się upieram, że nie wszyscy są złymi ludźmi.

– Oby tak było…

Mutant chyba nie ruszył naszym śladem, więc mogliśmy wyjść z rumowiska i podążyć dalej. Typowa czy nietypowa – misja osiągnęła półmetek, pozostał nam tylko powrót. Po coś tu jednak przyszliśmy, ale jeszcze nie wiedziałam po co.

Przez chwilę sądziłam, że miejsce, do którego chciał dotrzeć Staruszek, będzie skrywało jakąś podziemną bazę, jednak znaleźliśmy się w ruinach małego budynku, który był kiedyś sklepem. Staruszek usiadł na starym krześle. Nie podobało mi się to miejsce, a że nie było z nami już drugiego stalkera, musiałam zrobić mały obchód.

W sklepie kiedyś sprzedawano chyba żywność. Do dziś trudno było mi sobie to wyobrazić, że na półkach w przeszłości znajdowało się mnóstwo jedzenia. Lodówki – o których słyszałam – były wypełnione mięsem, i bynajmniej nie żywym, które trzeba ubić tak jak na stacji. Wszystko było ładnie pokrojone na plasterki i porcjowane. Cały świat taki piękny, łatwy i nierealny dla człowieka, który nigdy tego nie widział na własne oczy.

Sprawdziłam pobieżnie zaplecze sklepiku, czy nie kryje się tam żaden mutant. Po czym mogłam wrócić do Staruszka.

Siedział dalej na krześle zamyślony i cały czas spoglądał na regały pod ścianą.

– Nie chcę poganiać, ale jeśli przyszliśmy tu po coś konkretnego, radzę się śpieszyć. Czeka nas jeszcze droga powrotna. – Mówiąc to, wyrwałam go jakby z transu. Ale nie spodziewałam się jego przedziwnej reakcji.

Ściągnął maskę przeciwgazową.

Byłam tak zaskoczona, że nie próbowałam nawet ruszyć z pomocą. Jeszcze bardziej zdziwił mnie jego wygląd. Twarz staruszka nie była już umorusana, włosy miał ostrzyżone, policzki wygolone. Musiał doprowadzić się do porządku przed wyjściem na powierzchnię. Nie wyglądał już tak staro, najwyżej na czterdzieści parę lat. W końcu jednak się otrząsnęłam,

podeszłam i podałam mu jego maskę, ale karbowana rura natychmiast wypadła. Zrozumiałam, że maska była nieszczelna, a mój zleceniodawca nie miał żadnego pochłaniacza. Ale dlaczego?

– Jak już się domyślasz, nie wracam.

Najpierw sądziłam, że jest głupi. Nierozważny. Że coś strzeliło mu do głowy, ale widząc go dalej wpatrującego się w to samo miejsce, zaczynałam sądzić, że ma ku temu jakiś powód.

– Nie bój się, zapłacę ci, tak jak obiecałem. Przekazałem resztę naboi temu chłopakowi Nikicie. Mam nadzieję, że mu ufasz.

Przytaknęłam, ale byłam ciekawa, dlaczego tak chce zakończyć swoje życie.

– Umieram. Lekarz powiedział, że mam zainfekowane płuca. Przez lata nawdychałem się najgorszego ścierwa, jakie jest w całym metrze, opary, dym…

– Ale dlaczego akurat tak? W taki sposób?

– Jeszcze niedawno miałem cel, ale kiedy okazało się, że jest nieosiągalny, mogłem zrobić tylko to. Wrócić tu i ją wspominać.

Czyżby mówił o jakiejś kobiecie? Miłości utraconej w dniu katastrofy?

– Może dałoby się to wyleczyć – powiedziałam, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Moje życie nie ma już, niestety, żadnego sensu.

– I mam cię tak zostawić?

– Tak, ale najpierw chcę, byś czegoś wysłuchała. Będzie to jeszcze jedna historia. Prawdziwa w każdym calu, żadna legenda.

– O mężczyźnie i kobiecie? – podchwyciłam, bo zrozumiałam, że pragnie podzielić się ze mną swoją osobistą historią.

– O złym mężczyźnie i pięknej kobiecie – poprawił mnie. – Poznałem ją tutaj. Rok przed katastrofą. Byłem młody i przechodziłem tędy do pracy, a po drodze zawsze wpadałem kupować bułki. Tylko po to, żeby ją zobaczyć, dla jej uśmiechu. Byłem nieśmiały, ale przemogłem się i zaczęliśmy rozmawiać. Chyba nieco ją onieśmielałem, ale nie przyznała się nigdy do tego.

Zaczęliśmy się spotykać. A kiedy świat runął, jakimś cudem udało nam się znaleźć w metrze. Z początku było nam ciężko, jak zresztą wszystkim. Chcieliśmy się przenieść z miejsca, w którym utknęliśmy, słysząc, że na niektórych stacjach potrzebują młodych i zdrowych ludzi. Omamieni nadzieją na lepsze życie, czekaliśmy na jednym z peronów. Stało tam wielu takich jak my, młodych i naiwnych. Podjechała drezyna. Siedziało w niej czworo ludzi. Jakiś kapitan i trzech jego pomocników. On miał pomarańczową czapkę z daszkiem, oni jakieś pomarańczowe przepaski. Wybierali ludzi. Wzięli nas i jeszcze jedną parę. Wsiedliśmy na drezynę i wjechaliśmy w tunel. Mieliśmy jechać gdzieś do centrum, a po chwili okazało się, że jedziemy na odległe stacje. Dostaliśmy się w ręce nikczemników. Nie chcieli dać nam nowego życia, tylko pozbyć się mężczyzn, a dziewczyny zabrać dla siebie. Próbowali nas obezwładnić, a kapitan od razu zabrał się do naszych kobiet. Drugi z pasażerów rzucił się bronić swojej żony, więc go zastrzelili. Chciałem uciekać, ale dostałem kolbą w głowę i straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem… jak trzech osiłków trzyma moją Nadię, a kapitan ją gwałci. Przeklęte bestie. Związali mnie, śmiali się i kazali patrzeć. Dlaczego? Dlaczego to robili? – Głos mu się załamał, ale nie płakał. Pewnie już nie potrafił.

– Skoro oni ją skrzywdzili, to dlaczego mówisz, że to ty jesteś złym człowiekiem?

– Oni byli źli, ale ja też. Kapitan powiedział, że przynajmniej na mnie zarobi, bo gdzieś szukali robotników do odkopania zasypanej stacji. Podszedł do mnie, nie wiem po co, skorzystałem z okazji i uderzyłem w niego, całym ciałem. Obaj spadliśmy na tory. Podniosłem się pierwszy. Uciekałem… Uciekałem jak tchórz, zostawiając ją. Dziewczynę, którą kochałem. – Przełknął gorączkowo ślinę.

Ujęłam go za rękę. Było mi żal człowieka.

– Mogłeś albo dać się im zabić od razu, albo uciec. Ale to nie czyni cię złym człowiekiem – powiedziałam, ale chyba to do niego nie dotarło.

– Biegłem, aż moje stopy zaczęły krwawić. Padłem dopiero na jakiejś stacji. Tam mnie znaleźli i uwolnili z więzów. Wyrwałem się jednemu

człowiekowi i wróciłem. Lecz jej już nie było. Ani Nadii, ani drezyny. Znalazłem tylko pomarańczową czapkę niegodziwca, który wyrządził nam krzywdę. Początkowo błąkałem się po tunelach, szukając jej oraz jakiegokolwiek śladu bandy czy drezyny. Szukałem jej na ponad stu stacjach. Nacierpiałem się, marzłem i przymierałem głodem. Niektórzy pomagali, inni wręcz przeciwnie. Przez kolejne lata szukałem jakichkolwiek wzmianek o dziewczynie, pokazując wszystkim jej zdjęcie. Przemierzyłem całe metro, usłyszałem niezliczone legendy czy historie, które spamiętywałem, ale znalazłem w nich tylko ból i cierpienie, gdyż były przeważnie o ludziach, którzy sami stali się katami. Lecz po wielu latach… – Zdawało mi się, że widzę błysk w jego oku. – Pojawiła się nadzieja. Zdjęcie, moja jedyna i najcenniejsza pamiątka, pomogło mi. Okazało się, że pewna kobieta widziała kiedyś podobną dziewczynę. Gdy dotarłem w miejsce, które wskazała, okazało się, że jest za późno… Nadia przeżyła tamto zdarzenie na drezynie, ale odnalazłem ją za późno…

Urwał, a ja nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

– Masz nadal jej zdjęcie? – wypaliłam.

– Miałem, ale teraz jest mi już niepotrzebne. Chciałem dojść do tego miejsca, bo tu się poznaliśmy, przeżywając potem kilka wspaniałych chwil. Tu pierwszy raz się do mnie uśmiechnęła. Pamiętam ją i niedługo do niej dołączę.

Wiedziałam, że nie ma już dla niego ratunku. Mimo to nie chciałam, by skonał tu sam.

– Może to jeszcze nie jest twój czas. Skoro wytrwale szukałeś jej przez lata…

– Na ciebie już pora – nie pozwolił mi dokończyć. – Przed tobą całe życie. Może faktycznie są jeszcze dobrzy ludzie, pomogłaś mi.

Wracałam, raz za razem przystając i oglądając się za siebie, mając nadzieję, że się rozmyślił. On jednak dalej siedział na swoim miejscu, a im jego postać stawała się mniejsza, tym bardziej docierało do mnie, że był świadom tego, co robi. Jego życie tak naprawdę skończyło się wtedy, kiedy uciekał przed ludźmi z drezyny i pozostawił swoją Nadię. Jego serce wtedy

pękło – nieodwracalnie, i przez te wszystkie lata tułaczki i poszukiwań tylko wegetował. W moim przekonaniu nie był jednak złym człowiekiem, nie był nawet słaby, skoro miał siłę trwać przez te lata i jej szukać. Zostawiłam go z legendami i opowieściami, których miał jeszcze zapewne mnóstwo w zanadrzu. Lecz historię o nim i o Nadii zapamiętam do końca swoich dni.

Nikita wyczekiwał już niecierpliwie mojego powrotu. Chciał wiedzieć, gdzie podział się drugi stalker, lecz w ogóle nie pytał o zleceniodawcę.

– Wiedziałeś, że on nie chce wrócić? – zapytałam.

– Mówił, że mam ci przekazać resztę, bo on może tego nie dożyć. – Wręczył mi ciężką torbę.

– Rozliczymy się później – rzuciłam, nie wdając się w szczegóły zlecenia. – Mówił coś jeszcze na samym początku?

– Gadał coś o układankach i złych ludziach, ale tak w sumie to nic konkretnie.

– Był trochę zagubiony – odparłam i odeszłam.

Wróciłam do siebie, siadłam przy stole i zaczęłam przeliczać naboje. W pewnym momencie natknęłam się na pojemnik ukryty między pociskami i magazynkami. Na wieczku była stara wyblakła kartka.

„Każdą układankę trzeba poskładać. Czasami jednak odkrywając jej kolejne elementy, zaczynamy dostrzegać, że rozwiązanie może nam się nie spodobać. Szukając kogoś, kogo sam utraciłem, znalazłem wszystkie elementy swojej układanki – oddaję je w twoje ręce. Jednak do ciebie należy decyzja, co zrobisz z tym ostatnim. W mojej opinii zły człowiek pozostanie zły do końca swoich dni, nie ma odkupienia win ani zmiany na dobre. Jednak to ty decydujesz.

Chciałem sam dokończyć swoją życiową misję, jednak »obraz całości«, jaki zobaczyłem, dał mi do zrozumienia, że nie mam do tego prawa. Zrzucam zatem swój ciężar na twoje barki, i to od ciebie zależy, jak skończy się ta układanka…”

Przeczytałam to dwa razy, potem zajrzałam do pojemnika.

Pierwsze, co zauważyłam, to karta do gry. As pik pokryty czymś ciemnoczerwonym. Od razu przypomniała mi się opowieść o Szulerze, który wszystkich kantował, dopóki ktoś go nie zastrzelił. Sądziłam, że mój niedawny klient zabrał sobie to jako pamiątkę. Kolejną rzeczą była iglica. Myślałam chwilę i zrozumiałam, że należała ona do Jednookiego. Staruszek dobrze wiedział, kim był drugi stalker. Byłam pewna, że Jednooki wcale nie miał pecha z bronią. Nie mogłam tylko pojąć, dlaczego on i Szuler zginęli w taki sposób. Ale gdy zobaczyłam kolejną rzecz, zaczęłam łączyć fakty. Stary tępy nóż, wszystko, co zostało człowiekowi, który sprzedał dzieci.

Trzy opowieści, trzech martwych ludzi. Zajrzałam głębiej do pojemnika – zdawało mi się, że już rozumiem większość tego, co starał się przekazać mi Staruszek. Iglica, nóż i karta, a pod nimi czapka, pomarańczowa. To Starzec załatwił Szulera, to on uwolnił dzieci i dał matce szansę, by się zemściła, to on wydał Jednookiego na żer mutantom. Wszyscy odcisnęli piętno na jego życiu, trzech pomocników kapitana drezyny. Trzech złych ludzi.

Dalej rozmyślałam nad jego słowami. Szukając Nadii na różnych stacjach, spotykał – jak to określił –„zło”. Wpadał na ludzi, którzy według jego opinii nie zmienili się w ogóle, mimo iż każdy miał zupełnie inną profesję czy życie.

Trzymałam teraz ostatni dowód tego bestialstwa, pomarańczową czapkę należącą do niejakiego Kapitana. Zastanawiałam się, czy aby Staruszek nie zapomniał opowiedzieć mi jeszcze jednej historii. I dlaczego w ogóle zostawił to wszystko mnie? Czegoś brakowało, ostatniego elementu układanki.

Rozłożyłam wszystko na stole i wróciłam jeszcze raz do notatki na pojemniku, która zaczęła się od niego odklejać. Oderwałam ją i zrozumiałam, że nie jest to papier, ale stara fotografia. Zdjęcie, które nie było mu już potrzebne. A na nim dwoje ludzi. Para, która przed laty została rozdzielona. Mężczyznę rozpoznałam od razu, kobieta, którą obejmował, musiała być zaginioną Nadią. Spojrzałam na nią i serce we mnie zamarło. Niemożliwe!

Dziewczyna była tak podobna… Tak podobna do mnie. Podobne rysy twarzy, te same rude włosy…

Szukając jej, mężczyzna znalazł mnie. Dziewczynę podobną do jego ukochanej. Może sądził, że jestem jej córką? Miałam mętlik w głowie. Moja matka Anna z opowieści ojca była zupełnie kimś innym. Zginęła po porodzie, a on opiekował się mną od tego czasu, zapewniając mi dach nad głową i miłość.

Myślałam bardzo długo o tym wszystkim. Nie wiem, ile czasu siedziałam nad stołem. Wreszcie mój ojciec wrócił z targu. Spojrzał na mnie, na rozłożone elementy układanki. Wystarczyło jedno jego zdanie, bym zrozumiała to, co Staruszek próbował mi powiedzieć od samego początku.

– Miałem kiedyś taką czapkę – spojrzał na pomarańczowe nakrycie głowy znajdujące się na stoliku. – W młodości – dodał, po czym zniknął w kuchni.

Siedziałam tam długo. Zupełnie sama z moimi myślami.

Tak jak mężczyzna nie uroniłam ani jednej łzy.

Człowiek, który wychowywał mnie przez te wszystkie lata i opiekował się mną, był w przeszłości zbrodniarzem. Byłam dzieckiem jego i kobiety, którą zgwałcił wtedy tam, na drezynie... Człowiek, który był mi ojcem, uśpił w sobie zło, gdy ja się urodziłam? Jego dawni sprzymierzeńcy nie zmienili się i pozostali złymi ludźmi, dlatego Staruszek wymierzył im sprawiedliwość. Lecz gdy zobaczył, że Kapitan kocha córkę i dba o nią, najwidoczniej się zawahał. W notce nazwał to „obrazem całości”, i to ja miałam teraz zadecydować o losie człowieka, który był mi bliski, ale jak się okazało, wyrządził w przeszłości straszliwe zło.

Patrzyłam na zdjęcie mojej matki… Nadii. Zdawałam sobie sprawę, że decyzja, którą muszę podjąć, będzie najtrudniejsza w moim życiu…

Czy zły człowiek może się zmienić?

Czy może wyzbyć się zła?

Czy odkupienie win jest w ogóle możliwe?…

Czy?…

Ewa „Pani_Cogito” Malinowska

Zwiad

I

– Kurwa! Zaciął się! – Postawny mężczyzna w masce przeciwgazowej siłował się z zamkiem karabinu.

– Osłaniam cię, Majorze! Tylko rusz dupę, bo jest ich coraz więcej! – zatrzeszczała przez maskę dziewczyna, po czym wysunęła się nieco do przodu, raz za razem strzelając do wilczurów.

– Dobra, mam! Wycofujemy się!

Karabiny terkotały. Serie pocisków kładły trupem kolejne mutanty. Para powoli zaczęła się wycofywać w stronę stacji metra. Kiedy mężczyzna oparł się plecami o metalową zaporę, trzykrotnie uderzył w nią kolbą karabinu. Zazgrzytał mechanizm metalowych drzwi.

– Owca, właź!

Dziewczyna posłuchała wezwania mężczyzny i wsunęła się do środka. Major zniknął za drzwiami kilka sekund po niej.

II

Zdjęli maski, dysząc ciężko. Wymienili spojrzenia, po czym uśmiechając się, ruszyli wolnym krokiem w kierunku schodów prowadzących na peron.

– Ej! Halo! – usłyszeli krzyk za plecami, ale żadne z nich się nie odwróciło. Wartownik znowu chciał zasypać ich pytaniami.

Zeszli po schodach, w stronę pomieszczenia służbowego, służącego teraz za szatnię i magazyn stalkerów. Rozebrali się, zrzucili kamizelki, mundury ochronne i ciężkie buciory.

– Owca, muszę ci powiedzieć, że masz całkiem zgrabny tyłek – rzucił mężczyzna z uśmiechem.

Dziewczyna podeszła do Majora, zdjęła koszulkę i zawiesiła mu na głowie, po czym poszła pod prysznic.

Mężczyzna wiedział, że nie ma u niej szans. Owszem, był wysportowany, potężnie zbudowany, ale twarz pooraną miał bliznami, a rysy we własnym mniemaniu małpie. Nie, zdecydowanie nie można było uznać go za przystojnego. Do tego był starszy od niej o dziewięć lat.

Po kilku minutach Owca wróciła do szatni umyta i w świeżym ubraniu.

– Co jest? Nie idziesz pod prysznic?

– Ja? Idę, myślałem tylko, że zaczekasz tam na mnie – roześmiał się.

Dziewczyna podeszła do nieco zabrudzonego lustra. Przeczesała krótkie czarne włosy. Mieszane pochodzenie dało jej skórę o barwie kory cynamonowca i czarne oczy. Była raczej średniego wzrostu, za to szczupła i umięśniona. Zarzuciła na ramiona swoją znoszoną skórzaną kurtkę i poszła na peron.

III

Major i Owca siedzieli w wagonie metra, który został przerobiony na siedzibę dowództwa. Pociąg zatrzymał się na stacji Imielin w dniu katastrofy i został tam do dziś. Wtedy Siemens Inspiro był najnowszym nabytkiem warszawskiego metra i najbardziej przestronnym składem w mieście. Połowa pociągu, czyli trzy wagony, została zajęta przez naczelnika stacji i głównych dowódców wojska i stalkerów.

– Mówisz, że stado liczyło około trzydziestu osobników? – zapytał starszy mężczyzna.

– Początkowo, bo wciąż ich przybywało – odpowiedział Major.

– Cholera, trzeba będzie wysłać większą grupę na zewnątrz, bo inaczej zostaniemy tu uziemieni.

– Dowódco, myślę, że to musi być naprawdę potężna grupa. Te zwierzaki były w stanie wybić większość ludności stacji Kabaty.

– Kabaty były nieprzygotowane. Mieli tam niewielu doświadczonych stalkerów, poza tym to cholerstwo wdarło się do środka. Nam to nie grozi. Możecie iść. – Starszy oficer wskazał im drzwi.

Major spojrzał na Owcę, z ociąganiem oboje posłuchali rozkazu.

– Jasne, nam to nie grozi. Pewnie naczelnik na Kabatach też tak myślał. Idioci – prychnęła, gdy stanęli już na peronie.

– Może dowódca ma jednak trochę racji. Przecież sama wiesz, że jesteśmy naprawdę dobrze zabezpieczeni.

Tylko rzuciła mu sceptyczne spojrzenie i ruszyła w stronę sporego ogniska. Po chwili wahania poszedł za nią.

Stacja Imielin, jak większość ursynowskich stacji, była dwunawowa. Pośrodku wyspowego peronu ciągnął się rząd słupów. Przed dwudziestoma laty stały tam ławki, teraz płonęły ogniska, handlarze rozstawiali swoje kramy, a podróżni rozkładali śpiwory.

– Kogo moje oczy widzą! Czyżby Wiktoria i Franek wrócili do domu? – powitał stalkerów chłopak przy ognisku. Kuba, elektryk na stacji, miał niecałe trzydzieści lat, jasne włosy i konstelację piegów na twarzy. – Opowiadajcie, jak było. Dużo problemów na powierzchni?

– Wielkie stado wilczurów, poza tym spokój – odpowiedziała Owca.

– A daleko zaszliście?

– Jasne, jakieś dwieście, może… – zaczął Major i rozkaszlał się gwałtownie. Oczy mu zaszły łzami, a twarz nabrała czerwonego koloru. Wreszcie udało mu się uspokoić. – Cholera. O czym to ja mówiłem? Ach, dwieście, może trzysta metrów. Wyszły z parkingu obok Multikina. Najpierw cztery, więc mieliśmy nadzieję, że nam odpuszczą. Jednak okazało się, że w środku jest ich więcej. Obserwowały nas przez dłuższy czas, po czym rzuciły się do ataku. Co zabiliśmy jedne, pojawiały się następne. Sprzęt mi się zaciął i gdyby nie Wiktoria, to byłoby po nas. Ale udało nam się. Rozwaliliśmy ponad dwadzieścia.

– Nieźle. Czyli jest gorzej, niż wszystkim się wydawało, co?

– Tak sądzę. Trzeba z tym coś zrobić, zanim wykurzą nas stąd jak ludzi z Kabat. – Franek wyjął z kieszeni paczkę skrętów i zapalił. Zaciągnął się i znów zakaszlał.

– Majorze, kaszlesz od miesiąca, a i tak palisz jednego za drugim. Rzuć to gówno w cholerę albo idź przynajmniej do doktorka.

– Doktorek mi powie, żebym rzucił, i tyle.

– No to może rzuć? Bo się, człowieku, udusisz, a wtedy Owca będzie musiała szukać nowego partnera. – Kuba puścił oko do przyjaciela i spojrzał na Wiktorię.

Nie słuchała. Patrzyła zamyślona w płomienie. Dopiero kiedy cisza się przedłużała, dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na nich zdziwiona.

– Co? Mam coś na twarzy czy coś?

Tylko roześmiali się w odpowiedzi.

– No, co? Wiecie, nie mam pojęcia, o co wam chodzi, i mam to gdzieś. Idę się położyć – rzuciła, wstając.

– Co ją ugryzło? – dopytywał się elektryk.

– Nie mam pojęcia. – Franek wzruszył ramionami i przeciągnął się, ziewając głośno. – Też chyba się położę. Ten zwiad mnie wykończył. Pogadamy jutro, co?

– Chłopie, idź ty do doktorka, dobrze ci radzę. Bo wykończą cię nie mutanty i inne stwory, ale te pieprzone skręty – pożegnał go Kuba.

IV

Owca i Kuba jedli śniadanie przy ognisku. Przygotowali talerz dla Majora, ale stalker się nie pojawił.

– Gdzie on się podziewa? – powtarzał elektryk.

– Nie wiem. Może posłuchał twojej rady i poszedł do lekarza? Ostatnio kaszle coraz częściej, a i kondycji nie ma już takiej jak dawniej.

– Czyżbyś się o niego martwiła?

– Owszem, ale to nie tak, jak myślisz. W końcu pracujemy razem i jeśli jemu się coś stanie na powierzchni, to i ze mną będzie kiepsko. – Owca

przez chwilę grzebała widelcem w jedzeniu. – Myślisz, że to może być coś poważnego?

– Podejrzewam, że to wszystko przez fajki. Pali od lat, więc pewnie stąd ten kaszel. Choroby się go nie trzymają. Myślę, że nie mamy się czym martwić.

***

– No, nie najlepiej to wygląda, Franek, nie najlepiej.

– Dobra, mów, co mi jest. To przez palenie?

– No cóż, papierosy nie pomagają. Wydaje mi się jednak, że przyczyną są twoje wypady na powierzchnię.

– Wypady na powierzchnię? O czym ty mówisz?

– Nie mogę być pewny, potrzebne byłyby badania, których tutaj nie da się przeprowadzić…

– Mów.

– Rak. Przykro mi.

– Ile mi zostało?

– Nie wiem. Trudno stwierdzić. Jeśli chcesz, mogę przebadać krew i wydzielinę pod mikroskopem, może wtedy będę w stanie powiedzieć coś więcej.

– Ile to potrwa?

– Jutro będę wiedział już wszystko. Musisz tylko silnie odkaszlnąć i wypluć to wszystko do tego pojemniczka. Postaram się to wszystko zbadać.

– Dzięki. – Major wziął pojemnik. – Mam prośbę, nie mów o tym nikomu, dobra? Jeśliby ktoś pytał, powiedz, że to przez palenie, albo wymyśl inną wiarygodną bajeczkę.

– Jasne, nie ma sprawy. Przyjdź jutro po południu.

***

Po wizycie u doktora Major poszedł w stronę ogniska. Owca czekała na niego. Lubił na nią patrzeć. Była wyjątkowo ładna. Szczególnie podobały mu się jej usta, pełne i świeże.

– Dzięki, że zaczekałaś.

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się smutno, po czym podała mu talerz z jedzeniem. – Byłeś u doktorka?

– Tak. Kuba miał rację, ten kaszel to wina papierosów.

– Papierosów? To już od dawna nie są papierosy, tylko jakieś gówniane skręty z nie wiadomo czego. Rzucasz?

– Postaram się, zobaczymy, jak mi pójdzie.

V

Ledwie Major skończył jeść, a dostali wiadomość, że mają się stawić w wagonie dowodzenia.

– Usiądźcie – polecił im naczelnik, gdy stawili się na rozkaz. – Mam do was sprawę. Chciałbym, żebyście wyruszyli na jeszcze jeden zwiad.

– Jak to? Wydaje mi się, że dostarczyliśmy dość informacji. Konieczne jest wysłanie na powierzchnię dużego oddziału i rozprawienie się z tymi mutantami.

– Tak, zgadza się. Poprosiliśmy o wsparcie naszych sąsiadów z Natolina. Słyszeliśmy, że oni ostatnio również mają problemy z tymi wilczurami.

– Po co zatem mamy znów wychodzić na powierzchnię? – Wiktoria nie kryła irytacji. – Ostatnio ledwo udało nam się wrócić!

– Rozumiem, ale naczelnik naszych sąsiadów stwierdził, że pomoże nam tylko wtedy, kiedy będziemy znać wszystkie szczegóły.

– Szczegóły czego?

– Dotyczące przeciwnika. Sami mówiliście, że te stwory prawdopodobnie gnieżdżą się na parkingu przy kinie. Musicie to sprawdzić.

– Sprawdzić? Mamy wejść do paszczy lwa? – Major zdawał się nie wierzyć własnym uszom.

– Stacja Natolin dała nam jasno do zrozumienia, że dopóki nie będziemy mieć potwierdzonych informacji dotyczących przeciwnika, nie wyśle nam żadnego człowieka. Dlatego musicie to sprawdzić. Najlepiej jutro o świcie. My wszystko przekażemy tamtym i wspólnymi siłami rozprawimy się z tymi wynaturzonymi wilkami.

– Czy pan nie rozumie, że możemy już nie wrócić? Jakim cudem mamy się tam niezauważenie zakraść? Ostatnio zaatakowała nas cała wataha, a nie byliśmy nawet w połowie drogi do parkingu! – Franek zacisnął pięści i zazgrzytał zębami z wściekłości. – Nie mam zamiaru dać się zabić!

– To rozkaz. Chciałem to załatwić z wami po dobroci, ale widzę, że nie chcecie współpracować. Jeśli nie wykonacie rozkazu, zostaniecie skazani za nieposłuszeństwo.

– Chyba żartujesz! – Dziewczyna chciała się rzucić na naczelnika, ale Major pochwycił ją, gdy już miała przeskoczyć nad stołem.

– Rozumiem. Wykonam rozkaz, ale proszę zwolnić z jego wykonania Wiktorię. Dam sobie radę sam, a nie ma sensu poświęcać dwójki najlepszych zwiadowców.

– Co? Nie, nie zgadzam się. Chcę iść! Naczelniku, proszę go nie słuchać!

– Z tego, co widzę, dziewczyna aż się pali do współpracy z tobą. Tak więc pójdziecie razem. Wyruszacie za dwie godziny.

– Dwie godziny? Przecież mieliśmy ruszyć jutro o świcie.

– Cóż, nazwijmy to zmianą planów – naczelnik uśmiechnął się wyzywająco. – Macie dwie godziny na przygotowanie. Wrócicie jako bohaterowie – kontynuował z głupawym uśmieszkiem. – Oczywiście, jeśli wrócicie. Powodzenia.

VI

Ubierali się powoli, w milczeniu. Unikali nawzajem swojego wzroku.

– Jakim prawem chciałeś mnie tu zostawić?! Dlaczego chciałeś iść sam?! – odezwała się wreszcie Owca.

– Nie chciałem, żebyś ryzykowała! To samobójcza misja i dobrze o tym wiesz!

– W dupie to mam! Jesteśmy zespołem, zapomniałeś?! Jakoś przez ostatnie trzy lata nie przeszkadzało ci, że ryzykuję, wychodząc z tobą na powierzchnię. Nieraz uratowałam ci życie!

– Wiem. Rozumiem. Chciałem tylko cię ochronić.

– Ty nic nie rozumiesz! Jesteśmy zespołem, partnerami i na powierzchnię zawsze wychodzimy razem! Koniec, kropka.

Po tych słowach między stalkerami ponownie zapadła cisza. Ubrali się, sprawdzili sprzęt i ruszyli w stronę metalowej śluzy oddzielającej stację metra od niebezpiecznego zewnętrznego świata pełnego mutantów i promieniowania.

Dozorca obrzucił ich smutnym spojrzeniem i powoli zaczął otwierać wrota. Franek i Weronika spojrzeli po sobie, próbując nawzajem dodać sobie otuchy, i założyli maski.

VII

Na powierzchni panował chłód i wiał porywisty wiatr. Niebo, jak zwykle, zasnute było gęstą warstwą ciemnoszarych chmur. Zanosiło się na deszcz.

– Dobra, ruszamy wzdłuż ściany Multikina. Na szczęście wiatr nam sprzyja, więc wilki nas nie wyczują za szybko. – Major skierował się w stronę budynku.

Dziewczyna trzymała się krok za nim, sprawdzając co jakiś czas tyły. Wiatr wzmagał się i zwiadowcy szli z coraz większym wysiłkiem. Byli w połowie drogi, gdy na ziemię zaczęły spadać wielkie krople deszczu, a niebo przeszyła jasna żyła błyskawicy. Huknęło. Z nieba posypał się grad wielkości piłek golfowych.

– Cholera, musimy się gdzieś ukryć! – zacharczał Major przez maskę.

Obydwoje zaczęli się rozglądać za odpowiednim miejscem.

– Tam. – Owca wskazała na niebieskie drzwi prowadzące do budynku kina, po czym powoli ruszyła w ich stronę. – Mam nadzieję, że są otwarte.

Mężczyzna nacisnął klamkę i drzwi uchyliły się z ciężkim zgrzytem. W środku panował półmrok, ale Major nie tracił czasu na szukanie latarki i wsunął się do środka. Owca weszła za nim i plecami naparła na drzwi, żeby je zamknąć. Dopiero teraz Major wyciągnął latarkę. Stali w długim, pustym korytarzu, zakończonym drzwiami dokładnie naprzeciwko tych, którymi się tu dostali.

– Co robimy? – zapytała dziewczyna.

– Sprawdzimy, co jest za drzwiami, i poczekamy, aż skończy się to oberwanie chmury.

Okazało się, że drzwi prowadzą do kinowego korytarza. Był szeroki i wyłożony granatową wykładziną. Po obu stronach znajdowały się dwuskrzydłowe drzwi do sal kinowych.

– Nie byłam tu nigdy.

– Ja tylko raz, jakieś pięć lat temu. Kino jest już niemal całkowicie ograbione. Nikt tu nie wchodził od lat, bo nie było po co.

– Pomyśleć, że przed tym wszystkim codziennie były tu tłumy ludzi spragnionych rozrywki. – Dziewczyna rozglądała się z ciekawością.

Major odprężył się nieco i opuścił delikatnie karabin. Nagle z jednej z sal dobiegł ich dziwny dźwięk, jakby pisk małego zwierzęcia.

– Słyszałaś? – Franek natychmiast podniósł karabin do policzka.

– Tak. Sprawdzamy?

– To nie nasz interes. Mieliśmy sprawdzić parking. – Cofnął się o krok, wciąż celując w drzwi.

– Niby tak, ale chyba lepiej, jeśli będziemy wiedzieć, co tam jest. W końcu musimy gdzieś przeczekać tę burzę, a tu…

Mężczyzna przerwał jej ruchem ręki. Drzwi się lekko uchyliły i wyszło zza nich szczenię wilka.

– Kurwa – wycedził przez zęby stalker.

Zaczęli się ostrożnie wycofywać. Wilk rozglądał się po korytarzu, najprawdopodobniej w poszukiwaniu matki. Kiedy ich zauważył, powoli wrócił do sali, cicho skomląc. Zwiadowcy zatrzymali się dopiero przy blacie niegdysiejszego bufetu. Po lewej stronie znajdowały się przeszklone

drzwi, główne wejście do kina. Po szybach nic już nie zostało i w foyer hulał wiatr.

– Dobra, właź za bar – rozkazał Major. – Musimy się zastanowić, co robimy dalej.

Owca posłusznie weszła za bar.

– Co robimy? – zapytała nieco zaniepokojona.

– Nie wiem. Chyba się pomyliliśmy.

– Jak to?

– Mam wrażenie, że one wcale nie mieszkają na tym parkingu. Wydaje mi się, że to tutaj znalazły kryjówkę.

– To gdzie teraz są?

– Pewnie na polowaniu. Najprawdopodobniej dorosłe osobniki poszły na polowanie, w środku zostawiając tylko szczenięta.

– Cholera, przecież one niedługo wrócą. W tę pogodę nie będą polować. Cholera… – dziewczyna urwała.

Major powiódł wzrokiem w stronę, w którą patrzyła Owca. O blat baru opierał się wielki wilczur, szczerząc ociekające śliną zęby. Franek bez namysłu puścił serię prosto w łeb mutanta. Ale do kina wracały już inne dorosłe osobniki. Franek i Wiktoria strzelali na oślep, ale na miejsce każdego zabitego mutanta pojawiały się dwa nowe.

– Nie mamy szans! Musimy się stąd jakoś wydostać – krzyknęła dziewczyna.

– Przeładowuję! – Zdawało się, że Franek nie zwrócił uwagi na jej słowa.

Wilki otaczały ich kręgiem.

– Musimy się stąd jakoś wyrwać! Majorze, słyszysz?! Musimy uciekać!

– Wiem! Odwrócę ich uwagę, a ty biegnij tam, skąd przyszliśmy. Tylko uważaj na salę ze szczeniakami. Są małe, ale w większej grupie mogą być równie groźne!

– A ty? Co będzie z tobą?!

– Spokojnie, jak już się wycofasz, to będziesz mnie osłaniać i dołączę do ciebie!

– Nie podoba mi się ten pomył! – powiedziała dziewczyna, zmieniając magazynek.

– Dam radę! Przygotuj się i na mój znak zasuwaj ile sił w nogach.

– Dobra!

Mężczyzna wskoczył na blat, nie przestając strzelać. Jeden z wilków rzucił się w jego stronę, ale Major podziurawił go, nim ten zdążył go dopaść. Stalker zeskoczył na ziemię i ciągle strzelając, ruszył w lewą stronę, odciągając nieco uwagę wilków od dziewczyny.

– Ruszaj, mała! – rozkazał.

Dziewczyna posłuchała rozkazu, najszybciej, jak tylko potrafiła przeskoczyła nad blatem i ruszyła biegiem w stronę pustego korytarza. Kilka wilków ruszyło za nią, ale Franek osłaniał partnerkę ogniem. Wycofując się, mężczyzna strzelał krótkimi seriami, kładąc i raniąc kolejne zwierzęta. Nagle zahaczył stopą o zagiętą wykładzinę i runął na plecy. Jeden z mutantów wykorzystał moment, dopadł do stalkera i sięgnął pazurami jego nogi. Chwilę później wilk padł martwy na ziemię.

– Uciekaj! – krzyczał Franek. – Ratuj się!

– Nie zostawię cię tu! – Dziewczyna ruszyła powoli w stronę partnera. Teraz strzelali do wilków z obu stron.

– Uciekaj, do cholery! Ja i tak niedługo umrę!

– Nie umrzesz, rozwalimy je razem.

– Mam raka! Spieprzaj stąd, idiotko! Ktoś musi ostrzec ludzi!

Dziewczyna stanęła i przestała strzelać. Na jej twarzy malowały się ból i zaskoczenie.

– Nie mogę… nie zostawię cię!

– Uciekaj!

Kolejny wilk szarpnął Majora zębami. Stalker krzyknął, wpakował mutantowi kilka kulek w głowę i złapał się za nogę. Mocno już krwawił.

– Uciekaj! – krzyknął i ponownie zaczął strzelać.

Dziewczyna wreszcie posłuchała, spojrzała na partnera przez łzy, zrobiła kilka kroków do tyłu, po czym odwróciła się i rzuciła biegiem

w stronę drzwi, którymi dostali się do środka. Mężczyzna wyciągnął granat, odbezpieczył i rzucił w największe skupisko mutantów.

Wybuch zatrząsł nieco budynkiem i ogłuszył go na dłuższą chwilę. Ale Franek nie przestał strzelać, dopóki naboje w magazynku się nie skończyły. Udało mu się na chwilę chociaż odpędzić wilczury.

Wyciągnął pistolet. Przystawił lufę do skroni, a pomieszczenie przeszył huk pojedynczego wystrzału.

***

– Wujku! Wujku! – jeden z chłopców siedzących w kręgu krzyczał z podniesioną do góry ręką.

– Słucham, Patryk, co masz do powiedzenia?

– No bo mi się chce siusiu, ale nie chcę niczego opuścić – powiedział zawstydzony chłopczyk.

– To biegnij. Poczekam na ciebie z opowieścią – odpowiedział mężczyzna, biorąc łyk wody ze szklanki i patrząc na otaczające go dzieciaki.

Po krótkiej chwili chłopczyk wrócił.

– Chcecie usłyszeć, co było dalej?

– Taaak! – odpowiedział mu chór zgodnych głosików.

VIII

Jeden z mutantów padł. Franek ze zdziwieniem spojrzał za siebie.

– Naprawdę myślałeś, że zostawię cię tu na pożarcie? – zapytała Owca, po czym złapała partnera pod ramię i odciągnęła nieco do tyłu. Rzuciła w mutanty kolejny granat.

Wilczury wycofały się skomląc, więc granat nie narobił wśród nich większych szkód, ale dał dziewczynie czas na przeciągnięcie przyjaciela o kolejne kilka metrów do tyłu.

– Dasz radę wstać?

– Po co wróciłaś?

– Zamknij się teraz i wstawaj, idioto! – mówiąc to, złapała go pod ramiona.

Major uwiesił się na jej ramieniu, a drugą ręką przytrzymał się ściany. Wiktoria strzelała z biodra, powoli się wycofując. Po kilku metrach zwiadowcy zauważyli, że mutanty wcale nie chcą atakować, tylko odpędzić intruzów od legowiska. Korzystali z tego, wycofując się jak najszybciej. Wreszcie Wiktoria otworzyła jakieś drzwi i skręcili w wąski korytarz.

– Zwariowałaś! Jesteś walnięta!

– Ja?! Tak mi dziękujesz za ratowanie życia?! Kto tu jest walnięty, co?

– Po co to zrobiłaś?

– Jesteśmy zespołem, zapomniałeś? Chciałam cię zostawić, ale nie mogłam. Wybiegłam z kina i modliłam się, żeby po drugiej stronie był taki sam korytarz. No i nie myliłam się – powiedziała z szelmowskim uśmiechem – a teraz się zmywajmy.

IX

– Co z nim będzie?

– Nie wiem. Jego noga nie wygląda najlepiej. Jeśli nie zacznie się goić, będę musiał ją amputować. – Lekarz stał nad nieprzytomnym Majorem. – Rany są poważne. Te zwierzaki nieźle go podrapały.

– Rozumiem. Mam jeszcze jedno pytanie… – powiedziała z ociąganiem Owca.

– Tak?

– On mówił coś o raku. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale może pan wie?

– Wiem, przed wyjściem był u mnie. Męczył go straszny kaszel. Chciałbym ci powiedzieć coś więcej, ale obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– W dupie mam twoją tajemnicę, doktorku. – Dziewczyna złapała lekarza za kołnierz. – Lepiej powiedz wszystko, co wiesz na ten temat.

– Oczywiście. Badania. Muszę zrobić badania. Potrzeba mi jeszcze kilku godzin i wszystko będzie jasne. Mam wrażenie, że może to być jakiś

pasożyt. Badania pod mikroskopem, Matko Boska, puść mnie, kobieto!

Dziewczyna posłuchała lekarza i zwolniła uścisk.

– Dobrze. Jak tylko będą wyniki albo Franek się obudzi, proszę do mnie przyjść.

***

– Co było dalej? Wujku, co dalej?

– Jak myślicie?

– Ja wiem! Ja wiem! – krzyczał jeden ze starszych chłopców.

– Ciii, nie zdradzaj zakończenia!

X

Major otworzył oczy. Był we własnym namiocie. Przy materacu, na którym leżał, siedziała Wiktoria.

– Co się stało? – zapytał lekko zachrypniętym głosem.

– Matko! Obudziłeś się! – wykrzyknęła dziewczyna, uśmiechając się ciepło. – Już myślałam, że cię tu nie dowlokę. Zemdlałeś chwilę po wyjściu z kina i musiałam cię przyciągnąć na stację. Doktorek odratował twoją nogę, ale czeka cię długa rehabilitacja, przynajmniej on tak mówi.

– Rehabilitacja? Po co?

– Jak to po co? Żebyś mógł normalnie chodzić!

– Mówiłem ci przecież, że zostało mi niewiele czasu.

– Nieprawda. Doktorek się pomylił. Zrobił te badania pod mikroskopem i wyszło, że masz pasożyta. Jakiś robal w płucach. Na szczęście okazało się, że mamy leki i nic ci nie będzie.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Co zrobiłam?

– Wróciłaś po mnie.

– Bo jesteśmy partnerami, no nie? Poza tym masz fajny tyłek.

Wojciech Magiera

Dom ostatnich z nas

Nie miałem pojęcia, jaki pokonałem już dystans. Może sto, może dwieście metrów. Znalazłem się w ciasnym, przesyconym dziwną wonią miejscu. Ale do zapachu zdążyłem się już przyzwyczaić.

Tunel miał góra półtora metra wysokości i musiałem się nieustannie schylać, co przysporzyło mi nieco trudności. Do tego co kilka metrów trafiałem na zwały ziemi.

Monotonne skrzypienie wózka, raz po raz rozdzierające ciszę, przyprawiało mnie o dreszcze. Kolejna wywózka zwłok z naszego tunelu. Naszego… Za chwilę zostanę w nim sam i stanie się to, czego najbardziej się obawiam. Człowiek w takiej sytuacji się boi… A przynajmniej ja się bałem… Po prostu nie chciałem zwariować. Niczego się tak nie bałem jak tego, że mój umysł nie wytrzyma, że osunę się w szaleństwo. Mogłem głodować parę dni, mogłem jeść, srać i spać w jednym ciasnym pomieszczeniu. Mogłem wywozić zwłoki na powierzchnię, by nie gniły w tym ciemnym korytarzu, w którym już i dla mnie było zbyt mało miejsca. Ale – do cholery! – nie chciałem zwariować…

Tunel, w którym teraz utknąłem, miał około czterech kilometrów długości. Odległość oceniałem na podstawie kroków. Nie było tu światła. Co prawda, mógłbym tu jakieś zainstalować, ale nie miałoby to większego sensu. Tunel był prosty i nie dało się zabłądzić.

Przystanąłem i wyjąłem z kieszeni latarkę na dynamo. Dwadzieścia obrotów. Moja dłoń pracowała szybko.

– Psia mać!

Latarka wypadła mi z rąk. Znalazłem ją bez trudu.

Kolejne kilka obrotów i mogłem się rozejrzeć przez chwilę. Zobaczyć, które kółko utknęło, i usunąć problem.

Straciłem trochę czasu i zdążyłem zatęsknić za żywym towarzystwem.

Gdy dochodziłem do któregoś z wyjść – czy to wschodniego, czy zachodniego – zwykle zaczynała drżeć mi prawa dłoń. Nie wiem, dlaczego się tak działo. Po prostu tak już miałem.

Końcówka tunelu była szersza i wyższa. Kilka razy upolowałem tu szczura albo coś, co wyglądało jak szczur. Pierwszego zjadłem z konieczności. Drugiego już z przyjemnością, bo pierwszy nie był w końcu taki zły…

Że też ktoś wybudował takie miejsce – pomyślałem. Czterokilometrowy podziemny tunel miał być zapewne schronem, a podczas drugiej wojny światowej wpadł w ręce Sowietów, a potem Niemców i ci nieco go zmodernizowali, a właściwie rozbudowali, dokładając do nitki sporo pomieszczeń. Chciałoby się teraz rzec: „chwała wam za to”, choć po tylu latach nikogo już nie obchodzili budowniczowie tunelu… Mnie w sumie też nie. Moim zadaniem było wyrzucenie zwłok na zewnątrz.

Każdy z nas miał jakieś zadania… no, prawie każdy. Moim obowiązkiem było wychodzenie na powierzchnię. Uważałem się za poszukiwacza i odkrywcę. Zostałem już tylko ja jeden, i jak na razie mnie to nie złamało. Daniel, a potem Pedro towarzyszyli mi kiedyś na powierzchnię. Pierwszy z nich przepadł na górze, drugiego wykończyło zwykłe przeziębienie. Ludzie powoli wymierali i przyszłość wydawała mi się coraz bardziej ponura.

Wtaszczyłem swój sprzęt po drabince do górnego pomieszczenia, tuż przy włazie. Zszedłem ponownie na dół, gdzie czekała mnie ta trudniejsza część: musiałem przywiązać liną czterdziestokilogramowe ciało, wejść znów po drabince i swoimi wątłymi ramionami wciągnąć je na górę.

Nie wiem, ile czasu mi to zajęło, miałem go w nadmiarze, nie musiałem się śpieszyć.

Włożyłem wszystko: gruby kombinezon, płaszcz, rękawice, i co najważniejsza, maskę. I jeszcze hełm wyglądający jak te, których

w każdym filmie używali naziści. Nie lubiłem tych skojarzeń, więc przewiązałem na nim przepaskę, biało-czerwoną – patriotyczną. Wyglądał lepiej, a do tego, gdybym na zewnątrz wpadł na rodaka, to mogłem mieć nadzieję, że nie odstrzeli mi dupy. Niestety, przez te wszystkie lata nie spotkałem nikogo.

Kilka oddechów, by się uspokoić.

Rewolwer – stary, ale wciąż sprawny – miałem pod ręką.

Otworzyłem pierwszy stalowy właz. Za każdym razem oblewał mnie przy tym zimny pot strachu, jakby za metalowymi drzwiami czaiło się zło, ale nigdy dotąd niczego za nimi nie znalazłem. Teraz też nie. Ale na wszelki wypadek znów biorę latarkę, kręcę kilka razy i sprawdzam.

Wciągnąłem za sobą już ciało. Zamknąłem pierwszy właz i podszedłem do następnego.

Strach przerodził się w podniecenie. Otworzyłem drzwi do świata, który legł w gruzach, który przeminął lata temu… Oglądam go przez grube szkła maski.

Na samym początku robię zawsze to samo. Rozglądam się dookoła w nadziei, że spotkam kogoś i że świat zmienił się na lepsze… Jak zawsze daremnie. Nawet jeśli kiedyś nastąpi jakaś zmiana, ja już jej pewnie nie zobaczę.

***

Wychodziłem na powierzchnię przez piwnice zburzonego budynku.

Gdy byłem mały, słyszałem opowieści o podziemnych tunelach łączących kilka miejsc oddalonych od siebie, ale dziś nikt nie był na tyle odważny, by sprawdzić, czy to prawda… Teraz, kiedy wszystko było tak pochrzanione, nikt już nie chciał wychodzić z podziemi. Tylko ja i kolejne zwłoki. Wrzuciłem je do rowu, tego samego co zwykle.

W myślach liczyłem ich wszystkich. Szalony Gregor, Monika, Michał i Józek – ci byli ostatni i leżeli na wierzchu. Pod nimi wielu innych, moi

przyjaciele, choć nie wszyscy. Ostatni z nas. Poczułem, że oczy mi wilgotnieją, znak, że pora już wracać.

I nagle usłyszałem jakiś dźwięk, szelest zza pagórka. Od razu chwyciłem za broń, odbezpieczyłem ją i trzymałem w pogotowiu. Serce waliło mi jak szalone. Zrobiłem kilka kroków, ale nie w tył. Byłem ciekaw.

Skradałem się, jak najciszej potrafiłem, niestety, na próżno. Za pagórkiem nie znalazłem niczego ciekawego. Jakaś stara zardzewiała blacha, którą poruszył wiatr.

Nie pora teraz na zbieranie czegokolwiek – pomyślałem i odwróciłem się. Przeszedłem kilka metrów i chyba znów coś usłyszałem. Może to znowu wiatr wyczyniał swoje figle, a może mi się wydawało. Odwróciłem się jednak zbyt gwałtownie i upadłem. Stoczyłem się kilka metrów w dół. Pozbierałem się dość szybko. Chciałem zawrócić, ale zauważyłem coś pod gruzem, który przed chwilą poruszyłem.

Coś jakby okrągła metalowa kulka – takie były moje pierwsze skojarzenia. Przyklęknąłem i przyjrzałem się znalezisku, i od razu wiedziałem, co to jest. Mały medalion na łańcuszku, taki otwierany, na mały skarb lub fotografię. Niestety, w tych rękawicach nie byłem w stanie go otworzyć, ale i tak bardzo chciałem mieć tę rzecz. Łańcuszek wydawał się zaczepiony o coś pod gruzem.

Zacząłem odsypywać gruz przy pomocy małej saperki, którą nosiłem zawsze na plecach, przymocowaną do paska.

I po chwili już wiedziałem, co trzymało łańcuszek. Mała rączka, a przynajmniej to, co z niej zostało. Rączka dziecka, które nie chciało pożegnać się z tą cenną rzeczą, którą teraz ja trzymałem w dłoni.

W takich chwilach miałem ochotę palnąć sobie w łeb i odejść z tego świata na własnych warunkach. Ale chęć życia była we mnie silniejsza niż największy nawet żal. I brnąłem teraz w głąb tunelu z nowym skarbem w kieszeni.

Nawet nie używałem już latarki, droga powrotna zawsze była dla mnie w pewnym sensie nieco prostsza.

– Wiktor! – krzyczałem ile sił. Wykrzykiwałem swoje imię, mając nadzieję, że jestem już w odpowiednim miejscu. Co prawda, nikt nie nazywał mnie Wiktorem. Gdy wołałem, to ten przedziwny tunel niósł słabe echo i w oddali było słychać tylko: „Wik". I tak też mnie nazywali.

Gdy głos zadźwięczał w tunelu, gdzieś około dwudziestu metrów przede mną pojawiło się słabe światło. Tam właśnie zmierzałem.

– Co tak długo, Wik? – zapytała podenerwowana Maria.

Była ostatnią kobietą wśród nas.

Czasem dla żartu nazywaliśmy ją błogosławioną lub pełną łaski. Czy była pełna łaski – nie wiem, ale błogosławiła nam, gdy na zmianę kładła się z nami spać. Teraz jednak, kiedy zostało nas już tylko czterech, została ze mną, bo to ja byłem najważniejszym ogniwem naszego systemu. Daniel i Pedro przepadli, wszyscy byli już zależni od tego, kto wychodzi na powierzchnię.

– Nie wiem, czy długo – Spojrzałem jej w oczy.

I w tym momencie zdałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Brakowało mi czegoś. Tykania zegara, dźwięku, na który właściwie nie zwracało się uwagi, póki nie zamilkł.

– Dlaczego on nie działa?! – odwróciłem się wściekły do Marii.

Zegar trzeba było nakręcać raz dziennie, tak dla pewności. By przypadkiem nie pominąć jednego dnia, a potem kolejnego.

– Raz dziennie! – znów na nią krzyczałem a ona zdawała się trząść jak osika. – To twoje jedyne zadanie, raz dziennie!

W normalnym świecie byłaby to błaha sprawa, ale nie tu, nie w tych okolicznościach, kiedy było tak ważne, by znać godzinę… Choć może tak naprawdę nie było to ważne… Schowałem twarz w dłoniach i kręciłem się bezradnie.

Ten widok chyba przeraził wszystkich – obok mnie stał już Jakub, starszy jegomość z brodą do kolan, a tuż za nim przybiegł Vojtěch, czeski imigrant, który język polski znał lepiej ode mnie. Byłem Ślązakiem i mój dialekt sprawiał wszystkim więcej kłopotu niż wybrakowana polszczyzna Czecha.

– Stary, wyluzuj, to tylko zegar. – Vojtěch stał w tych swoich łachmanach i szczerzył cztery zęby, które jakimś dziwnym trafem zostały mu na przedzie.

Nie przepadałem za nim już od dłuższego czasu… Im mniej nas było, tym większym okazywał się dupkiem. Wciąż byłem od niego lepszy, bo on nie wychodził na powierzchnię. Ale chciałem to zmienić.

W pierwszej kolejności nakręciłem zegar. Nie zapomniałem o spróchniałym uśmieszku Czecha, podszedłem do niego i pchnąłem jego wątłe ciało na ścianę. Nie interesowało mnie, czy właśnie strzaskałem mu kilka żeber.

– A może ty wyluzujesz i wyjdziesz na powierzchnię?

Zobaczyłem w jego oczach strach.

– Daj spokój, masz zszargane nerwy ciągłym wychodzeniem na zewnątrz. Chodź za mną. – Maria chwyciła mnie za ramię i puściłem Vojtěcha.

Poprowadziła mnie do swojego niby-pokoju. Siedzieliśmy przy świetle starej żarówki. Sądziłem, że jak zawsze w takich sytuacjach rozchyli nogi i spojrzy w sufit, a po pięciu minutach oboje będziemy spokojni.

– Jesteś zestresowany – powtórzyła.

– Ten zegar jest dla mnie ważny. Wiem, kiedy na zewnątrz jest dzień, a kiedy noc. – Okryłem się starym kocem. – Mamy inne zmartwienia.

Wiedziałem, że chodzi jej o ciało, które wyrzuciłem przed dwoma godzinami. Ludzie umierali tu z głodu, strachu lub po prostu umierali. Ja nie byłem lekarzem, tylko co najwyżej grabarzem. Ale w ostatnim przypadku nie miałem problemu z ustaleniem przyczyny śmierci. Ludzie popełniali samobójstwa, szczególnie na początku, zwykle standardowo podcinali sobie żyły. Nikt się nie wieszał, bo sufit był tuż nad naszymi głowami. Ale raczej nieprawdopodobnym było, by wbić sobie samodzielnie nóż z piętnastocentymetrowym ostrzem w gardło… I to wbić go pięć razy.

A skoro raz popełniono morderstwo, to na jednym mogło się nie skończyć.

– Kto to zrobił?

– A jak myślisz! – burknąłem. – To ten Czech. Już wiem, co z nim zrobię. Oszalał i chce się nas pozbyć, bo z miesiąca na miesiąc coraz trudniej utrzymać tylu ludzi.

– Co chcesz zrobić?

– Jutro każę mu wejść do tunelu. W kilku miejscach ziemia wdarła się do środka. Wezmę broń i wyrzucę go na zewnątrz.

Milczała. Chciałem zostawić jednego z nas na pastwę losu. Ale nie mogła mi się sprzeciwić. Ona nie była nikomu potrzebna do życia. Musiała się trzymać najsilniejszego. Musiała siedzieć cicho.

Nie chciałem już o tym myśleć. Zamierzałem się położyć, ale coś mi się przypomniało. Mój skarb. Dopiero, gdy byłem sam, wyjąłem znaleziony medalik.

W środku tak jak myślałem – zdjęcie szczęśliwej rodziny. Mała dziewczynka oraz jej rodzice. Na zdjęciu wyglądała na szczęśliwą. Czy trafiła do nieba? Wiedziałem tylko, że opuściła piekło – to, które było na ziemi.

Nie oglądałem już dalej mojej zdobyczy, wsunąłem ją do skrzynki z przeróżnymi rzeczami pod materac. Zasnąłem w końcu sam, nie chciałem Marii obok siebie, nie tej nocy.

Zbudził mnie kobiecy krzyk. Wytrenowanym ruchem chwyciłem za broń i już po chwili zobaczyłem to co Maria.

– Powiedz, że to nie ty – szepnęła mi do ucha, zanim dołączył do nas Jakub.

Staliśmy teraz we troje, bo czwarty z nas nie mógł już wstać. Czech, którego sam chciałem się pozbyć, leżał teraz z głową w wiadrze pełnym gówna.

– Boże Przenajświętszy. – Jakub przeżegnał się kilka razy.

– Bóg już dawno opuścił to miejsce, o ile kiedykolwiek tu był.

– Co teraz z nami będzie? Boże, ratuj nas – w jego głosie pobrzmiewała histeria.

– Jeszcze raz wymówisz jego imię, to sam skończysz w wiadrze.

Wystraszył się na tyle, że zamilkł, ale dalej machał te swoje krzyżyki wątłymi rękami.

Zbliżyłem się do wiadra. Chwyciłem za włosy i uniosłem głowę. Chciałem sprawdzić, czy nie ma większych widocznych obrażeń, niestety, jego twarz była usmarowana kałem, a ja najzwyczajniej w świecie nie miałem ochoty tego czyścić.

– Jakub, mamy jakiś worek?

Przyniósł mi coś, co wyglądało jak worek, chciał mi go podać, ale dałem mu do zrozumienia, że ja tego nie zrobię.

Chwilę później razem z naszą błogosławioną obserwowałem, jak Jakub zawija śmierdzącą głowę.

Spojrzała na mnie, jakby dalej wyczekiwała odpowiedzi na zadane przed chwilą pytanie.

– Ja go nie zabiłem.

Jej spojrzenie powędrowało do Jakuba.

– Tak musiało być, dobrze zrobiłeś – stwierdziłem, stojąc nad ciałem. – To był zły człowiek, a mamy zbyt wiele zmartwień i bez niego.

W pierwszej chwili chyba nie zrozumiał.

– Nic mu nie zrobiłem, to nie ja – zaprotestował po chwili jakby urażony.

– Przecież to nie żadne z nas – oburzyła Maria.

– Ja tego nie zrobiłem – powtórzył zdecydowanie.

Przed chwilą był przestraszony i wzywał Boga, teraz w obliczu oskarżeń odzyskał panowanie nad sobą. Albo był socjopatą, albo niewinny.

– Lepiej zrobisz, jeśli przyznasz się teraz. Nikt z nas nie wyciągnie żadnych konsekwencji – upierałem się. – Usuniemy ciało i uznamy, że to się w ogóle nie zdarzyło. Musimy się trzymać razem, zostało nas tylko troje – dokończyłem. Chciałem przetrwać, ale za nic w świecie nie chciałem zostać sam, by nie popaść w obłęd.

– Nie zrobiłem tego! Równie dobrze mogła zrobić to ta dziwka! – wskazał brudnym paluchem na Marię. – Wiem, że Czech brał ją siłą, gdy wychodziłeś, teraz pewnie się mu odwdzięczyła!

Szczerze powiedziawszy, było mi obojętne, co działo się z Marią. Bardziej obchodziło mnie to, kto z tej dwójki bawi się w skrytobójcę. Musiałem myśleć trzeźwo. Obojętnie, kto utopił Czecha w gównie, i tak było to chyba dla niego lepsze niż los, jaki sam chciałem mu zgotować.

– Przyprowadź wózek. Wywiozę go za jakiś czas – rzuciłem Jakubowi i poszedłem do siebie.

Szare ściany nie działały na mnie dobrze. Czasami wyobrażałem sobie, że mają inny kolor, zielony – rodzącej się nadziei na lepsze jutro. Każdy kolejny dzień był taki sam: szary, zimny, w mroku, a ostatnio także we krwi moich pobratymców.

Potrzebowałem otuchy, sięgnąłem do mojego pojemnika ze skarbami i wyciągnąłem z niego medalik. Spoglądałem na dziewczynkę i zastanawiałem się, kim była i co stało się z jej rodzicami…

– Musimy odejść. – Wejście Marii przerwało moje rozmyślania.

Byłem tak w nich pogrążony, że gdyby się nie odezwała, pewnie w ogóle bym jej nie zauważył. Ale teraz widziałem, jak obserwuje skarb w moich rękach. Nie zamierzałem się nim z nią dzielić, był wyjątkowy i należał tylko do mnie.

– Gdzie chcesz odejść? Chcesz mieszkać w tunelu tuż za włazem?

– Nie. Chcę wyjść na zewnątrz, chcę poszukać innych ocalałych, przecież gdzieś muszą być inni ludzie. Sami daliśmy sobie radę przez tyle lat, więc gdzieś na pewno są inni…

– Dość! – uciąłem, gasząc w jej oczach błysk nadziei. – Ty nie wiesz, co jest na zewnątrz. Nigdy tam nie byłaś. Nie przetrwasz tam. Równie dobrze możesz sobie tu strzelić w łeb!

Chciałem jakoś przebić się przez jej głupotę.

Rozpłakała się. Myślałem, że mam ją z głowy, ale ona nie dała za wygraną. Przysiadła przy mnie, jakbym był jej jedyną nadzieją.

– Włożę taki kombinezon jak ty i wyjdę z tobą. Chcę zobaczyć, co jest na zewnątrz. Tam na pewno coś jest.

Zaskoczyła mnie, każdy z nas czuł strach przed wychodzeniem na zewnątrz, a Maria nigdy wcześniej o tym nie wspominała. Chyba że…

Chyba że to ona zaczynała szaleć i pokazywać teraz swoje drugie oblicze. Nie mogłem jej ufać, być może Vojtěch zginął z jej ręki.

Nie wiedziałem, czy szaleństwo stało się udziałem Marii i Jakuba, czy tylko jednego z nich. Musiałem ich rozdzielić.

Jakub nie protestował, kiedy oznajmiłem mu, że razem z Marią wychodzimy. Zostaliśmy sami, z ciałem. Chciałbym raz dla odmiany pójść przez wschodnią część tunelu. Była ona jednak miejscami tak zasypana, że nie dałoby się tamtędy przewozić niczego wózkiem. Nie zapuszczałem się w tamte strony od czasu, gdy przepadł tam bezpowrotnie Daniel.

Teraz jednak nie mogłem iść w zupełnej ciemności i świecić sobie tylko od czasu do czasu. Bałem się Marii i tego, że może mi coś zrobić. Gdy wyszliśmy z naszych pomieszczeń, które nazywaliśmy po prostu bunkrem, od razu ją przytuliłem. Nie dlatego, że potrzebowałem czułości, nie obchodziło mnie też, czy Maria jej potrzebuje. Chciałem ją tylko przeszukać i sprawdzić, czy nie zabrała ze sobą jakiejś broni..

Maria nigdy nie szła dalej niż do połowy trasy, zawracając około tysięcznego metra. Kiedy oznajmiłem jej, że właśnie minęliśmy tę granicę, obleciał ją strach. Zaczęła nerwowo rozglądać się dookoła i szybciej oddychać.

– Słyszałeś to? – Odwróciła się w moją stronę.

Rozdzielał nas tylko wózek z ciałem i jakby tego było jeszcze mało, jedna z rąk zsunęła się na ziemię, jakby była żywa.

Maria zaczęła krzyczeć. Przeskoczyłem, a raczej przetoczyłem się przez wózek i ciało, bo o skakaniu w zgarbionej pozycji nie było mowy. Chwyciłem ją i uderzyłem w twarz; powtórzyłem, i jeszcze, i jeszcze… Uspokoiła się dopiero po piątym razie.

Nie wiem, ile tam staliśmy, może pięć minut, a może pół godziny. Sądziłem, że skoro się już ostatecznie uspokoiła, będzie chciała zawrócić. Ona jednak mnie zaskoczyła, kierując się w stronę wyjścia.

Kolejne sto metrów przeszła pewnie, następne już nieco wolniej. Trzysetny metr pokonała, znów lekko dygocząc i odwracając się co chwilę

w moją stronę, by zobaczyć, czy aby na pewno idę za nią. Dochodząc do osiemsetnego metra, próbowała wszystkiego, żeby tylko o tym nie myśleć, żartowała, opowiadała o przeszłości, czego nie znosiłem. Wspominała tych, którzy ostatnio zginęli.

– Dość tego! – wykrzyczałem wreszcie.

Pomogła mi wciągnąć zwłoki na linie.

Zacząłem się ubierać w kombinezon, ale ona tylko stała nieruchomo.

– Musisz to założyć. Wiem, że to ciężkie, ale bez tego nie możesz wyjść.

Dotykała teraz swoich przerzedzonych ciemnych włosów dłonią i zdawało się, że zaraz zacznie je rwać z głowy.

– Ja… Ja nie mogę. Nie potrafię.

Zdjąłem maskę wiszącą na betonowej ścianie i rzuciłem Marii, tak na wszelki wypadek. Nie spodziewałem się, że na jej spodniach pojawi się mokra plama. Nie wiedziałem teraz, czy Maria była zdolna do morderstwa. Mogła być szalona albo i nie. Zostawiłem ją i kazałem jej czekać.

Odprawiłem znów tę samą ceremonię. Rozejrzałem się dookoła i raz-dwa wyrzuciłem ciało. Nieczęsto zdarzało mi się opuszczać tunel w tak krótkim odstępie czasu jak tym razem, więc nawet nie przyszło mi na myśl, by znów podążać za dźwiękiem blachy niesionym przez wiatr. Zrobiłem to, co musiałem, i wróciłem do Marii. Chciała wracać.

Milczeliśmy.

Nie wiadomo dlaczego znów zacząłem myśleć o tej maleńkiej dziewczynce. Nie znałem jej, była mi obca. Mimo to zastanawiałem się nad tym, czy była szczęśliwa i co robiła przed śmiercią. Czy beztrosko biegała po podwórku, grała w klasy i bawiła się w berka? Ja pamiętałem takie zabawy, dzieciństwo na naszym pięknym Śląsku zanieczyszczonym dymem z kominów. Nie wiem, może dlatego byłem taki zahartowany i dzisiejszy klimat na powierzchni jakoś w ogóle mnie nie odstraszał…

W świetle latarki zobaczyłem niedomknięte drzwi naszego bunkra.

– Dziwne – stwierdziłem.

Maria zignorowała mnie i jak tylko przekroczyła próg, uleciał z niej cały strach. Podeszła do zegara i nakręciła go. Po czym uśmiechnęła się do mnie jak gdyby to, co stało się w ciągu kilku ostatnich godzin, w ogóle się nie wydarzyło. Nie miałem ochoty tego komentować. Nurtowało mnie co innego.

Dlaczego właz był niedomknięty? Już chciałem skarcić Jakuba za to niedopatrzenie. Ale nie było go w jego pokoju. Sprawdziłem wychodek, też nic. Podejrzewałem, że znajdę go u siebie, ale była tam tylko Maria. Leżała na łóżku w dość jednoznacznej pozycji. Jakby sądziła, że jeśli zachowa się jak dziwka, to oboje zapomnimy o wszystkim.

Nie zamierzałem teraz skorzystać z jej usług.

– Gdzie jest Jakub? Nie było go w wychodku ani w jego pomieszczeniu.

– Może poszedł w drugą stronę tunelu, drzwi były niedomknięte.

– Po co miałby tam iść?

– Może mu odbiło.

Coś mi się wydawało, że jednak nie wyszedł. Wolałem się upewnić. Lepiej było go znaleźć, niż ryzykować, że zaatakuje z jakiegoś kąta. Wyobraziłem sobie teraz taką scenę: Jakub wchodzący do naszego pomieszczenia z mieczem i krzyżem na piersi pytający: „Jesteście wierzący?”, my chórem odpowiadamy: „Nie”, a on na to: „To gińcie w imię Chrystusa”.

Kazałem Marii się ubrać.

Przeszukanie naszego bunkra nie zajęło nam zbyt wiele czasu. Maria szła przede mną, nieświadomie służąc mi za tarczę.

Może i byłem niezłym skurwielem i zachowywałem się, jakbym był jakimś prorokiem traktującym swoich wyznawców jak śmieci. Ale tak naprawdę nigdy nie prosiłem się o przywództwo, a skoro ono zostało mi powierzone, to musiałem być twardy.

Zostało nam do sprawdzenia tylko jedno miejsce. Ostatnie, w którym mógł się ukryć. Był to składzik z jedzeniem, które wydzielaliśmy sobie w niewielkich porcjach. To właśnie Jakub był kimś, kto się tym zajmował.

Miał klucz do tego pomieszczenia, więc kiedy zastaliśmy go w środku, żadne z nas nie było zaskoczone.

– Dlaczego nie zamknąłeś włazu? – zapytała go Maria.

Jakub siedział przy małym stoliczku oparty wygodnie o metalowe krzesło i w ogóle się nami nie przejmował.

– Hej, ty! – krzyknąłem, ale dalej nic.

Podszedłem do niego.

– Skurwiel wyżera jedzenie.

Na stoliku były grzyby z zapasu, który miał starczyć na kilka dni, a on już dobrał się do kolejnych. Do tego popijał wodę, której też nigdy nie mieliśmy dość.

Spojrzałem na niego, rozdziawiona gęba i piana tocząca się z ust.

– Jest chory? – Maria cofnęła się nieco.

– Jeśli śmierć jest chorobą, to niewątpliwie jest zarażony. – Zobaczyłem osad w jego kubku z wodą. – To jakaś trutka, chyba na szczury.

Jakub zakończył swoje życie w bardzo marnym stylu. Jakby tego było mało, przed śmiercią wyżarł nam zapasy.

Maria osunęła się po ścianie, podkuliła nogi, złapała się za głowę.

– Nie mogę, nie wytrzymam. – Zawodziła i raz po raz uderzała głową o ścianę.

Już nie byłem przywódcą grupy, byliśmy tylko we dwoje. Musiałem jakoś uspokoić Marię, zanim zrobi sobie krzywdę. W końcu od samego początku obawiałem się zostać sam. I nie miało znaczenia, kim była druga osoba. Teraz moim celem było ocalenie Marii, a tym samym samego siebie.

Wziąłem ją w objęcia.

– Będzie dobrze, obiecuję. Zostaliśmy sami i musimy się wspierać.

Z początku tylko płakała. Miała dość przeżyć jak na jeden dzień. Z trudem wziąłem ją na ręce i zaniosłem do swojego pomieszczenia. Przykryłem kocem i głaskałem po policzku, aż w końcu się uspokoiła.

Zabezpieczyłem jedzenie i wylałem zatrutą wodę, by żadne z nas nie wypiło jej przypadkiem. Podniosłem dłoń Jakuba, żeby zawlec go na wózek. Ale coś przykuło moją uwagę. Na betonowy podest spadła pożółkła

kartka pokryta wyblakłym pismem. Litery skreślone ołówkiem, niczym list pożegnalny, kilka prostych słów: „Przepraszam, że zrobiłem to wszystko, chcę się spotkać z Bogiem”.

Jakub nigdy nie był zbyt wylewny, więc tych kilka słów musieliśmy sobie sami zinterpretować. Odczytałem je Marii, która już prawie zasypiała.

– Chyba chciał wszystkich zabić, byśmy połączyli się z Bogiem, ale kiedy go przejrzeliśmy, sam ze sobą skończył.

– Możliwe, że tak było – odparła po chwili lekko zamyślona.

Chciałem już wyjść z pomieszczenia.

– Zostań – poprosiła w ostatnim momencie. – Proszę, nie zostawiaj mnie teraz samej.

Miałem wrażenie, jakbyśmy byli ostatnimi ludźmi na Ziemi. Nie wiem dlaczego, ale czułem, że jak teraz wyjdę z pokoju, to stanie się coś złego. Zostałem więc i położyłem się obok niej.

Chyba sam byłem bardzo zmęczony tym wszystkim, bo zasnąłem bardzo szybko.

Obudził mnie straszliwy koszmar, przerażająca wizja śmierci. Dziewczynka ze zdjęcia w medalionie siedziała przede mną i błagała o życie. A ja zaciskałem dłonie na jej szyi, powtarzając: „Tak będzie dobrze, musimy z tym skończyć”.

Obudziłem się zlany potem.

– To tylko sen, tylko sen – powtarzałem sobie cicho, nie chcąc obudzić Marii.

Nie wiedziałem, ile godzin spałem, więc musiałem wyjść do głównego pomieszczenia, by zobaczyć zegar. Znów powitała mnie cisza. Ale tym razem moją uwagę przykuło coś innego niż brak tykania. Tuż nad wejściem do naszego bunkra widniał sporządzony przeze mnie napis: „Dom ostatnich z nas”. Nie wiedzieć dlaczego, gapiłem się teraz na niego, coś mi nie grało.

Wróciłem do swojego pomieszczenia, Maria jeszcze spała odwrócona plecami do mnie. Podniosłem kartkę papieru, na której Jakub napisał swoją ostatnią wiadomość.

– Nie, to niemożliwe – wyrwało mi się. – To nie ma sensu, to jakaś magia…

Wiadomość skreślona ołówkiem została napisana tym samym charakterem pisma co napis nad wejściem. Jak to możliwe? Czy to ja? Czy to ja napisałem list pożegnalny Jakuba? Co się ze mną dzieje?

Przerażony jak nigdy dotąd, zaczynałem panikować.

Maria dalej spała w najlepsze mimo mojego zawodzenia. Podszedłem do niej i dotknąłem jej ręki – jakby zimniejsza niż zwykle. Nie ruszała się, a ja próbowałem ją ocucić, dopóki nie zrozumiałem, że nie żyje. Na jej szyi były wyraźne zasinienia.

– Ale jak?! Niemożliwe, by sama sobie to zrobiła… Czy ja? Ja nie mógłbym tego zrobić, to nie ja…

Usiadłem, chowając twarz w dłoniach, jakbym czuł się obserwowany i tym samym chciał ukryć własne wątpliwości.

Zrozumiałem.

Sen, w którym dusiłem małą dziewczynkę błagającą mnie o życie, nie był do końca snem. To działo się na jawie, ale nie było żadnej dziewczynki, tylko Maria. To ja ją zabiłem i teraz zdałem sobie z tego sprawę.

To nie Vojtěch był tym złym, ani Jakub. Ani Maria. To byłem ja…

Ujrzałem prawdę. To ja zadźgałem pierwszą osobę. Od tego się zaczęło. To ja utopiłem w odchodach kolejnego z naszych i oskarżyłem Jakuba… O którym sporo wiedziałem. Nie było dla mnie tajemnicą już od dłuższego czasu, że podjada za naszymi plecami. To ja przygotowałem mu trujący napój i to ja podrzuciłem własnoręcznie napisany list, by usprawiedliwić jego śmierć przed Marią. Ona zresztą też skończyła tak samo jak pozostali, w objęciach śmierci, którą sprowadziłem na wszystkich.

Na samym początku bałem się samotności. Teraz okazało się, że zwariowałem mimo obecności innych i doprowadziłem do tego, że naprawdę zostałem sam, pośrodku pustego bunkra. Najgorsze zaś było to, że zrozumiałem wszystko zbyt późno…

Przypomniałem sobie rozmowę z Marią. Mogłem wziąć wszystkie potrzebne rzeczy, zapakować do plecaka, włożyć skafander, maskę i hełm.

Po czym wyjść na powierzchnię. Iść w nieznane, w nadziei, że znajdę kogoś. Może jednak nie zostałem sam na tym świecie. Na pewno są gdzieś tacy ludzie jak ja, którzy przetrwali pod ziemią.

Mogłem to zrobić, ale teraz bałem się opuścić to miejsce, mimo że robiłem to już wiele razy.

Musiałem to przemyśleć, poczekać… Zasypiałem i budziłem się co jakiś czas ze strachem przed tym, że mogę utracić miejsce, które było moim domem.

To był mój dom. Dom ostatnich z nas…

Ewa „Pani_Cogito” Malinowska

Zagłada

– Imię?

– Dorian.

– Nazwisko?

– Witkiewicz.

– Wiek?

– Trzydzieści sześć.

W pokoju panował półmrok. Głównym źródłem światła była czerwona żarówka wisząca nad drzwiami. Drugim – biurowa lampka na stole ustawionym na środku pokoju. Na jednym z dwóch krzeseł siedział gładko ogolony, łysy mężczyzna w czarnym mundurze z dystynkcjami porucznika. Prowadził przesłuchanie. Po drugiej stronie – więzień. Miał rozczochrane kruczoczarne włosy, kilkudniowy zarost i rozciętą wargę. Biała niegdyś koszula teraz była brudna i poplamiona krwią.

– Na jakiej stacji mieszkasz?

– Politechnika.

– W jakim celu się tu znalazłeś?

– Żeby was wszystkich wykończyć.

Ręce Witkiewicza były spięte kajdankami za oparciem krzesła. Jego wzrok nie zdradzał żadnych emocji.

– Czyli przyznajesz, że jesteś szpiegiem?

– Nie.

Porucznik notował wszystko w zeszycie, spoglądał na więźnia lodowato i zaciskał szczęki, kiedy otrzymywał odpowiedź niezgodną z oczekiwaniami. Dał znak dłonią. Z pogrążonego w ciemności kąta wyłonił się mężczyzna. Miał około dwóch metrów wzrostu, mocną budowę.

Ubrany był tak samo jak porucznik – w czarny mundur. Stanął za Dorianem w ciszy, patrząc prosto przed siebie.

– Przyznajesz, że jesteś szpiegiem?

– Nie.

Porucznik kiwnął głową i w tym momencie Dorian poczuł potworny ból promieniujący z wyłamanego kciuka. Zacisnął zęby, starając się nie okazywać cierpienia i przerażenia, jakie wzbudził w nim oprawca.

– Pytam po raz kolejny: czy przyznajesz, że jesteś szpiegiem?

– Nie, mój cel jest inny.

– Inny?

– Mówiłem przecież, że jestem tu, żeby was wykończyć.

– Czyli jesteś szpiegiem.

– Nie.

Znów ból. Kolejny palec. Na twarzy przesłuchującego malowało się poirytowanie.

– Ostatni raz pytam: przyznajesz się do szpiegowania? – wycedził powoli.

– Nie. Jestem zabójcą, nie szpiegiem.

– Czyli nie przyszedłeś tu, żeby wykraść informacje o naszej grupie?

– Nie. Powtarzam: przyszedłem was zabić.

Porucznik uśmiechnął się lekko, ale szybko spoważniał. Spojrzał groźnie na więźnia i zapisał coś w notatniku.

Dorian nie pamiętał, ile dni spędził w ciemnej celi. Nie wiedział nawet, czy były to dni, tygodnie, a może tylko godziny. Pamiętał moment, w którym go pojmano. Siedział na peronie przy ognisku i popijał bimber z piersiówki, kiedy za jego plecami stanęli dwaj umundurowani mężczyźni. Położyli mu swoje ciężkie łapska na ramionach i jednym szarpnięciem postawili na nogi. Zakuli go w kajdanki i zabrali do porucznika. Ten natychmiast przekazał więźnia swojemu olbrzymowi, który wybił Dorianowi kilka zębów i wsadził go do zimnej, skąpanej w mroku celi. Dorian spędził tam jakiś czas. Czuł posmak krwi w ustach i marzył

o szklance wody. Wsunął się w kąt i objął własnymi ramionami, próbując się nieco ogrzać.

Po jakimś czasie drzwi celi otworzyły się i na podłogę padł snop światła. Niemal natychmiast przesłonił je olbrzym, który najpierw kopnął więźnia, a potem wyciągnął go na zewnątrz i posadził na krześle.

– Kto ci to zlecił?

– Nikt.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla siebie.

– Nie pierdol. Ktoś musi za tym stać.

– Nie.

Porucznik przyjrzał się Dorianowi uważnie, wziął do ręki swój notes i położył nogi na stole. Przez jakiś czas w milczeniu przeglądał notatki.

– Dorian Witkiewicz. Powiedz mi, Witkiewicz, masz rodzinę?

– Nie.

– Kompletnie nikogo?

– Nikogo.

– Dziewczyna? Ktokolwiek?

– Nie.

Porucznik poderwał się i z impetem uderzył notatnikiem w stół. Dorian wzdrygnął się lekko. Tamten zaś splótł ręce za plecami i zaczął powoli okrążać więźnia. Zatrzymał się dokładnie za nim i położył mu dłonie na ramionach. Schylił się i zaczął mówić wprost do ucha Witkiewicza.

– Jeśli nie jesteś szpiegiem, a mówisz, że nie jesteś, to nie zagrażasz nam za bardzo. Mówisz, że przyszedłeś nas zabić, ale siedzisz tu przykuty do krzesła. Twierdzisz również, że nikt cię nie nasłał. Czyli, podsumowując, możemy cię zlikwidować i nikt się o tym nie dowie, tak?

– Zgadza się.

– Nie pierdol mi tu! – ryknął wściekle porucznik i szarpnął za krzesło.

Dorian runął na ziemię, uderzył głową o twardą betonową posadzkę. Ciężki wojskowy but unieruchomił mu klatkę piersiową. Łysy oparł się

o kolano, zmuszając Doriana do coraz bardziej rozpaczliwej walki o oddech.

– Gadaj, kto za tym stoi!

– Nikt. Tylko ja.

– W takim razie dlaczego chcesz nas wykończyć, co?

– Bo jesteście zarazą. Od lat prześladujecie niewinnych. To przez takich zwyrodnialców jak wy wybuchła wojna. To przez was musimy mieszkać jak jakieś szczury, w mroku, pod ziemią.

Dorian chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zabrakło mu tchu. Zobaczył nad sobą olbrzyma. Poczuł, jak potężny kopniak łamie mu żebra.

– Borys, postaw go.

– Się robi, szefie.

– Dobrze. Nadal twierdzisz, że to wszystko to twój pomysł, tak?

– Tak.

– To może opowiesz mi, w jaki sposób zamierzałeś nas zabić?

– Przekona się pan.

Śledczy pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem. Ponownie zajął miejsce na krześle. Oparł łokcie na stole, splótł dłonie, jednocześnie świdrując więźnia wzrokiem.

– W innych okolicznościach może bym cię polubił. Jesteś całkiem zabawny. Może opowiesz mi, jakim sposobem chcesz nas zabić, co?

– To długa historia.

– Mamy czas. Chyba że opowieść nie będzie zbyt interesująca. Wtedy zakończymy to wszystko wcześniej. Borys, przynieś no trochę wody dla naszego przyjaciela.

Wielkolud na chwilę zniknął za drzwiami, by po chwili wrócić z butelką wody i dwiema szklankami. Postawił przyniesione rzeczy na stole i ponownie zniknął w mroku.

Porucznik odkręcił butelkę i napełnił do połowy obydwie szklanki. Dorian ruchem głowy przypomniał mężczyźnie o kajdankach na swoich rękach.

– Będziesz grzecznie siedział na dupie?

– Tak.

– Dobra. Borys, zdejmij mu kajdanki.

Witkiewicz złapał za szklankę i wypił jej zawartość duszkiem. Spojrzał znacząco na porucznika, a ten, po chwili, ponownie napełnił szklankę.

– Opowiadaj.

– Przed wybuchem wojny pracowałem na uniwersytecie. Zajmowałem się biologią. Zawsze najbardziej interesowało mnie krzyżowanie gatunków. Pisałem o tym pracę dyplomową, pod okiem profesora, największego autorytetu. Przeprowadziłem wiele eksperymentów na małych zwierzętach i owadach.

– Bardzo interesujące, tylko co mnie to, do cholery, obchodzi?

– Po wojnie, kiedy zamieszkaliśmy pod ziemią, postanowiłem dalej prowadzić badania dotyczące krzyżowania. Tym razem jednak zbierałem zarówno osobniki znajdujące się w chwili wybuchów pod ziemią i niedotknięte promieniowaniem, jak i te zmutowane.

Przez prawie dwadzieścia lat skrzyżowałem ponad trzydzieści gatunków różnych małych zwierząt. Były wśród nich gryzonie, takie jak szczury i myszy, ale również owady, pająki, także robaki. Wielu z moich eksperymentów nie mogę uznać za udane, ale z kilku byłem naprawdę dumny. Stworzyłem nowe gatunki, które przetrwają niemal wszystko, a do tego rozwijają się bardzo szybko.

– I co z tymi robalami? Obrzydzisz nas na śmierć?

– Wreszcie udało mi się stworzyć osobnika, który początkowo jest wielkości mrówki, ale w czasie zaledwie kilku dni osiąga rozmiary dużego szczura. Z wyglądu przypomina żuka. Ma bardzo odporny pancerz, a zamiast zwykłego aparatu gębowego posiada zęby. Przypominają trochę zęby rekina.

– No to faktycznie musi być strasznie brzydki.

Porucznik zaśmiał się i wstał z krzesła. Zaczął spacerować tam i z powrotem. Dorian już dawno zauważył kaburę z pistoletem na biodrze porucznika i krótkofalówkę, z której od czasu do czasu dochodziły ciche

szmery i niezrozumiałe słowa. Czarny mundur przypominał Dorianowi te, które Hugo Boss szył dla Niemców.

– Osobniki te najlepiej rozwijają się w ciepłym i wilgotnym środowisku. W początkowym okresie nie potrzebują jedzenia, w kolejnych etapach jednak ich zapotrzebowanie na pożywienie zaczyna wzrastać w szybkim tempie.

– A czym się żywią?

– Na początku wystarcza im krew, później szukają czegoś bardziej pożywnego i biorą się do mięsa.

Porucznik zatrzymał się i spojrzał na więźnia z namysłem.

– Co przez to rozumiesz?

– To, co powiedziałem.

– Powiedz, gdzie rozwijają się te stwory.

– W ciepłym i…

– Gadaj!

– …wilgotnym środowisku.

– Co z nimi zrobiłeś?

– Rozpyliłem po waszej cudownej stacji.

– Rozpy…? Co? I co dalej? Rozpyliłeś i co?

Porucznik poczerwieniał, czoło zrosiły mu krople potu.

– Rozpyliłem, a one wniknęły w wasze organizmy. Rozwijają się teraz w mieszkańcach stacji.

– Co?! Jak to?! Jak to możliwe?!

Porucznik opadł na krzesło, oddychając ciężko.

– Jak szybko się to cholerstwo rozwija?!

– Około sześciu dni.

– Sześć dni, zanim co? Jakiej będą wielkości?

– Przez pierwsze trzy dni nie potrzebują jedzenia, po tym czasie zaczynają się żywić krwią. Szóstego dnia są już wielkości małej myszki i szukają mięsa.

– Małej myszki? Nie wierzę. Kłamiesz! Łżesz jak pies!

– Ile dni tu spędziłem?

Witkiewicz siedział kompletnie spokojny i odprężony. Wziął do ręki butelkę i rozlał wodę do szklanek.

– Ile spędziłeś? Pięć? Sześć? Nie wiem. Borys! Ile dni?

– Sześć, szefie. Pięć w celi i jeden na stacji.

– Sześć. Czyli…? Czy to znaczy…?

– To znaczy, że wypełniłem swoją misję. Tyle. Ni mniej, ni więcej.

– Niemożliwe. Bredzisz! Przecież już bym coś czuł.

– Nie czuje się pan słabszy niż ostatnio, poruczniku? Zawroty głowy? Mdłości?

Porucznik ukrył twarz w dłoniach. Nagle zerwał się z krzesła, odsunął się od więźnia i patrzył na niego przerażony. Z jego nosa popłynęła wąska strużka krwi. Przez twarz Doriana przebiegł uśmiech, a w jego oczach błysnęło szaleństwo.

Porucznik sięgnął do kabury, jednak ręce mu drżały tak bardzo, że nie mógł wyciągnąć pistoletu. Był blady, z nosa nadal płynęła mu krew.

– Zastrzelę cię! Zabiję jak psa!

– I tak za chwilę wszyscy umrzemy, niestety, ja także.

– Jak to?

– Skutek uboczny. Moi mali przyjaciele dostali się również do mojego organizmu.

Porucznik osunął się na ziemię. Za plecami więźnia rozległ się dźwięk, który oznaczał, że Borys właśnie pożegnał się ze swoim ostatnim posiłkiem. Jego przełożonym zaczęły wstrząsać drgawki. Witkiewicz poczuł krew spływającą mu z nosa.

– Polubiłem pana, poruczniku. Dlatego dam panu dobrą radę. Lepiej użyć tego pistoletu. Będzie pan mniej cierpiał. Szybciej się to wszystko skończy.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? Może uda mi się przeżyć?

– Sam pan w to nie wierzy.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

– Już mówiłem. To wasza wina. Wasz brak tolerancji, nieczułość i chęć niesienia cierpienia. Odpłacam wam za to.

– Czyli wszystko, co mówiłeś, było prawdą?

– No, może poza jednym drobnym szczegółem.

– Jakim?

– Nie mogę tego powiedzieć.

– Gadaj! I tak wszyscy umrzemy.

– Proszę dać mi pistolet.

Porucznik spojrzał na niego z niedowierzaniem. Nie miał jednak sił się już kłócić. Wiedział, że niedługo umrze, i ciekawość wygrywała ze zdrowym rozsądkiem.

– Dam ci go, jeśli obiecasz mnie zastrzelić.

– Obiecuję.

Mężczyzna spojrzał więźniowi głęboko w oczy, chcąc rozgryźć, czy ten mówi prawdę. Wreszcie po chwili wahania podał mu broń.

– Dziękuję.

– Teraz powiedz prawdę.

– Mówiłem, że na powierzchni byłem studentem biologii.

– Zgadza się.

– To było kłamstwo. Tak naprawdę przez pięć lat, przed wybuchem wojny, byłem w zakładzie zamkniętym dla obłąkanych.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo robiłem eksperymenty na własnych rodzicach, co doprowadziło, niestety, do ich zgonu. Cóż, nie byli najsilniejszymi osobnikami.

Pokój rozbrzmiał śmiechem szaleńca. Dorian Witkiewicz oddał trzy strzały. Na początku zabił olbrzyma. Był niezłym strzelcem, chociaż z odległości trzech metrów trudno byłoby spudłować. Kolejny strzał przeznaczony był dla porucznika. Prosto między oczy. Następnie mężczyzna, płacząc już ze śmiechu, wsadził lufę pistoletu do ust i pociągnął za spust. Rozległ się huk i nastała cisza. Nikt się już nie śmiał obłąkańczo. Nikt nikogo nie bił i nie wyłamywał mu palców. Dopiero po dłuższej chwili można było usłyszeć krzyki i płacz zza ciężkich drzwi, odgradzających pokój przesłuchań od peronu stacji. Jednak po pewnym czasie i one umilkły.

Tomasz Przyłucki

Pejzaże z perspektywy nieba

Między wściekle sterczącymi kikutami desek pasło się na śniegu ludzkie dziecko. Drwa żarzyły się na tle puchu jak ciało nagiej rudej niewiasty, której włosy obwiązywały pień drzewa. Truchło, chyba mężczyzny, walało się w kilku kawałkach wokół rozszarpanej chaty. Dziecko nie zwracało uwagi na stygnące zwłoki, patrzyło ku górze, osłaniając rączkami wrażliwe na światło oczy. Z jego ust wydobywał się obłoczek pary, choć zdawało się lodową nieruchomą rzeźbą.

Zaskomliły psy i spadły na krtań tej zadziwionej istoty. Rozszarpywały surowe mięso malca, który ostatnim tchnieniem pofrunął ku podniebnej czerwonej kuli.

Dzikie zwierzęta, zaspokoiwszy głód, wyciągnęły swe pokracznie wydłużone szyje, nie rozumiejąc, co obserwują. Parująca krew unosiła się znad zaśnieżonych pól prosto ku bordowym chmurom, pod którymi żeglował na wietrze balon.

A ja byłem jednym z pięciu pasażerów na jego pokładzie.

***

Zapuść swój sierp i żniwa dokonaj, bo przyszła już pora dokonać żniwa, bo dojrzało żniwo na ziemi!

***

Popielaty śnieg padał miesiącami na mazowieckie pola, lasy i łąki. Zachłanne niebiosa na zmianę pożerały i wypluwały na ziemię szarawą mączkę pyłu i śniegu, nieustannie zasilane przez krematoria miast i sadów.

Koryta niegdysiejszych rzek wyglądały jak blizny poczernione ogniem, woda z górskich źródeł żłobiła sobie nowe ścieżki. Nie sposób rzec, ile to wszystko trwało, nim piekło i lód osiągnęły kompromis. W każdym razie wystarczająco długo, by przyszedł głód, przed którym zapragnęliśmy uciec.

Nie zabiły nas rakiety ani bomby spadające na stolicę. Nie zabiło nas promieniowanie, epidemie ani zbiry. Moja rodzina była w komplecie.

Wojskowe lotnisko i fabryka broni okazały się niedostatecznym powodem dla wrogów ludzkości, żeby zniszczyć to zapomniane przez Boga miasto. Niedostatecznym powodem lub figlem przypadku.

Śmierć jednak o nikim nie zapominała, choć, jak się wtedy wydawało, staliśmy w długiej kolejce do jej objęć.

Ziemię skuł lód, spuścizna kwaśnych deszczy. Niebo przesłoniły toksyczne, zabójcze chmury. Zapasy żywności i lekarstw topniały jak ciała w piecach.

Mój ojciec zbudował balon.

A my, ja i rodzeństwo, pokryliśmy czerwony materiał gigantycznym napisem: NEVERMORE.

***

Czerwony łeb balonu kiwał się na tle piaskowych chmur pustyni nieba. To się unosił, to opadał niesiony przez kaprysy wiatru w nieznane krainy. Zbliżał się wieczór, a nasz aerostat i dom zarazem trwał w zawieszeniu między śmiercią a śmiercią, między radioaktywnymi obłokami a grozą jałowej, martwej gleby. Pamiętam doskonale, jak z bratem obserwowaliśmy ziemię zza szkieł kosza, wmontowanych w ołowiano-gumowe poszycie. Obserwowaliśmy przez cały ten czas wielkiej podniebnej wędrówki. Tego dnia, wieczora i zmierzchu, pierwszego dnia, pierwszego wieczora i pierwszego zmierzchu ucieczki balonem do ziemi obiecanej.

Uciekaliśmy przed nędzą i głodem, zimą, zimnem, latem, zimnem, głodem, zimnem i drapieżną śmiercią, która zaczynała wyciągać swoje szpony z niedalekiej Puszczy Kozienickiej, trutej przez człowieka jeszcze

przed czasem Abachy. Zmierzaliśmy ku nieznanemu południu, ku nieznanej Afryce, skąd ludzkość wyszła i gdzie ludzkość, w osobach członków mojej rodziny, wracała szukać schronienia dla swych potomków i prochów ojców.

Tego pierwszego dnia, gdy wylecieliśmy z ruin Radomia, z pyłu dawnych betonowych osiedli, gdy zapadał zmierzch, ujrzeliśmy z bratem obraz, którego wspomnienie po dziś dzień zdumiewa swą ostrością.

Pod nami, na ziemi, wzdłuż naszej trasy, rozciągał się szlak czarnych kwiatów czy krzewów, choć ciężko było to dokładnie ocenić i właściwie nazwać. Te czarne plamy, porzucone w połaciach śniegu, tworzyły nienaturalnie rozciągnięty pas gigantycznej szachownicy. Ze wspomnieniem tego krajobrazu mimowolnie narzuca mi się wyobrażenie wędrującego olbrzyma odciskającego w śniegu ciemne ślady swoich stóp.

Tropy olbrzyma wiodły na południe, raz wyraźne, raz zamazane. Gdy zapadała noc, ojciec sprowadzał balon ku ziemi. Ojciec ostrożnie oddalał nas od śmierciokłębnych chmur, w których bał się zagubić. Kosz miękko osiadł na zaśnieżonym polu. Zapadał zmrok.

Brat i ja, może nazbyt pośpiesznie, wyskoczyliśmy z kosza wiedzeni ciekawością. Nasze zastałe nogi poniosły nas do najbliższej z czarnych plam. Dzisiaj takie dziecięce podróże kończą się przeważnie ciszą, lecz w tamtych dniach i w tamtym miejscu to jeszcze nie był nierozsądek, a jedynie dziecięca dociekliwość, braterski zakład o nieistniejący deser.

Zbliżaliśmy się do kwiatu czarnego krzewu, przerzucając się domysłami co do natury znaleziska. Przewijały się w tych słowach i kamienie, i leje po bombach, i karłowate drzewa, i opuszczone domy, gdzie moglibyśmy znaleźć wspaniałe skarby. Brat dopadł pierwszy do celu. Pochylił się nad czarnym kwiatem, plamą wśród śniegu.

I spojrzał na mnie, dławiąc łzy. I zapytał, od ilu godzin lecieliśmy szachownicą śniegu i zwłok, od ilu kilometrów oglądaliśmy tropy Ponurego Kosiarza, twórcy tej drogi śmierci.

***

Lecieliśmy w półmroku. W poblasku nocnych pożarów łupiliśmy cmentarze miast z wszelkiej znalezionej żywności, której zdobycie pozwalało na odroczenie wyroku, na pozostanie w zawieszeniu życia i śmierci przez kilka kolejnych dni. To był nasz czas pożyczony.

Pejzażom widzianym z nieba towarzyszyła zawsze ta sama modlitwa – by w rutynie przetrwania odnaleźć okruchy szczęścia.

O świcie wyplątywaliśmy kosz z kotwic i wznosiliśmy się pod chmury. Krajobrazy sunęły leniwie, z rzadka ożywiane jęzorami płomieni czy wyciem zwierząt. Śnieg, pył i kurz ozdabiały szkielety wiosek i miasteczek, niekiedy natrafialiśmy na łatę popękanego asfaltu w miejscu, gdzie niedawny ogień stoczył swą bitwę z lodem.

Lądowaliśmy często, szperając po opuszczonych ludzkich siedzibach w poszukiwaniu zapasów. Lądowaliśmy często, łudząc się, że już odnaleźliśmy miejsce do znośnego życia. Lądowaliśmy często przestraszeni wróżbami rychłych opadów czy niekorzystnego wiatru. Nie było miejsca na ryzyko, które czekało na nas na południu, w górach.

Żywych niemal nie spotykaliśmy. Wydawało się, że zwierzęta dużo odważniej niż ludzie upominały się o przetrwanie.

Każde z lądowań było niebezpieczne, lecz tylko na stałym gruncie pod stopami mogliśmy liczyć na ściągnięcie skafandrów, ciepły posiłek od mamy, jakiś łup czy po prostu schronienie przed kwaśnym deszczem.

Często zdarzało się, że nocowaliśmy w osłoniętym koszu całą piątką, bo strach było opuścić się poniżej smyczy lin trzymających balon w pozornie bezpiecznym uchwycie, kilka metrów od zwierząt, kilkaset metrów od radioaktywnych kłębów dymu i pary, tysiące marzeń i kilometrów od księżyca, gwiazd i wschodu słońca.

***

Usłyszeli trzej przyjaciele Hioba o wszystkim, co na niego spadło (…) porozumieli się, by przyjść, boleć nad nim i pocieszać go. Skoro jednak spojrzeli z daleka, nie mogli go poznać. Podnieśli swój głos i zapłakali.

Każdy z nich rozdarł swe szaty i rzucał proch w górę na głowę. Siedzieli z nim na ziemi siedem dni i siedem nocy, nikt nie wyrzekł słowa, bo widzieli ogrom jego bólu.

***

Bywało, że zbliżaliśmy się do pojedynczych szperaczy, podróżników i nędzarzy. Czasem dzieliliśmy się opowieściami, żywnością czy zaufaniem. Dokonywaliśmy wymian.

Jeden z nich, tych śnieżnych maruderów, pewnej nocy porwał moją siostrę. Zaciągnął ją do jakiejś piwnicy. I zanim mój ojciec rozłupał siekierą jego zdeformowane ciało, ten kilkukrotnie zgwałcił moją biedną siostrzyczkę.

Bardzo się po tym rozchorowała. Nie umiem opisać tamtego okresu, pamiętam tylko żrący ból. W trzy tygodnie moja siostra przeniosła się na tamten świat. Przez infekcję duszy. Powiesiła się na linie obok obciążników balonu. Miała dwanaście lat.

Widzieliśmy też bardzo-innych-ludzi. Wlokących się, skaczących, pełzających.

Udawaliśmy wtedy, że nasz balon to tylko zerwany, pusty i martwy przekaz – NIGDY WIĘCEJ. Nigdy więcej zła, nigdy więcej zaufania wobec ludzi. A teraz dopowiadam sobie, że „nigdy więcej” odnosiło się do ludzkiego panowania nad światem. Przeklinam swoją rasę.

***

Pochowaliśmy siostrę zgodnie z obyczajem. Znaleźliśmy rozłożyste, suche drzewo. Ułożyliśmy ją do snu w jego konarach, po czym podpaliliśmy. Nikt już cię nie tknie, nie wyłupie oczu, nie pożre wnętrzności. Nikt już cię nie tknie, a ja będę strażnikiem pamięci o tobie.

***

Lasy z moich dziecięcych wspomnień zardzewiały, pokrywały góry czerwonym nalotem. Naskórek gleby popękał na mrozie. Mgły były dniami.

Pewne niewielkie miasteczko, którego nazwy nie zdołaliśmy ustalić, płonęło. Ogień nie był przyjacielem naszego celofanowego balonu. Wylądowaliśmy o kilometry od jęzorów ognia.

Ojciec, brat i ja – trzech poszukiwaczy wkroczyło do ruin. Przedzieraliśmy się przez piwnice, szkielety domów i sklepów. Gdy napełnialiśmy plecaki, zauważyłem w tym mieście coś niecodziennego. Kwiaty. Żółtawe, cherlawe, chwiejące się pod beżową ścianą. Ale jednak żywe. Szedłem wzdłuż muru, napawając oczy tym cudem. Mijałem kolejne zamurowane otwory, które zapewne niegdyś były oknami piwnic. Potem obraz przestał być regularny. Ściennego otworu nie uzupełniały cegły, lecz mrok skryty za pajęczynami. Napotkałem w nim upiora. Wychylił swój blady czerep, a ja zamarłem. Nie potrafię powiedzieć, czy był to człowiek. Choć posiadał humanoidalną budowę ciała, poruszał się na czterech wychudzonych kończynach. Jego skulone ciało pokrywała sadza. Odwrócił do mnie ślepą głowę, w którą wrosły brudne bandaże poplamione krwią tam, gdzie powinny znajdować się ludzkie oczy. Podobne jemu istoty obwąchiwały żar płonących budynków. Krzyknąłem i wszyscy rzuciliśmy się do ucieczki.

A wataha pognała za nami.

Tym razem udało nam się uciec.

***

Kraina białogłowych istot ciągnęła się kilometrami. Góry tonęły w mgłach i wyglądały jak wielkie kopce. Świat pokrywała wszędobylska rdza, tak różna od brudnego śniegu Mazowsza.

Każdej nocy na tych skalnych słupach paliły się ogniska, wokół których czwórkami i piątkami siedziały bladogłowe upiory. Przemykaliśmy ponad

nimi, słysząc nieludzkie nawoływania. Cień balonu wywoływał fale jęków niosących się za horyzont i powracających echem ze zdwojoną siłą.

W dolinach, w ruinach wiosek, na rozbitych cegłach murów podobne wilkom karykatury ludzkie wciąż kwiliły, lamentowały, mruczały, rzęziły i pustymi oczodołami śledziły powolny lot balonu. Były wszędzie, skowytem znaczyły ziemię.

Przez wiele, wiele dni unosiliśmy się wśród tych zawodzeń niezdolni bezpiecznie osiąść na powierzchni. Głodowaliśmy. Góry były dla nas niezwykle surowe.

***

Być może dziurawię moją opowieść, ale proszę mi wierzyć, że przez tygodnie towarzyszyły nam głód i bezczynność, a ja nic innego nie zapamiętałem. Tylko myśli, marzenia o tym, co zjeść, jak jeść, kiedy…

***

Czyż nie do bojowania podobny byt człowieka?
Czy nie pędzi on dni jak najemnik?
Jak niewolnik, co wzdycha do cienia,
jak robotnik, co czeka zapłaty.
Zyskałem miesiące męczarni,
przeznaczono mi noce udręki.
Położę się, mówiąc do siebie:
Kiedyż zaświta i wstanę?
Lecz noc wiecznością się staje
i boleść mną targa do zmroku.

***

Powinniśmy znajdować się nad Budapesztem. Przynajmniej w okolicy miasta. Jednak jedynym śladem po dawnym krajobrazie było wyschnięte

koryto szerokiej rzeki. Stolica dawnego państwa wyparowała, a jej resztki pokrył kurz, piach, pył i śnieg, tworząc nieregularne pagórki.

Tak samo wyglądały inne miejsca, które mijaliśmy po południowej stronie Karpat.

Nie było nawet trupów, a ruiny wiosek obfitowały we wszelką żywność, nadgryzioną jedynie przez ząb czasu. Odzyskaliśmy siły.

***

Zdawać by się mogło, że wlecieliśmy na suchego przestwór oceanu. Katastroficzną ucztę dla archeologów. Pod nami rozciągały się połacie piasku usiane na wpół przysypanymi zwłokami zwierząt i wszelakimi śmieciami. Truchła ptaków, fragmenty mebli, szczątki aut i wszędobylskie kości walały się w takim nagromadzeniu, że widzący to rodzice zapłakali nad tym, co pozostało z węgierskiego morza. Pogrążyli się w odmętach słonecznych wspomnień, a my w ich opowieściach.

Była noc. Nie całkiem gwieździsta, gdyż błyszczące konstelacje powstawały z drobin jakiejś substancji, zagubionej w dymie chmur, która lekko pulsując, odbijała łunę pożarów. Chmury skłębiły się przed nami. Wszędzie rozciągał się tylko piach i rozkład.

Podmuch wiatru napluł nam w ołowiane iluminatory migoczącym pyłem. Nagła światłość przemieniła się w tysiąc huczących trąb, a słup nieba rozmigotał się złowróżbnie.

Balonem ciskało na wszystkie strony. Co chwila świat rozjaśniał się miliardem węgli i łomotał jękiem rozdzieranego powietrza. Tysiące śmieci wirowały po powierzchni w szalonym tańcu, a obłęd tego katastroficznego pobojowiska bezsprzecznie wrzeszczał, że nie istniała możliwość przywiązania i zakotwiczenia naszego statku. Byliśmy skazani na pioruny i wiatr, opuszczeni przez stały grunt. W oddali majaczyło lustro wody odbijające tysiące burzowych gwiazd.

Tak oto, wypluty przez chmury, znalazłem się w sercu tej upiornej krainy.

***

Pochowaliśmy rodziców zgodnie z obyczajem. Ułożyliśmy ich do snu. Zepchnęliśmy statek miłości w odmęty wspomnień przechowywanych przez wody Balatonu. Posłaliśmy płonącą strzałę. Nikt was już nie tknie, nie wyłupie oczu, nie pożre wnętrzności. Nikt was już nie tknie, a ja będę strażnikiem pamięci o was.

***

Żal nierozsądnych zabija,
a gniew uśmierca niemądrych.

***

Marsz był nieznośną męką. Mimo pozornej pustki świat tętnił życiem. Wraz z bratem napotykaliśmy strachliwych łachmaniarzy, których płoszyły nasze młodzieńcze kroki. Chowali się za autami, wrosłymi w bluszcz i ziemię. Chowali się w domach bez okien, oplecionych przez wszędobylskie drzewa o nagich korzeniach. Chowali się wśród kości zabitych. Nie rozumieliśmy jeszcze, czego tak bardzo się obawiali.

Uszliśmy wiele kilometrów, zanim pojęliśmy bezsens dalszej pieszej wędrówki. Zaszyliśmy się w podziemiach ogromnego gmachu, być może w katedrze, którą od góry do dołu pokrywał kilim gęstych pajęczyn. Budynek wydawał się nietknięty Abachą ani czasem. Kurz pokrywał posadzki, a jedynym dowodem obecności ludzi był swoisty ołtarz, na którym siedziała kilkumetrowa postać, ułożona, a raczej wyrzeźbiona, z ludzkich kości i czaszek. Pajęczyny oplatały otwory w sklepieniu. A po paru dniach spędzonych w katedrze odnaleźliśmy zastygłe w kamień kokony, to dzięki tym nienaprawionym pajęczym siatkom zyskaliśmy pewność, że od dawna nie ma tu żadnych istot żywych.

Jednak ci, którzy stworzyli kościanego króla, zapewne nie odkryli, że budynek dawał życie. Chyba że… Czasem zastanawiam się, czy nasi

poprzednicy odeszli stąd z własnej woli, czy coś ich do tego zmusiło. A jeśli tak, to co?

W głębokich katakumbach, gdzie ciemne rozwidlenia prowadziły dalej, niż mieliśmy odwagę się zapuszczać, wytryskiwało na kamienną sadzawkę źródło czystej wody. Panująca wilgoć sprawiała, że długie ściany oblepione były grzybami – a te nauczyliśmy się przyrządzać na setki sposobów.

Nie byliśmy również jedynymi, którzy pili z piwnicznego źródła.

Przychodziły tu mysie rodziny, wszelakiej maści. Ich członkowie stanowili wspaniały mięsny dodatek do grzybowego sosu, zupy, pieczeni i przetworów.

W tym miejscu posmakowałem pierwszy raz wina. Piwnica wypełniona setkami butelek odsłoniła się naszym oczom, gdy na skutek zbyt nieostrożnego odłupywania grzybów ze ściany osunęła się część muru. Niech Bóg błogosławi ludziom, którzy tu żyli przed katastrofą. Niech diabeł przeklnie nierozważnych.

Zatopiliśmy się w pijaństwie. Niepamięci żalu po siostrze, rodzicach, słońcu i chlebie.

Piliśmy wiele dni.

Mój brat zaczął wymiotować żółcią, dostał drgawek, a po kilku dniach męczarni zmarł. Zrozumiałem wtedy, że wino trzeba pić z umiarem. Ojcze, nie zdążyłeś nas ostrzec.

***

Pochowałem brata zgodnie z obyczajem. Ułożyłem go do snu w najwyższej wieży, rozlałem po pomieszczeniu wino i zamurowałem schody doń prowadzące. Przed dociśnięciem ostatniego kamienia podpaliłem zaścianek, by ogień szalał w zamkniętych murach. Nikt już cię nie tknie, nie wyłupie oczu, nie pożre wnętrzności. Nikt już cię nie tknie, a ja będę strażnikiem pamięci o tobie.

***

Dlaczego nie umarłem po wyjściu z łona,
nie wyszedłem z wnętrzności, by skonać?
Po cóż mnie przyjęły kolana
a piersi podały mi pokarm?
Nie żyłbym jak płód poroniony,
jak dziecię, co światła nie znało.
Teraz bym spał, wypoczywał,
odetchnąłbym w śnie pogrążony
z królami, ziemskimi władcami,
co sobie stawiali grobowce,
wśród wodzów w złoto zasobnych,
których domy pełne są srebra.
Tam niegodziwcy nie krzyczą,
spokojni, zużyli już siły.
Tam wszyscy więźniowie bez lęku,
nie słyszą już głosu strażnika;
tam razem i mały, i wielki,
tam sługa jest wolny od pana.

***

Przestał istnieć czas. Od wielu jednolitych obiadów i od setek sennych mar siedziałem zamknięty między ścianami. Przestałem wychodzić, gdyż nie było już czego szukać w okolicznych ruinach. Czasami, zza murów słychać było szmer wiatru i przechodzących łachmaniarzy, ich zdeformowaną mowę z wydłużonymi, świszczącymi głoskami. Ale i to w końcu ucichło.

Rozjaśniłem swoją samotność gwiazdami. Blade światło, wpadające przez resztki okien oplecionych pajęczyną, roznosiło się po całej wielkiej konstrukcji dzięki setce luster, które wieki wcześniej odnalazłem w zgliszczach i dokładnie wyczyściłem. Ze ścian odgarnąłem kurz i malowałem na nich słońce, gwiazdy, księżyce. Wszystko, o czym

marzyłem. Wszystko, co pamiętałem sprzed Abachy, a co dziś pokrywają chmury, popiół i śnieg.

Pewnego ranka obudziłem się na posadzce, a nade mną pochylali się moi obecni panowie. Dzierżyli włócznie, a całą ich skórę, oprócz powiek, pokrywały włosy.

***

Po co się daje życie strapionym,
istnienie złamanym na duchu,
co śmierci czekają na próżno,
szukają jej bardziej niż skarbu w roli;
cieszą się, skaczą z radości,
weselą się, że doszli do grobu.
Człowiek swej drogi jest nieświadomy,
Bóg sam ją przed nim zamyka.
Płacz stał mi się pożywieniem,
jęki moje płyną jak woda,
bo spotkało mnie, czegom się lękał,
bałem się, a jednak to przyszło.
Nie znam spokoju ni ciszy,
nim spocznę, już wrzawa przychodzi.

***

Wiem, że nie zabili mnie ze względu na niebo, które rozbłysło na ścianach wraz z pierwszymi promieniami słońca.

Wyprowadzili mnie na zewnątrz. Długi czas musiałem spędzić w środku, w podniebnej malignie, w gorączce samotności, ponieważ przed katedrą, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pale z przymocowaną poprzeczną belką. Do pali przybici byli łachmaniarze, ich kobiety, ich dzieci. Czasem też zwierzęta, w których z trudem rozpoznawałem psy. Większość zszarzała w pyle, a spod resztek skóry sterczały kości.

I nie wiem, czy to pułapka emocji, czy kłamstwo pamięci: otworzyło się niebo.

Prześwity między obłokami utworzyły świetliste oblicze. Usta, oczy, zachmurzone czoło. I zapadła ciemność; niebo zapłakało nad synami człowieczymi i ich wiernymi towarzyszami.

Mimo iż obok mnie szło z tuzin włochatych, słyszałem jedynie swoje kroki. Oni płynęli jak cienie, ich kroki głuszył świst wiatru.

***

Któż zdoła ziścić mą prośbę?
Niech spełni Bóg moje życzenie!
Oby się zgodził mnie zmiażdżyć
i przeciął pasmo dni moich!

***

Niewiele się wydarzyło od tamtej chwili. Pozwolono mi żyć – w zamian za niebo. Ozdabiam gwiazdami kryjówki, piwnice, nory i jamy moich panów. Pozwolono mi powrócić do katedry, do brata.

Żyję w nadziei bliskiego końca. I piszę na murach tę opowieść. Bo kiedyś skończą się sufity do malowania. I wtedy włochaci wyłupią mi oczy i pożrą wnętrzności, a te słowa staną na straży pamięci o mnie i moich bliskich.

***

Oto wesele z tej drogi.
A z pyłu wyrośnie ktoś inny.

Cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia. Fragmenty według kolejności w tekście: Ap 14, 15; Hi 2, 11–13; Hi 7, 1–4; Hi 5, 2; Hi 3, 11–19; Hi 3, 20–26; Hi 6, 8–9; Hi 8, 19.

Abacha – wojna atomowa, biologiczna i chemiczna; określenie użyte przez historyka holokaustu Ottona von Kulkę w jego książce *Pejzaże metropolii śmierci* (Wołowiec 2014).

W tekście pojawiają się swobodne interpretacje apokalipsy, nawiązujące do dzieł Zdzisława Beksińskiego (między innymi z lat 1976, 1979).

Wspomniana przez narratora fabryka broni i lotnisko istnieją i funkcjonują w rzeczywistości. Chodzi o Radomską Fabrykę Broni „Łucznik” oraz lotnisko na Sadkowie (wielokrotnie goszczące pokazy Air Show). W mieście tym istnieją również schrony przeciwatomowe, w których mogli przetrwać bohaterowie; między innymi na ulicach Filtrowej, Chrobrego, Sportowej, Młodzianowskiej, Chałubińskiego oraz w wielu budynkach wybudowanych w latach pięćdziesiątych minionego stulecia. Kilka zdjęć dostępnych jest pod adresem: <http://fotopolska.eu/Radom/b118976,Schron_nr_12.html>.

malynosorozec

Stary las

Kupione życie

– A po co panu, tak w ogóle, taki nędzny dzieciak, pożytku z niego żadnego, niedługo wykończy go choróbsko, to samo co matkę jego…

– Przeliczone?

– Wszystko dobrze, zgadza się, tyle ile trzeba, ale po co…

– Do widzenia. Chodź, mały, idziemy do domu.

Zamknięte drzwi

Za zamkniętymi drzwiami Aleksiej Gromow, człowiek zwany Panem Bombadilem, rozpoczął swój prywatny rytuał. Imię, nazwisko, pseudonim, wiek. Czasami znał tylko jedno z nich, czasami żadnego. Nigdy jednak nie zapominał żadnej twarzy i bez wysiłku przywoływał z pamięci dowolne rysy. Na biurku stała butelka kiepskiego samogonu. Nie zamierzał pić już więcej. Wystarczy, miał za sobą ciężki dzień, a nie mógł ryzykować utraty samokontroli. Obok leżał pistolet. Stary, można powiedzieć, że zabytkowy.

Zostało jeszcze trzynaście imion. W czasie kiedy je wymawiał, dokładnie sprawdził, czy z bronią wszystko w porządku. Te ostatnie twarze na dłużej zostają w jego pamięci. Rozłożył pistolet. Złożył. Naładował. Odbezpieczył. Skończył swoją modlitwę. Przystawił broń do skroni.

Jeszcze nie dziś…

Udane zbiory

Zauważyli go. Wycelowali w niego swoje pistolety. Człowiek zwany Panem Bombadilem uśmiechnął się w półmroku. Za daleko, za mało światła, zbyt kiepscy strzelcy. Uniósł ręce do góry, pozwolił im zbliżyć się

kilka metrów. Tak jak się spodziewał, kiedy zobaczyli dwa niewielkie ciała u jego stóp, zawahali się na krótką chwilę. Tyle wystarczyło. Huknęły strzały.

Za chwilę w tym miejscu zaroi się od żołnierzy. Za blisko stacji, na posterunku granicznym niewątpliwie usłyszeli. Będą chcieli sprawdzić, co się stało. Szybko zabrał z torów dwa lekkie, bezwładne ciała, zostawiając zwłoki tych, których przed chwilą zabił.

Kiedy patrol przybył na miejsce, znalazł tylko dwa trupy i żadnych śladów po zabójcy. Nie zaprzątali sobie tym głowy. Takie rzeczy się zdarzały, śmierć nikogo już nie dziwiła. Posterunek został wzmocniony, kilka osób wzbogaciło się, ograbiając trupy. Nikt na stacji nawet nie pomyślał o losie dwójki chorych sierot, które znalazły się tamtego ranka w ciemnym tunelu.

Spokojny dom

– Jest pan nareszcie, Panie Bombadilu. Martwiliśmy się o pana.

– Jestem. Przyprowadziłem ze sobą dwójkę urwisów. Były jakieś problemy?

– Długo pana nie było. Dłużej niż zwykle – w młodym głosie słychać było wyrzut. – Z Tatianą coraz gorzej – szepnął chłopak. – Musieliśmy podać jej więcej leków.

– Zajrzę do niej za chwilę, mam nadzieję, że ktoś z nią jest.

– Tak, jest. Cały czas ktoś z nią siedzi, jak zawsze.

– Dobrze… Zajmiesz się tą dwójką?

Pan Bombadil nie czekał na odpowiedź, wiedział, że Wołodia odpowiednio zajmie się przerażonymi dzieciakami, które powoli odzyskiwały przytomność. Mógł polegać na tym chłopcu. Ciekawe, ile jeszcze czasu będzie mu dane?

Przebrał się szybko i obszedł cały dom, sprawdzając, czy wszystko w porządku, dopiero wtedy udał się do Tatiany. Na jedzenie i zimny prysznic będzie czas nieco później. Uśmiechnął się ciepło do dzieci

kręcących się wokół łóżka chorej. Kazał im pójść do Wołodii i jako że było już późno, życzył dobrej nocy.

Siedział przy łóżku Tatiany, dopóki nie zyskał pewności, że wszyscy inni już śpią. Długo to trwało, a on był przecież bardzo zmęczony. Nieważne. Nie mogą widzieć. W większości to mądre dzieciaki, domyślają się wszystkiego, ale zobaczyć to na własne oczy to coś zupełnie innego. Popatrzył ostatni raz na wyniszczoną chorobą twarzyczkę dwunastoletniej Tatiany Olych. Zabił dziewczynkę we śnie, nie zostawiając śladów, po czym udał się do swojego pokoju. Dokładnie zaryglował drzwi i rozpoczął swój rytuał.

Wielki strach

Nalał sobie kiepskiego samogonu. Ale nie miał siły osuszyć nawet jednej szklanki. Wyrecytował imiona. Kiedy zabrał się do sprawdzania broni, zostało mu czternaście twarzy do przypomnienia. O dwóch ostatnich nie wiedział nic. Rozłożył pistolet. Złożył. Naładował. Odbezpieczył. Skończył swoją modlitwę. Przystawił broń do skroni.

Jeszcze nie…

Uśmiechnięte dzieci

Następnego ranka człowiek zwany Panem Bombadilem ucieszył się bardzo, kiedy odkrył, że dzieci, które przyprowadził ze sobą, uśmiechają się nieśmiało na jego widok. Zawsze najlepiej takie sprawy zostawiać rówieśnikom. On sam mógłby tłumaczyć i tłumaczyć, a i tak nic by z tego nie wyszło. A tak przynajmniej nowi (Oleg i Ludmiła – bliźniaki) zyskali pewność, że ich życie właśnie uległo zmianie na lepsze. Tyle życia, ile akurat im zostało. U Pana Bombadila nie musieli się przejmować zewnętrznym światem. Trafili do ostatniego miejsca na ziemi, którego nie opanowało jeszcze zło – a przynajmniej tak mówiły dzieci, które znalazły tu schronienie.

Tego dnia Aleksiej Gromow nie miał wiele do zrobienia. Niektórym podopiecznym musiał zwiększyć dawki leków przeciwbólowych, poza tym

rutynowe czynności: sprawdzenie magazynów, przygotowywanie posiłków, konserwacja niezbędnych do życia urządzeń. Resztę dnia spędził z dziećmi, które z radością powitały jego towarzystwo. Były zabawy, śpiewy, no i oczywiście wieczorem, obowiązkowo bajka dla nowo przybyłych. Zwykle dzieciaki, które były w owym miejscu najdłużej, prosiły nieśmiało:

– Panie Bombadilu… A może opowie pan naszym nowym kolegom bajkę – tym razem odezwała się Luna, drobna ośmioletnia dziewczynka.

– Tak, Panie Bombadilu, już dawno pan nie opowiadał – zawtórowało kilkoro innych, a Oleg i Ludmiła wpatrywali się w niego wielkimi oczami.

Stara bajka

Nie wiadomo, który to już raz Aleksiej Gromow opowiadał swoją wersję znanej niegdyś historii. Oczywiście dawno temu, w innym świecie, czytał książki, z których wziął swój przydomek. Nie pamiętał wszystkich szczegółów (gdyby tylko mógł dostać te książki w swoje ręce!), ale dla dzieci nie miało to najmniejszego znaczenia. Wszystkie słuchały jak zaczarowane. A poza tym najważniejszy był on: Tom Bombadil, wokół którego ocaleć miała część świata, podczas gdy resztę pochłonie mrok. Oczywiście w końcu ciemność musiała zatryumfować i tu, ale póki co Tom Bombadil trwał niewzruszony.

Na początku starał się wytłumaczyć, że przecież w bajce udało się pokonać zło i świat był bezpieczny, a Tom nie musiał samotnie stawiać czoła otaczającej go ciemności. Szybko przekonał się jednak, że dzieci patrzą na swój rzeczywisty świat i tam wklejają jego, nazywając Panem Bombadilem, który podda się złu tego świata jako ostatni. Tak wiele przecież dla nich zrobił. Uratował je wszystkie, dając schronienie na te ostatnie dni. Dzieci były bystre. Wiedziały, że umrą raczej wcześniej niż później. Wiedziały, że każde z nich jest chore i że w tym mrocznym świecie nie ma dla nich lekarstwa. I były wdzięczne za ostatnie chwile szczęścia.

Ogromny ciężar

Na koniec dnia, kiedy wszyscy już spali, człowiek zwany Panem Bombadilem zamknął dokładnie drzwi swojej kwatery. Dziś wychylił całe dwie szklanki okropnego samogonu, zanim stwierdził, że ma dość.

Imię, nazwisko, pseudonim, wiek. Rozłożył pistolet. Złożył. Naładował. Odbezpieczył. Skończył swoją modlitwę. Przystawił broń do skroni.

Jeszcze nie…

Szczera modlitwa

To były w większości mądre dzieciaki i wszystkim im obiecał modlitwę do boga, w jakiego wierzyli. On modlił się, wspominając każdą osobę, którą dane mu było pożegnać w tym miejscu. Nie potrzebował niczego więcej. Dzieci widziały zawsze uśmiechniętego człowieka, który zapewnił im azyl w świecie po końcu świata. Nie chciał, by wiedziały, na czym polegały jego modlitwy ani jak zakończy się ostatnia z nich.

Zmartwiony pan

– Długo pana nie będzie, Panie Bombadilu? – pytał Oleg. – Niech pan uważa na siebie.

– Wy uważajcie i trzymajcie się ciepło. Nie będzie mnie najwyżej dwa dni. Pilnuj siostry.

Ludmiła miała się coraz gorzej. Według Gromowa nie zostało jej więcej niż tydzień. Najważniejsze jednak, że była szczęśliwa przez ostatnie miesiące. Obecnie było ich trzynaścioro. W ostatnim tygodniu musiał pochować troje. Od ostatniej wizyty w metrze minęło już dziewięć dni. Przyprowadził wtedy ze sobą malucha, pięcio-, może sześcioletniego, znalezionego w jednym z tuneli. Szczury już zaczynały się do niego dobierać, a on nie miał siły ich odganiać. Inne dzieci zajmowały się nim najlepiej, jak potrafiły, jednak maluch nie odezwał się ani słowem od przybycia tutaj. Znajdował się w zaawansowanym stadium choroby popromiennej i pewnie dlatego został porzucony na pastwę tuneli. Gromow miał nadzieję, że ten maluch chociaż trochę dojdzie do siebie, że zazna chociaż w niewielkim stopniu szczęścia, zanim przyjdzie mu umrzeć.

– Niech się pan o nas nie martwi.
– Zawsze będę się o was martwił…

Adekwatne środki

Za każdym razem starał się wychodzić w innej części metra. Dobrze znał sieć tuneli i przejść, z których korzystał. Doskonale zabezpieczone i zaopatrzone miejsce, w którym przebywały dzieci, było tajemnicą, już Gromow się o to postarał. Trzeba było zasypać niektóre przejścia. Czasem zabić kogoś, kto znalazł się niebezpiecznie blisko. Dzieci często pytały go, czy dużo zabija podczas poszukiwań. Zawsze wtrącały się inne, mówiąc, że zabija tylko złych ludzi, a on dodawał, że nie spotkał jeszcze w metrze tych dobrych. Większość malców pamiętała rodziców, dziadków czy przyjaciół, których mieli w metrze. Ale nie tęskniły za dawnym życiem. Gromow zbierał dzieciaki, dla których nie było nadziei. Czasem wyrywał je z rąk zwyrodnialców, czasem ratował przed mutantami. Zdarzało się nawet, że odwiedzał stacje i zabierał chore dzieci, którymi nikt nie miał zamiaru się zajmować. Wtedy płacił za dzieciaka komu trzeba, rodzicom czy naczelnikowi. Odprowadzały go zawsze pogardliwe spojrzenia. Nie lubił zatłoczonych stacji. Wolał działać w tunelach, gdzie mógł swobodnie zabijać.

Krwawe tunele

Tym razem człowiek zwany Panem Bombadilem w jednym z bocznych przejść trafił na rytuał, w którym w ofierze miało być złożone niemowlę. W krwawej ofierze. Zanim ktokolwiek się zorientował, piątka dzikusów leżała martwa. Reszta w panice rzuciła się do ucieczki. Gromow trafił jeszcze trzech, pozostali uciekli.

Dziecko, które miało być złożone w ofierze, nie miało żadnej widocznej deformacji, nie było chore ani napromieniowane. W pewnym sensie nie pasowało więc do tych, którymi Gromow się zaopiekował. Ale z drugiej strony pasowało idealnie. Zostało uratowane od niechybnej, bolesnej śmierci, z tym że miało przed sobą więcej życia niż pozostałe.

Człowiek zwany Panem Bombadilem wziął zawiniątko z niemowlęciem i ruszył w drogę powrotną do domu.

Ludzie, którzy go zaatakowali, nie mieli wielkich szans w starciu z doświadczonym Gromowem. Dzicy, całe plemię. Wszyscy żądni krwi.

Przejście prowadzące do domu zostało odcięte. Nie można było uciekać w kierunku najbliższych stacji, akurat tutaj strażnicy najpierw strzelają, a potem zadają pytania. Wyjście na powierzchnię nie wchodziło w grę, jeśli niemowlę miało przeżyć. Pozostała ucieczka krętą siecią bocznych tuneli serwisowych, w których gnieździć się mogło wiele paskudztw. Gromow nie miał jednak wyboru.

Dzicy z uporem próbowali odzyskać niedoszłą ofiarę. Trupy wielu z nich stały się tego dnia przekąską dla padlinożerców. Plemię było jednak bardzo liczne. Uciekał, póki nie znalazł miejsca, w którym mógł się ukryć. Była to bardzo dobra kryjówka. Nie mieli szans go znaleźć… Chyba że zwabiłby ich płacz dziecka.

Martwe wnętrze

Człowiek zwany Panem Bombadilem dokonał wyboru. Dziecko nie zapłakało… Siedząc w ukryciu, tuląc do siebie martwe niemowlę, Aleksiej Gromow wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z ciemności. Wreszcie bardzo delikatnie odłożył zawiniątko na ziemię. Coś właśnie pękło w człowieku zwanym Panem Bombadilem. Poczekał, aż dzicy się zniechęcą i przestaną go szukać. A potem Aleksiej Gromow, chowając się w cieniach, podążył za nimi.

Pusty wzrok

Wstukał kod, który znał tylko on. Gdyby nie wrócił, dzieci nie mogłyby opuścić tego miejsca. Nieważne. Miały tam wszystko, czego potrzebowały. Starczyłoby jeszcze na kilkanaście lat. To cud, że wiele lat temu udało mu się znaleźć to miejsce. Tak doskonale zaopatrzone, doskonale ukryte.

Potwornie wycieńczony, na granicy przytomności, Aleksiej Gromow, człowiek zwany Panem Bombadilem, wrócił do domu. Cały oblepiony

krwią (częściowo swoją), utykając na jedną nogę, patrząc przed siebie przekrwionymi oczami. Ręce mu się trzęsły, kiedy zdejmował swój ekwipunek. Dzieci spały spokojnie w swoich łóżkach. Nie mógł się zmusić, aby do nich iść. Może wystarczyłoby tylko popatrzeć na spokojne, śpiące postaci, aby odnaleźć spokój, sens, wybaczenie.

Otwarte drzwi

Przez otwarte drzwi niosły się słowa. Imiona, nazwiska…

Na biurku stały opróżnione butelki kiepskiej jakości samogonu. Obok leżała broń.

Rozłożył pistolet.

Złożył.

Naładował.

Odbezpieczył.

Koniec modlitwy.

Przystawił broń do skroni.

Piotr Jedliński

Pielgrzym

> Katedra oddycha, wyciąga ku mnie czarne pępowiny. Rozrasta się. Sięga ku planetoidom. Oni zbliżają się cichymi falami. (…) Katedra nas otula, jesteśmy Katedrą, fragmentami bryły, jednego dzieła sztuki.
>
> Jacek Dukaj, *Katedra*

(dziennik opatrzony klauzulą tajności; zawiera treści potencjalnie zagrażające morale obywateli Republiki)

– – –

(dopisek cenzorów):
ksylem – drzewna część tkanki roślinnej «gr. *ksylon* – drewno»

– – –

/Doba trzecia/

Dla chwały Republiki Jasnych Błoni i w imię Ludu Ocalonego, Spadkobierców Ludzkości.

Już niemal na granicy.

Wymarsz o północy, przekroczymy ją o świcie. Przed nami suburbia; bunkrujemy się w centrum handlowym. Zmarznięci, głodni, ale morale wciąż wysokie, i ciekawość rozbudzona. I zniecierpliwienie jeszcze niewielkie.

Majeran znalazł schody na górę, siedzimy więc na dachu, bo na wysokości bezpieczniej. Ale że brak chmur – kryjemy się w nadbudówce, nie igramy ze słońcem. Poniżej parking zastawiony wypalonymi wrakami,

teren łowny tych psich pokrak, co nam drużynę uszczupliły; spoczywajcie w pokoju, Tomik i Krępy.

Jest czas na wspólne milczenie i posiłek, i dziennik. Nie rozmawiamy, bo rozmowy prowadzą do kłótni. Nie ryzykujemy kłótni teraz, na progu Nieznanego. Posiłek – Majeran i Grzechur przetrząsnęli dział z puszkami, znaleźli nietknięte konserwy, świństwo śmierdzi i na rzyganie mnie bierze, ale jem, wszyscy jemy. A dziennik… Nie dopilnowałem obowiązku, złamałem bezpośredni rozkaz. Melduję: mea culpa. Melduję też: ale nie w pełni moja wina. Mieliśmy ciężką przeprawę.

Nie odpuszczały nieszczęścia ani na krok, a kroków było wiele, za wiele, bo skrótami nie szliśmy. Marszruta: ze szpitala na południe, kościół/brama, Kopernika zablokowane, watahy tałatajstwa między zwałami gruzu. Lęgnie się to w rumowiskach na potęgę. Więc odbiliśmy na wschód. Goniły nas, zepchnęły aż pod dworzec, pod wysunięty posterunek. Myślałem, że któryś się wykruszy. Sam rozważałem dezercję w myślach grzeszyłem przeciw Republice, przyznaję się i gotów jestem przyjąć konsekwencje. Jeśli wrócimy, rzecz jasna, a niniejszy dziennik nie zaginie w dziczy, pośród zgliszcz.

Z dworca z dodatkową eskortą na południe, wzdłuż Odry, i znów na zachód. Pomorzany, względnie bezpieczne. Wybuchł tu kilka lat temu pożar, ogień strawił blokowiska i wieżowce wraz z całą spotworniałą fauną. Nowa nie zdążyła się jeszcze zadomowić, martwe domy są rzeczywiście martwe, straszą puste okna i poczerniałe ściany, pokrywa ziemię popiół.

Przy cmentarzu eskorta zawróciła, nasze prośby skwitowali śmiechem, podobnie jak okazane pełnomocnictwa. Za daleko stacjonują od Błoni, by rygor utrzymać. Wnioskuję o dyscyplinarne ukaranie całej załogi bądź wydalenie z szeregów Ludu Ocalonego.

Niemal dwie doby pokonywaliśmy cmentarz. Nawiedzone ziemie. Nie że zmarłych się obawiam. W wymarłym świecie to brak martwoty każe się mieć na baczności. Zawierzyliśmy przewodnikowi, wywiódł nas na manowce. Nie intencje złe, ale mgła. Labirynt płyt, alej, alejek. Place z pomnikami, szpalery grobów, mogiły rozkopane, tunele ciągną się pod

nekropolią, a w nich mutanty, których zaklasyfikować i ja, ekspert od zmutowanych organizmów, nie podołałem. Drzewa natomiast Franc, nasz botanik, poklasyfikował, umieścił spis we własnym diariuszu. Twory splątane, kształty fantazyjne, zrośnięte i wyrośnięte, dzicz. Nie jak na archiwalnych zdjęciach.

Dwie doby kluczyliśmy, nim

– – –

Zapisywanie przerwał alarm. To Szmulna. Wróciła z obchodu. Partnerka Majerana, wedle mojej oceny: na profesjonalnych warunkach, nic więcej. W halach supermarketu zauważyła ślady naszych poprzedników. Porzucone obozowisko. Na oględziny udał się Grzechur, czołowy strzelec, Majeran oraz ja. Niezbędny do ewaluacji wykręconego mutacją truchła. Właśnie wróciliśmy.

Załączam protokół i wnioski na osobnej stronie. Tutaj pokrótce. Prekursorzy wojażów na rogatki miasta kryli się w jednym ze sklepów, za zaimprowizowaną barykadą z regałów i śmiecia (konstrukcja stabilna, chyba zamierzali koczować dłuższy czas). Odeszli. Miesiąc temu. Plus minus tydzień. Nie więcej, bo wszędzie ślady walki i trupy. Ludzkich na szczęście brak, za to trzy nafaszerowane kulami mutanty.

Tempo procesu gnilnego chyba w normie. Tylko nierównomiernie rozłożone oznaki. Paskudztwa nawet nie rozkładają się, jak na naturalne organizmy przystało. Ale postawiłem diagnozę – circa miesiąc od śmierci. Abominacje, spotworniałe kreatury, tkanka dziwna, krwi brak, co przeczy wszelkiej mojej wiedzy. Nowy gatunek, bez wątpienia. Mutacje pokonują kolejne ograniczenia. Mija dwadzieścia lat, a prawa biologii zachwiane. Dokąd zmierza ten szalony, przyśpieszony radiacją postęp, ta kaskada zmian? Nie wiem. Boję się nawet stawiać hipotezy. Boję się je weryfikować.

I czasem zastanawiam się, kto jest na tym pokońcowym świecie intruzem. Przecież nie my, chciałoby się rzec. Ale…? Czy jednak? Może

jesteśmy jak natręci i maruderzy, co uparcie nie chcą opuścić bankietu dotychczasowego życia, a nadchodzi już nowa fala gości. I trzeba nas wyprosić. Nas, spróchniałe relikty.

Na dziś koniec. Nocny marsz, następny postój w blokowisku, formalnie poza miejską granicą. Potem – przedmieścia. Nieznane.

– – –

/Doba czwarta/

Blokowisko, formalnie zaraz za granicą miasta, zgodnie z planem. Najpierw przez parking (poszły w ruch karabiny, sfora w rozsypce, straty: Franc skręcił kostkę). Przeczekujemy dzień w mieszkaniu na poddaszu. Schody obstawiliśmy, w oknach snajperzy – Szmulna i Grzechur. A w bloku sąsiednim kolejne ślady po poprzednikach; myśleli w sposób niemalże identyczny, podobnie szacowali, paralelizm ich wyborów i naszych nie przeraża mnie, przesądny nie jestem (w końcu jestem naukowcem).

Odkrycie obecności poprzedników wpłynęło na nastroje drużyny. Siedzę na uboczu, piszę, dobiega mnie ich konwersacja. Notuję co ciekawsze wypowiedzi.

Grzechur (karabin oparty o parapet):

– …cwaniura z tego Franca, ma tupet, podchodzi do mnie i nawija, jak to noga puchnie, jak to po schodach ciężko się wtarabanić. I że na dole zostanie, drzwi strzec będzie. Tfu, sukinsyn. Z nogą nic poważniejszego.

Majeran (ton poważny, zawsze z dystansem, szkolony przez najlepszych wojskowych w Schronie pod Błoniami):

– Co on więc tam robi? Zabawia się? Sparło go?

Śmiechy. Znów Grzechur:

– Gdzie tam. Ze sklepu wyniósł zapas konserw, przykampił w plecaku. Teraz siedzi i wsuwa. A jak się coś w progu pojawi, zaraz zwróci, co zeżarł. Obydwoma końcami.

Znowu śmiechy, zaniepokojony Majeran na wszelki wypadek opuszcza mieszkanie, idzie sprawdzić, co z podwładnym. Dwójkę już straciliśmy.

Jeden więcej – i przechyli się szala na stronę dziczy.

Tam, na dachu centrum, śniłem. Pierwszy raz od…? Od ostatniej eskapady. W bunkrze, pod Błoniami, na terenie Republiki (chwała jej i Spadkobiercom Ludzkości) nie ma snów. Są tylko jawa i obowiązek, i żywot, i wieczna praca na rzecz Ocalonych.

Śniłem obrazami, odgłosami, wrażeniami. Ale zapamiętałem sen frazami, słowotokiem, natłokiem pokręconych i kuriozalnych zwrotów. Nie przytoczę, umykają mi, ciężko przyszpilić wyraz, na pół zapamiętany, gdy się on z niczym nie kojarzy. Galopada dziwacznych słów. Coś o drzewie/drewnie/ ogromie/filarach? Doprawdy, nie wiem. I, jako badacz, od którego oczekuje się trzeźwości umysłu i podejścia pragmatycznego, zaczynam się lękać.

Co myśleli tamci? Ci, którzy szli tędy miesiąc temu? Dlaczego nagle zdezerterowali, opuścili posterunek na Kaliny i ruszyli na zachód, poza miasto, ku Nieznanemu?

Czy także śnili?

Pamiętam jeszcze jedno. Zapamiętane z wtedy, z incydentu z przybyszem, z szalonym pielgrzymem. Słowo natrętne i powracające. Nie wiedzieć czemu zdaje się wytrychem. Słowem kluczem.

„Ksylem”.

– – –

/Doba piąta/

Napaść. Ledwie z życiem uszliśmy, cud, że wszyscy. Splot niefortunnych zdarzeń i przypadków nieszczęsnych, aż nie do pomyślenia. Prawdopodobieństwo oscylujące poniżej kilku procent, jak skonstatowałby któryś z moich mentorów. Cytując zaś lakonicznego Majerana: „pieprzony pech i pieprzone poruczenie”.

Przedmieścia rozlewają się za miastem rzadką zabudową. Początkowo szliśmy podług planu i mapy. Główna droga zastawiona rzęchami, większość spalona. Ziemia poorana i pobrużdżona, łatwo nogę złamać

(Franc, który skręcenie kostki chyba udawał, teraz skręcił ją sobie naprawdę, dodatkowo przy upadku znacznie przetrzebił sobie uzębienie). Trzeba oświetlać drogę, ale oszczędzaliśmy baterie, by nie przywabić nieproszonej kompanii. Krążą nad nami, stado szerokoskrzydłe i krótkodziobe. Te, co nad rzeką. Portowe miasto, więc może niegdysiejsze mewy…? Teraz nieistotne.

Minęliśmy trzy charakterystyczne punkty. Najsampierw dwie ciężarówki w poprzek drogi. Naczepy zmiażdżone, zrolowana blacha, otoczenie zasłane towarem: połamanym sprzętem elektronicznym. Dalej stacja benzynowa, sklep, komisariat policji. Aktywności szabrowników ani śladu, bylibyśmy sprawdzili wnętrze w poszukiwaniu zbrojowni, ale Majeran miał „przeczucie”. A przewodnikowi ufa się albo całkowicie, albo w ogóle.

Ostatni punkt: skrzyżowanie. Karambol i sterta złomu, betonowa płyta boiska, zrujnowana szkoła/urząd, którą obraliśmy za schronienie na czas dnia. Prezentuje się

– – –

Nie ma czasu na dłuższe opisy ani na dygresje. Szmulna krwawi. Majeran wściekły (chyba coś więcej niźli zawodowe partnerstwo).

Co do napaści: kiedyśmy przemykali dwójkami ku frontowym drzwiom, lawirując między wrakami (chodnik także zastawiony), ożywili się mieszkańcy wypalonych karoserii. Pasażerowie rodem z radiacyjnego piekła. Humanoidalne sylwetki, zachowanie jednak zwierzęce. Cała wataha. Franc pokuśtykał, wysforował się naprzód. Mnie rozkazał Majeran to samo. Priorytetem misji jest podążenie na zachód, śladami zaginionych, ale i zbadanie po drodze form życia, nieżycia, pseudożycia, a więc i botanik, i spec od mutacji przeżyć muszą. Myśmy wparowali do budynku, na ślepo, na szczęście był pusty. Na zewnątrz jatka. Szmulna ugryziona, Grzechurowi jego cud rusznikarstwa, ta samoróbka na bazie AK, rozleciała się w rękach (ucięty jeden palec) i został nasz wyborowy strzelec z bronią krótką.

Czekamy. Na zewnątrz wycie. Przybywa ich.

Nie możemy wyjść. Może odejdą o zmroku. Może nie. Aproksymacja typowo ludzka: pół na pół.

Tak albo nie.

– – –

Zmierzcha. Wychodzimy, stwory się pochowały. Teraz na południe, polami, przez zagony brunatnej niby-trawy, tropem poprzedników. Tędy szli, minęliśmy przed chwilą grób. Znaki na latarniach, wojskowe symbole i zwyczajne piktogramy. Drzewo, kolumna, wieża. Czemu? Czemu dezercja, czemu zaszli tutaj, co nimi powodowało? Cokolwiek to było – chyba niedaleko do źródła. Znów śniłem, a we śnie plejada obrazów i wspomnienie wędrowca.

Potem. Teraz marsz.

– – –

/Doba szósta/

Niezmierzona jest gloria Republiki i sława Ludu naszego. Są jednak rzeczy, które każą wiarę kwestionować. Jak choćby – „to”. „Ono”?

Widzę je z oddali. Wszyscy widzimy.

Stoi na wzgórzu, kilometr od nas. My na dachu, drugie piętro (osiedle, domki jednorodzinne). Bezpieczni, chociaż rana Szmulnej się nie zasklepia, grozi jej ponowny krwotok. Patrzymy przez okna dachowe, patrzymy mimo dnia i słońca, i światła, i ryzyka porażeniem. Stoi tam, góruje, hen, za domami, na tle siwych zagonów chmur. Daleko, a jakby na wyciągnięcie ręki. „Ono” – bo jak nazwać ten masyw, rozłożysty obelisk, niewzruszone kłębowisko form i kształtów? Bez naocznych filtrów razi słoneczna sepia, prześwitująca przez szczeliny między obłokami.

I tak usiłując określić i nazwać Nieznane (bez powodzenia), zaczynamy dyskusję (notuję rozmawiając). Nie da się opisać. I fotografia nie oddałaby

wrażenia. Sugestie, supozycje, Franc bardzo wymownie milczy, też nie wie. Podejrzewa, być może. Cicha woda.

Reszta – pragmatycy. Szybko schodzą na temat nie Tego, ale ludzi, których śladami wędrujemy. Co kazało drużynie zaprawionych w bojach żołnierzy zejść z warty i opuścić strzeżone granice? Skąd idea, skąd odwaga, skąd konwikcja, iż istnieje cel wart kuszenia losu?

– Legendy, jakich pełno – zgaduje Szmulna. Blada, wymizerowana, Majeran zmienia jej opatrunek. – Nasłuchali się od innych zwiadowców. Dobrali do mapy sprzed Wielkiego Ognia. Ubzdurali sobie skarb i ruszyli. Ponoć same młodziaki, niedorostki i wyrostki, takim nietrudno we łbie namotać, sami sobie motają.

Grzechur na przemian ssie kikut urwanego palca i uparcie pracuje nad reperacją zniszczonego karabinu. Prychnąwszy, oznajmia:

– Większość młodziki, tak. Ale takim gorącym łbom przydziela się oficerów. Co, w Republikę zwątpiłeś? W nasz reżim ulubiony, bo jedyny? Pod kontrolą się młodych i buntowniczych trzyma, przynajmniej z początku. Żeby im na hulanki ochota przeszła. Odeszli z oficerem, całym oddziałem.

Spisuję słowa, bliskie zniewagom. Nie strofuję Grzechura. Napięta atmosfera. W zamszonym ciasnym pokoju na poddaszu siedzimy jeden przy drugim. Awantura wisi w powietrzu, a awantura między stalkerami równa się mordobiciu.

– Albo zabili oficera – sugeruję. – Ciała nietrudno się pozbyć.

Majeran na to:

– Zabili czy nie zabili, skądś, do cholery, dostali cynk. Nie szli na oślep.

Zgadzam się. Zdarzają się na obrzeżach miasta cuda, w istocie i wspaniałe, i okrutne. Skądś wiedzieli o tym konkretnym. Zmierzali ku Temu, czymkolwiek się okaże. Za czyimi wskazówkami…? I naraz Franc. Z kąta, gdzie przycupnął i rozmasowywał kostkę.

– Ksylem – mówi. On też, jak ja. Oni nie. Cisi, czekają na wyjaśnienie. Zamiast elaboratu – milczenie. Na mnie teraz uwaga. Że też naukowiec, to

zobowiązany. Więc zaczynam. Spowiadam się z tajemnic Republiki, niech będzie mi wybaczone. Potem streszczę w dzienniku.

– – –

(sekcja zaszyfrowana)
O tułaczu/wędrowcu/przybyszu/Pielgrzymie:

Dwa miesiące temu? Z okładem. Chyba. Stalkerzy plotek nie słyszeli, bo plotki się nie rozniosły. Klauzula poufności. Pielgrzym przybył wprost pod wrota Schronu. Nie główne, pokazowe, gdzie ruch, ale zapasowe – ukryta droga ucieczki dla przywódców Błoni. Pod pomnikiem Orłów, wtopione w beton. Skąd wiedział o ich istnieniu? – jedno z pytań bez odpowiedzi.

Wartownicy wsadzili przybysza do aresztu. Wzięto się do przesłuchania. Nic nie mówił, poza jednym słowem: „Ksylem". Podejrzewano, że szaleniec. Ale podejrzewano też dekonspirację i spisek wymierzony w dyrygentów Spadkobierców Ludzkości. Zrobił się w szeregach służb bezpieczeństwa zamęt, nadzór nad więźniem przejął komisarz B. Szulc, w tamtym czasie mój pryncypał.

„Ksylemem" odpowiadał Pielgrzym na pytania o tożsamość, o cel. „Ksylem!", krzyczał przy podtapianiu i dalszych punktach rutynowej procedury interrogacji. Krzyczał wniebogłosy, do końca (wycieńczenie, szok przy porażeniu, fuszera ze strony przesłuchujących). Nim skonał, wezwano specjalistów z rozmaitych dziedzin. Powołano komitet. W składzie między innymi ja i Franc. Fiasko poniosła burza mózgów, badanie organizmu i reakcji Pielgrzyma. W organizmie pozostałości po niezidentyfikowanej substancji, śladowe napromieniowanie całego ciała. Na nic próby komunikacji.

Po nieprzewidzianym zgonie zarządził komitet autopsję. W mózgu denata odkryto, iż część tkanki nerwowej uległa „zgąbczeniu" i infekcji mikroskopijnymi elementami, do złudzenia przypominającymi ziarna, bądź

– – –

Wyruszymy wcześniej. Szmulna na nogach, chociaż słaba. Zdążę dokończyć, jeśli uproszczę deskrypcję. Więc: Pielgrzym umarł. Starania komitetu spełzły na niczym. Trupa spalono. W aktach odnotowany został przypadek „Ksylemu”, botanicy orzekli, że ziarna w mózgu to specyficzny przypadek nieznanej dotąd roślinności, bez wątpienia zmutowanej. Sprawa zamknięta.

Dlaczego połączyliśmy oboje, Pielgrzyma i Ksylem, ze strażnikami, których śladami szliśmy? Oba wydarzenia dziwne. Ale chyba nie przez to. Powodem – widok tego, co się na wzgórzu rozsiada. „Ono”, zapisałem uprzednio. Bałem się pochopnych sądów. Wszak pełnię tu funkcję racjonalisty. Na mnie spoczywa odpowiedzialność za sprawozdanie z wyprawy, dążące do względnej obiektywności.

Napisałem „Ono”. Na myśli jednak, gdy ujrzałem z oddali ten groteskowy, oszałamiający twór, miałem „Drzewo”. Budulcem drzewa – drewno. „Ksylem” właśnie.

Osąd zapewne przedwczesny. Jeśli jednak…? Stąd przywędrować mógł Pielgrzym. My w kierunku przeciwnym, ale jakkolwiek by na to patrzeć – także pielgrzymujemy. Do Ziemi Nieznanej.

– – –

/Doba siódma/

Szmulna traci siły, zbyt duży upływ krwi. Majeran szaleje. Kikut Grzechura paskudzi się. Franc zaginął. Chociaż cóż to za zaginięcie, skoro wszyscy wiemy, dokąd poszedł.

Najpierw o tym, co wokoło. Obóz rozbiliśmy w ruinach zakładu, u stóp wzgórza, w niegdysiejszej masarni. Krajobraz szary, kikuty drzew, słupy latarń, rozbite samochody, resztki płotów i domy umarłych łączą się, stapiają w całość, wszystkie pokrywa szarzyzna. Z początku uznaliśmy ją za popiół. Omyliliśmy się, z bliska przypomina mech, coś pochodzenia roślinnego. Franc zatchnął się, nie powiedział nic. Już wówczas wlepiał oczy w Ksylem (tak będę się do Tego odnosić).

Ciągną się ku horyzontowi wzgórza, spod kobierca niby-mchu gdzieniegdzie przebija się brunatna ziemia. Tam, niedaleko, na zachodzie, znowu domy, inne miasteczko. Po wspięciu się na fabryczny komin spojrzeć można na wschód, ku miastu. Nie widzimy go jednak, w powietrzu opary. Rzadsze niż mgła, ale otaczają Ksylem ciasnym kręgiem (dlatego i z miasta go nie widać, mimo gargantuicznych rozmiarów).

Od masarni do podnóża Ksylemu: zbocze wzgórza. Droga we fragmentach, spod asfaltu przebijają się wiązki wężowych korzeni. Najbliższe Temu domy i ogródki zapadają się w ziemi (zruszona gleba?), spod warstwy sinawego mchu widać jedynie kanciaste, foremne zarysy budynków. Hałdy śmieci. Metalowe szkielety, pozostałości po karoseriach (czyżby trawił metal?). Tuż przed „pniem” znak drogowy, zatarty, ale rozpoznawalny. Ośmiokąt. „STOP”.

Za nim – Ksylem.

Przywodzi na myśl gros skojarzeń. Zwłaszcza mnie, obytemu z archiwalnymi materiałami sprzed Wielkiego Ognia. Góra – myślę. Poszarpany klif. Skamieniały grzyb atomowy. Narośl, zdegenerowana tkanka, dziwaczny efekt choroby popromiennej, która dotknęła planetę. Przede wszystkim jednak, kiedy obejmie się wzrokiem całość asymetrycznego tworu: Drzewo.

Jest olbrzymie. Napiera na oglądającego. Na pozór nieruchome. Jednak gdy się przypatrzeć – oddycha. Wypustkami, mniejszymi, drzewnopodobnymi kominami. U podstawy korzenie łączą się w pień, szeroki na dobrych pięćdziesiąt metrów, pełen zgrubień, prętowatych gałęzi o metalicznej fakturze. Rozszerza się Ksylem wraz z wysokością, i gdzieś przy dwudziestym metrze rozpościera na wszystkie strony grubaśne konary. Z nich gałązki mniejsze, z nich odpowiednik liści (na oko: wielkości dłoni, kształty rozmaite). Ich motanina tworzy właśnie korpus Ksylemu. Nieregularną bryłę większą od jakiegokolwiek gmachu w mieście. Oko szuka prawidłowości, ponosi porażkę i zadowala się przyrównaniem do drzewa, formy znanej, obecnej w przedwojennym świecie.

Czemu Ono służy? Czemu wyrosło tutaj, na peryferiach? Czemu dążyli doń dezerterzy? Czy wysłało Pielgrzyma (nie, przecież…)?

„Czemu?” Może warto zmienić pytanie. Zastanawiamy się czemu i szukamy pobudek. Ignorujemy sposób. „Jak?” Jak zdołał Ksylem powstać? Wszystko, co niezgodne z wiedzą sprzed Wielkiego Ognia, tłumaczymy radiacją, mutacjami. Każde zwyrodnienie. Czy i Ono jest niczym więcej jak symptomem choroby…?

Franc, mimo gburowatości, okazał się bystry. Musiał też myśleć, zastanawiać się. I poszedł, niech go szlag. Poszedł tam.

– – –

Jeszcze nie wrócił. Chyba nie wróci.

– – –

Szmulnej otworzyły się rany. Majeran chce zarządzić powrót. Protestowałem. Omal mi nie przyłożył. Franca nie ma. Z mchu, pod wpływem słońca, ulatnia się opar i tworzy mglisty kordon. Grzechur naprawił broń. Widziałem, jak celuje w Drzewo, patrzy przez binokulary, ledwie dał się od obserwacji oderwać. Odpowiada półsłówkami. Zawsze skory do kłótni, teraz raczej wybiera milczenie.

Argumenty i prezentowane propozycje:

Majeran:

– Zostawmy to świństwo, cholera wie, czy to roślinny mutant, czy może jakaś broń biologiczna. Gówno mnie obchodzi ten przygłup botanik. Gówno mnie obchodzą zaginieni. Śladów w pobliżu nie znaleźliśmy. Jeśli mieli olej we łbach, zawrócili na sam widok tej kupy gnoju.

Grzechur (przymuszony):

– Poobserwujmy. Nasz spec umieści w dzienniku opis. Żebyśmy z pustymi rękami nie wracali.

Szmulna (odkasłuje krwią):

– Przeprowadźcie zwiad, jak na zwiadowców przystało. Ja jeszcze wytrzymam.

Ja:

– Podejdźmy, pobierzmy próbki. Nie wiemy w gruncie rzeczy nic. Dopiero z bliska okaże się, czy istnieje jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

– – –

Majeran zgodził się wreszcie. Zarządził czas na sen. Grzechur na warcie, sam się zgłosił; zaległ na dachu, obok komina, i podziwia strukturę Ksylemu. Sam Majeran udał się na zaplecze, do baraku obok pustej cysterny. Coś przygotowuje.

Pilnuję Szmulnej, nie mogę zasnąć. Ona za to śni. Mamrocze, majaczy. Czyżby wpływ bliskości Tego…? Podejrzenia. Odrywam płat mchu z zewnętrznej ściany. Miękki, po oddzieleniu szybko jednak kamienieje, potem rozsypuje się w sinawy obłok. Nie opar, raczej drobiny.

Drobiny. Roślina. Drzewo. Sny? W Pielgrzymie też…

Ziarna, miriady ziaren.

– – –

/Doba ósma/

Sam. Tylko ja. Tamci już w Tym, są częścią organizmu, drewnem (ksylemem), jednością z Drzewem.

Słyszałem ich wołania; przebrzmiały echa przed momentem. Teraz dźwięczna cisza, Ksylem rozbuchany na tle gwiazd, apatia moja i okolicy. Żyję. Ranny, ale żyję. Pozostali – jakby nie.

Wracam na tyły zakładu. Majeran spodziewał się najgorszego, naszykował wózek, na wózku butle, część z gazem, część z benzyną. Wydobył z zagraconego magazynu, ostały się przed szabrownikami.

Zostawię tam dziennik. Dokończę wpis, jeśli i tym razem ujdę z życiem z domeny Ksylemu.

– – –

Udało się. Choć znów wyciągali (wyciągało?) swe szpony. Dociągnąłem ładunek do tej jamy, dziupli, wejścia wiodącego w labirynt nowotworu. Zdetonowałem granatem Grzechura (omal nie otulił mnie pnączami, gdym mu granat od pasa odpinał). Podmuch potężny, diagnoza: nadkruszone zęby, kombinezon nadpalony na plecach, trzy podłużne szramy przez pierś (to Szmulna, za pierwszym razem). Nie wykluczam wstrząsu mózgu.

Ocena psychiki: dopiero dociera powaga sytuacji. Porządkowanie zapisków porządkuje myśli.

– – –

Chronologicznie zatem. Mam czas. Póki Ksylem płonie.

Zaczęło się od Franca.

Nie było głosowania ani zawziętych sporów. Ruszyliśmy, bo dobiegło nas wołanie. Niosło się po uśpionych wzgórzach wymarłego regionu. Motywacja. Nie sposób porzucić kompana, nie w dziczy, nie, gdy brakuje widocznego zagrożenia (choć nikt nie wątpił w niebezpieczeństwo ze strony Ksylemu; i niebezpieczeństwo było, inne jednak niż spodziewane – inne i groźniejsze).

Poszliśmy całą czwórką. Grzechur wręcz z zapałem. Szmulna ofuknęła Majerana, przewiązała opatrunki drugą warstwą. Blada, tak blada, i wtedy, i po śmierci (po wtopieniu?). Mech amortyzował kroki, im bliżej pnia, tym grubszy kożuch. Pod nim śmietniki, kontener, ławka, przewrócona na bok kabina ciężarówki. Skradaliśmy się w szyku zwiadowczym. Kiedy Ksylem przesłonił niebo, z zachowania formacji zrezygnowaliśmy. Spokój wśród cienia i gmatwaniny odgałęzień. I czasem światło nieba na wskroś, między mackami. Wreszcie jama. Z niej, z głębi, znajomy głos. Już nie wołał. Przemawiał w nieznanym języku (narzeczu ze snu).

Zawołaliśmy, bez odpowiedzi; monolog kontynuowany.

– Sukinsyn – powiedział Majeran. Pamiętam każdą odzywkę. Pamiętam doskonale. – Zwariował. Jak sam nie wypełznie, to niech tam sczeźnie na

własne życzenie.

– Ja wejdę – zaoferował się Grzechur. Cera kredowobiała, niemal jak u Szmulnej. – Zostańcie. Wyciągnę go.

– Sam nie pójdziesz.

– Pójdę. Nic mi nie będzie.

– Tobie też odwaliło! Plan macie, nie? Bogactwo przeczuwasz, z Francem zasranym się zgadałeś? W oczy mi patrz! W oczy, ty…!

Wtedy Szmulna krzyknęła na alarm i zguba została przesądzona.

Pamiętam doskonale.

Z mroku wyłonił się Franc. Wychynęła z cienia twarz na ledwie sekundę, i schowała się na powrót. Pokuśtykał Franc znów w głąb jamy. Nim ktoś zawołał, zerwał się Grzechur i pobiegł. Za nim Majeran, z bronią w pogotowiu, i Szmulna też, a więc i ja. Przez rozwarcie do wnętrza „pnia". A tam formy znane, wchłonięte przez Ksylem, przetrawione. Ściana domu. Powyginane latarnie, okręcone wokół słupa wysokiego napięcia. Mozaika opon, tablic, płyt chodnikowych, tu i tam błysk (włączyliśmy latarki), pseudo-grota poszerza się, nikną ściany w mroku, wspina się podłoże w górę, licznik Geigera rozbrzmiewa, ostrzega przed niewidzialną śmiercią. Ale nas dopadła śmierć jak najbardziej widoczna.

Górna niby-sala, umilkło człapanie Franca, znów monolog. Z cienia. Kwaśny zapach, odór niemalże, duchota. Dokoła filary, których budulcem wszystko, co popadnie – architektura na miarę roku 2033. Zatrzymaliśmy się. Latarki z trudem piłowały mrok. Ani śladu Franca, ale nie widać też innego wyjścia. Może za którymś z filarów – zajrzałem: nikogo. Dotknąłem gołą dłonią kolumny ze sprasowanych odpadów, cegieł i metalu. Porośnięta mchem i czymś na podobieństwo kory. Sprawdziłem – w dotyku nie jak kora, ale naskórek.

Znowu alarm. Znaleźli Franca. Tyle, ile wystawało ponad powierzchnię. Ujęły botanika jęzory mchu, girlandami odklejające się od „ścian", i wtłoczyły w siebie. Tylko głowa i barki na zewnątrz. Mięśnie rozedrgane, cały był wstrząsem. Mamrotał coś.

Nikt nie wątpił, że za późno na ratunek. Tak sądzę teraz, gdy już po wszystkim. Patrzyliśmy w milczeniu. Aż nagle Szmulna padła zemdlona. Ubytek krwi w połączeniu z zaduchem. Głową wyrżnęła o nierówność w podłożu (przyrzekłbym, że wcześniej żadnych nierówności nie było). Znikąd szum, coraz głośniejszy. Majeran chyba nie słyszał, przypadł do Szmulnej, nie chciał jej opuścić; to jego opuściły instynkty stalkera. Krzyczałem. On nic. Grzechur usiadł naprzeciw pożartego przez nowotworową tkankę Franca, karabin oparł o ścianę. Darłem się, szarpałem go. On nic. Zadumany. (Wcześniej musiał wchłonąć, na pewno, ziarna na wietrze, a on wciąż na dachu…).

Ksylem zatrząsł się. My z nim. Opadły do wnętrza „dziupli” (jeśli Ono drzewem, to jama dziuplą) poszatkowane liście. Majeran ocknął się wtedy. Pamiętam jego zaciętą twarz. Poniósłby Szmulną na rękach, próbował zresztą; na próżno. Przylgnęła do mchu. Dostał ją mech. Wspinał się po jej ciele na naszych oczach. Pobiegłem na pomoc (odruch). Majeran krzyczał, ja chyba też. Z rozpaczy i strachu; i z bólu, kiedy Szmulna, opatulona kocem mchu-niemchu zaatakowała z nieludzką siłą (wszystko tam nieludzkie, estetyka, siła, wydarzenia). Majeran padł pod ciosem w skroń. Ogłuszony. Mnie cięła rozcapierzonymi palcami (pazurami?) przez pierś, nawet strój nie pomógł.

Zatapiała się stopniowo w podłodze, nie sięgała mnie. Majeran, zanim przyszedł do siebie, też wpadł w uścisk mchu. Przyszpilony, okręcony pasami. Wołał o pomoc. Błagał. A raptem z otwartych wnęk, zza filarów wynurzali się Oni. Pamiętam gonitwę i popłoch myśli. Lecz pamiętam też, że usłyszałem… – nie, że odebrałem. Odebrałem komunikat. Głos rozbrzmiewający od razu w głowie.

„Zostań. Zaśnij. Dołącz. Razem”.

Oni sunęli po podłożu, byli jego częścią, przedłużeniem, wypustkami. Sylwetki ledwie ludzkie, wszakże wiedziałem, kim są (byli). Wyciągał ku mnie szpony oddział dezerterów.

Uciekłem.

– – –

Potem szaleńczy sprint w dół wzgórza. Zamęt w myślach, jedna się wybijała: zniszczyć. Butle przygotowane przez zapobiegliwego Majerana. Żaden z niego naukowiec, ale wiedział to, co każdy z nas powinien: płomienie niszczą wszystko. Zniszczył Wielki Ogień ten świat – najlepszy dowód. Podpaliłem Ksylem. Wybuch i pożar. Raz jeszcze rozpętał człowiek inferno.

Płonie. Iluminuje okolicę, jasno jak w dzień. A ja – piszę. Klaruje się przyszłość Republiki, przyszłość Ludu. Ogień oczyszcza, wypala wątpliwości. Wspinają się jęzory płomienia po pniu, przeskakują na gałęzie, pełgają, trawią organizm gigamutanta.

Pielgrzym, do niego wracam. Przynęta? Zapewne. Zainfekowany – tak, tak. Roznosiciel zarazy Ksylemu? Raczej nie. Ale informator (swoiste dalekosiężne oczy, uszy)…? Czy ja też zarażony? Nie czuję. Nie sprawdzę. Nie wiem.

Nie dla nas to miejsce. Ksylem dowodem. Zdawał się wchłaniać, żerować na nas. Tylko żarł? Czy badał, analizował? Jeśli jeszcze zależny i niesamowystarczalny, to nie na długo. W końcu uzyskałby przewagę. Może i mobilność. Nie dla nas ten świat, skoro powstają formy życia tak potężne. Tak obce. Lepiej adaptujące się, bo na szczątkach wyrosłe. Tym gorzej, jeśli świadome (ten głos: Przemienieni czy Ksylem…?). Kandydat na następcę człowieka: żarłoczny drzewny organizm, mchowa szkarada.

Czekam końca egzekucji. Gorzeje w infernie niedoszły rywal ludzkości. Drży powietrze, napiera na mnie fala gorąca; cofam się, brwi osmalone. Chronię zapiski. Dym okresowo przesłania niebo i płomienie, na zmianę mroczy i rozjaśnia okolicę.

Ciemne są myśli kata, myśli moje. Przelewam je na papier. Piszę w blasku ognia. Po co? Dla chwały Republiki? Dla Ocalonych – tak. Dla zagrożonych. Im poniosę świadectwo. Przez doliny cienia, aleje cmentarne, rumowiska i pustynie popiołu. Mój prywatny, samotny exodus.

Oto wyruszam spod Ksylemu. Ja, ostatni Pielgrzym.

Piotr Jedliński

Demiurg

…za siedmioma żwirowymi górami, za siedmioma spalonymi lasami, w schronie pod ziemi zwałami, mieszkał sobie Chłopiec. Miał rodziców, sąsiadów i dom, i miał nie jedno imię, ale imion nadmiar. Sam o sobie natomiast mówił: Chłopiec. A różnie go nazywano. Codziennie inaczej, ale nigdy przyjaźnie dla ucha czy duszy. Czasem stawał się Łysakiem, Łyskiem albo Dyniogłowym (pytał po cichu rodziców, co to dynie; smutnieli i nic nie wyjaśniali). Kiedy indziej był Ropuchem, Szczapą, Mutkiem, Szkitą, Pokurczem. Tymi imionami zwracali się doń ludzie dorośli. Dzieci nie nadawały mu przezwisk, bo dzieci widywał rzadko, z daleka i w przelocie, i nie był pewien, czy w ogóle potrafią mówić. Rodzice za to zwali chłopca „On” albo „Ty”.

Wy znacie jego miano, to prawdziwe, chociaż obrane późno i w krainie dalekiej od domu. Nie bójcie się. Nie drżyjcie. Dziś możecie wypowiedzieć je na głos. Nie wzywacie imienia Demiurga nadaremno, bowiem trwa noc czci i pamięci.

Demiurg, tak. On, Chłopiec, co zagubił się i odnalazł.

…zbliżcie się. Wnieście trochę światła w życie ociemniałego i kulawego. Niechże was ujrzę przez wizjer… Promiennie wyglądacie, dzieci. A i najmłodszym świecą się oczy. Ciekawi, prawda? Co powiadacie? Że nie słyszałyście jeszcze tej historii? Znacie jej koniec, lecz nie początek? Starsi bracia i siostry nie podzielili się opowieścią? Niełądnie z ich strony. Wypada przecież poznać losy swego dobrodzieja. Genezę Czyśćca.

Niech będzie. Opowiem wam o wędrówce Demiurga. O jego banicji, tułaczce przez ziemie jałowe i rewiry bestii. O spotkaniu wiernego

wyznawcy. Z którym, co już wiecie, dokonał wielkiego odkrycia i zbudował Czyściec.

* * *

Zaczęło się od spaceru. Razu pewnego Tata zabrał Chłopca do Szybu. Tamtędy to rezydenci schronu, kiedy zaszła potrzeba, opuszczali podziemie. Tata jednak nie poinformował Chłopca o żadnej potrzebie. Milczał, bardzo hałaśliwie – poprzez sapania, dychania, gardłowe chroboty. Pięli się betonową rurą ku powierzchni, i długa to była wspinaczka. Jeszcze dłużej Chłopiec przywykał do bieli, straszliwej bieli, jaką wymalowano sufit.

– Tato! – zawołał, kiedy przeszło oślepienie, a przyszło olśnienie. – To nie sufit! To niebo!

Tata zaburczał, hełm zmiędlił odpowiedź.

– Tato! – ożywił się Chłopiec. – A ja nie mogę takiej maski dostać?

Tym razem Tata odpowiedział, chociaż po pauzie.

– Nie potrzebujesz.

Poszli brunatną równiną. Pustka zewnętrznego świata z początku przytłaczała Chłopca. Jakby ten brak ścian był murem właśnie. Wrażenie szybko minęło. Chłopiec szedł za przygarbionym, szurającym Tatą i cieszył oczy mnogością widoków. Okolica tylko na pozór zdawała się zdziczała. Tu i ówdzie łany badyli ustępowały poletkom pożółkłych roślin. Gdzieniegdzie stały sklecone z blach szopy. Tam, dalej, ktoś kręcił się po niewielkim rumowisku, pomachał Tacie. Chłopiec mu odmachał. Tamten zamarł i wrócił między zgliszcza.

– Dokąd idziemy? – zapytał Chłopiec. – Tato? Dokąd?

Tata wskazał na odległe, kanciaste cienie.

– Jak daleko…! – wykrzyknął Chłopiec.

– Cieszysz się? Nie wolałbyś bliżej?

– Nie! Jak najwięcej, jak najdalej!

– …dobrze. Tak zrobimy. Będziemy szli, dopóki nie zachcesz wracać.

– Nie chcę wracać! – rzekł Chłopiec z całą dziecięcą stanowczością. – Już nigdy!

Tata więcej się nie odzywał. Odwrócił od Chłopca zaparowany wizjer i przylgnął wzrokiem do graniastych budowli. Chłopiec uczynił to samo. Szare bloki rosły i rosły. Powinny sięgać rozjarzonego nieba, ale i ono uciekało w górę. Mnożyły się także detale, a Chłopiec podziwiał ich zatrzęsienie z kołaczącym sercem. Poznawał niektóre – z podsłuchanych rozmów i albumu Taty. Więc to są domy, myślał. A to okna. A to huśtawka, a obok samochody, i szkielety, i ławki, i latarnie, i następne domy, i…

– Tato? Tam, nad dachami… Ciemne takie, ogromne…

Zaniepokoił się, gdyż zdążył już odrzucić mrok schronu. Pokochał blask.

Tata rzucił tylko:

– Burza.

Dotarli na skraj osiedla. Okiennice i wybite szyby odwzajemniały spojrzenie Chłopca. Uśmiechami witały go nagie czerepy. Chłopiec czuł, że cały ten świeżo odkryty świat radował się jego przybyciem, radował się nim samym. Tatą jakby mniej. Bo i sam Tata, z pleców zdjąwszy karabin, rozglądał się z niepokojem i coś tam burczał brzydkimi słowy. Po namyśle powiódł ich ku najbliższemu blokowi.

– Popatrzymy – oznajmił – na miasto. Z góry. Chcesz?

– Chcę!

Zacienione, wytarte, zafajdane czymś smolistym schody wyprowadziły Tatę i Chłopca na dach, w zagajnik anten. Chłopiec podbiegł do krawędzi okalanej niziutkim murkiem. Widział teraz więcej, tak dużo, że w głowie powstał mu istny mętlik. Tyle było kształtów (co z tego, że większość kanciasta) i barw (miriady odcieni szarości). Chłopiec patrzył urzeczony. Tatę miał za sobą. Nie widział, co Tata robi. Tata sam nie w pełni zdecydował. Wystawił naprzód dłonie, zawisły o metr od pleców Chłopca; cofnął. Sięgnął znów i znów zamarł. Wreszcie obrócił karabin kolbą naprzód.

Chłopiec oglądał wieże, dachy skośne i płaskie, kratownicę ulic. Wciąż walczył z galimatiasem myśli i wrażeń. I kiedy wyczuł ruch i usłyszał świst, i ogarnęło go nagłe zamroczenie, pomyślał, że chyba tę walkę przegrał.

*

Tak dokonała się zdrada. Nie pierwsza – Chłopiec od urodzenia żył w ustawicznym fałszu, w pozorach. Nie pierwsza, ale decydująca. Ta zdrada uwolniła Chłopca. Wyzwoliła z okowów przywiązania. Jeszcze o tym nie wiedział – przeczuwał, może – ale od samotnego przebudzenia stąpał już po ścieżce przyszłego Demiurga. Waszego opiekuna i ojca.

Czarniawa mętność wypluła Chłopca w rozszalały burzą świat. Nie było roziskrzonego białością nieba. Biel w całości pożarły chmury. Ponad dachami, które Chłopiec admirował zupełnie niedawno, toczyły się sinawe obłoki. Zebrał się wiatr, okrutna wichura. A w lesie anten i kominów Chłopiec był sam.

Zawołał Tatę. Podmuch wiatru na powrót wdusił krzyk rozpaczy w usta.

Chłopiec wymacał sześcioma palcami pokaźnego guza na łysej czaszce. Zauważył brak Taty i zamkniętą klapę, która wiodła na klatkę schodową. Skądś przyszło do niego zrozumienie, chociaż wypierał się go, nawet w obliczu faktów. Panika, ból, niedowierzanie chwilowo utonęły w kanonadzie gromów. Gruchnęło i zasłona deszczu opadła na miasto szarości. Nieświadom był Chłopiec, że jest to nietypowy deszcz, ten, jaki i wy poznaliście, jakiego nie ścierpielibyście bez pomocy Demiurga. Niebo spluwało kwaśniakiem.

Krople nieszkodliwie spływały po bezwłosej głowie Chłopca, po bliznach i przebarwieniach. On sam pragnął skryć się przed hukiem nawałnicy. Drzwi pozostawały zamknięte (Tata je zaryglował, ale o tym Chłopiec myśleć nie chciał). Obiegł dach dookoła. Zaraz znalazła się inna droga na sam dół – stopnie z powyginanych prętów, wtopione w ścianę. W tej swoistej drabinie brakowało kilku szczebli. Ale w sercu Chłopca nie

było strachu, ni przed wysokością, ni przed ryzykiem. Obawiał się tylko zawieruchy, jej rumoru i rabanu.

Chłopiec schronił się w holu najbliższej rudery, ale nie cieszył spokojem. Rodziło się w nim oskarżenie. Słuszne ze wszech miar. Mimo to nieakceptowalne i bolesne. Podówczas wspomniał słowo, którego znaczenia nigdy w pełni nie pojął. „Zdrada, zdrada". Tata odszedł. Do schronu, do Mamy, a więc niedaleko. A zarazem najdalej, jak się dało. Chłopiec nie mógł wrócić, tyle wiedział. Czy mógł więc odejść? (Decyzje, decyzje). Zostać na pewno nie mógł. O tym zadecydowały stworzenia, które zamieszkiwały obskurne pokoje i piwnice.

Widujecie je czasem na pograniczu naszego azylu. Kiedyś złowrogie, teraz, im dłużej pobieracie od Demiurga nauki, coraz bardziej korzą się przed wami. Ale wtedy Demiurg nie rozporządzał jeszcze swą potęgą.

Goniły go. Wataha radlinożerców, jak zwą je stalkerzy w swej zwyczajowej ignorancji i arogancji w stosunku do wszelkich objawów mutacji. Kłapały szczęki, skowyczały gardła, stukały pazurzaste łapy. Po cztery, po sześć, po osiem – na stado składał się pełen miszmasz gatunków. Jednoczył je niewidzialny pan ruin – głód.

Chłopiec biegł osiedlowymi alejkami, na wskroś zrytego bruzdami skweru, przez miejskie arterie, zatknięte skrzepem ulicznych korków. Bestie nie odpuszczały. Przewodził im Wilknur, okaz stary, o wyliniałej sierści, szponiastych racicach, szablastych kłach. Warczał i dyszał, wysforował się przed zgraję brytanów, swą gwardię przyboczną. Byłby Chłopca dopadł, tam, na prostej drodze, w strugach rzęsistego i żrącego deszczu. Wtedy jednak Chłopca ocalił przypadek. Pierwszy i ostatni raz. Potem Chłopiec wybawiał sam siebie – i do dziś wybawia swych zwolenników.

Przypadek zrządził, że nie tylko rozpętała się ulewa, ale wsparła ją jeszcze nawałnica kul. Rozterkotała się okolica. Ulicę zasypał grad ołowianej śmierci. Chłopiec przypadł do popękanego asfaltu, wpełzł na oślep pod przerdzewiały zewłok samochodu. Grzmoty, skomlenia, szum, wystrzały zlały się wszystkie w ogłuszającą kakofonię. Bestie tańczyły

wokół wraku, także utraciwszy orientację. Część wtykała spienione pyski pod wrak w nadziei na żer. Chłopiec kopał je po nozdrzach. Reszta skakała, szukając napastnika. Strzelcy wybijali je jedna po drugiej. Wreszcie wizg ucichł. Wilknur zachrumwarczał, wzywając do odwrotu, i uciekł jak niepyszny.

Błoga cisza nie trwała długo. Chłopiec zobaczył pary ciężkich buciorów lawirujące między truchłami, dosłyszał też podniesione głosy. Nie strach (bo zawziął się, by lęki odrzucić), ale domysł i rozsądek nakazały pozostać w kryjówce. Wyjrzał ostrożnie. Było ich kilku, a wszyscy poobdzierani, w znoszonych maskach i strojach. Uzbrojeni i kudłaci. Tymi brodami i czuprynami przerażali Chłopca.

Chodzili po pobojowisku, sprzeczali się.

– Weź się kapotą podziel… Dymi mi już kamizelka…

– Zębiszcza moje…! Wara…!

– Temu ogon ciachnijcie, pójdzie na handel. Wszystko się wciśnie dzikusom z Alei…

– Ruchy, panowie, ruchy albo zlecą się tu bestie, biesiadę sobie z was urządzą!

– Ty, Cichy! Dawaj naboje! Żeś nie strzelał, przecież widziałem! Widzieliście też, co, chłopy? Nie strzelał! My się wypruwamy, ten na gotowca przyłazi!

– Cichy, prawda to?

– Cichy! Się cwaniaczek znalazł!

Uwzięli się na owego Cichego. Temu nie pomagały zaprzeczenia. Siła złego na jednego – zakrzyczeli, zawrzeszczeli, Chłopiec znów zatykał uszy, bo steki wyzwisk i piętrzące się bluzgi żgały w uszy. Sam zapragnął krzyknąć. Może i zrobił to, ale nie usłyszeli, bo naraz rozległ się strzał, podwójny, blisko, po nim zaś ryk. Ktoś upadł, wylądował na jezdni, w kwaśnej kałuży, z zamaskowaną twarzą na wysokości Chłopca.

– Leż, leż – powiedział któryś ze stojących. – Się nie sfajczysz od słoty, to znajdą cię radlinojady.

Ten, któremu przestrzelili oba kolana, patrzył na Chłopca. Wyjąkał też:

– …dlaczego?

– W imię zasad. Zasada pierwsza: jeden mniej do podziału to więcej dla reszty. Zasada druga: starsi żerują na młodszych. Ot, masz tu prawdę o pokończowym świecie. Przedkończowym zresztą także.

I odeszli, wśród śmieszków, bo to źli stalkerzy byli.

Pozostawiona samej sobie ofiara leżała chwilę bez ruchu. Potem ów Cichy spojrzał na kolana. Spróbował wstać. Jęknął, zaklął, padł na wznak, a jadowite krople spływały po zaparowanym wizjerze. Chłopiec poważył się na wyjście spod wraku. Lecz nie na podejście do obcego. Ten wlepił weń wzrok. Po minucie w końcu odezwał się:

– Nie pamiętam cię.

– Bośmy się nie spotkali – rzekł mu Chłopiec.

– E? Znaczy, ty nie zwid przedśmiertny? Nie z bólu i od wdychania tego ścierwa?

– Nie. Nie.

– …aha. Oczywiście. I maski nie masz, i biegasz goły po Śródmieściu.

– Uciekałem – powiedział Chłopiec speszony.

– No tak. Wszyscy uciekamy.

Cisza była niezręczna. I, na szczęście-nieszczęście, krótka. Rozległo się wycie. Skowyt myśliwych, co wpadli na trop zwierzyny i pewni są udanych łowów. Stalker zwany Cichym zatrząsł się i w obliczu zagrożenia i braku innych opcji wybrał zaufanie.

– Jak ci na imię, chłopcze? – zapytał, podźwignąwszy się na łokcie.

Dla Chłopca takie pytanie stanowiło nowość.

– Niech pan wybierze – odrzekł.

Wybór musiał zaczekać. Wracała sfora Wilknura, z wizgiem i skowytem, a jej nadejście zwiastowały burzowe werble. Blask błyskawic na okamgnienie rozrywał kurtynę deszczu, odsłaniał ulice. Z bram kamienic i jam wynurzały się zastępy szkarad. Zwyrodniałe koty-młoty o ryjach gruboskórnych. Posykujące skundlałe psiska, szkieletory z rozpiętą na kościach skórą. Myszołaki i pajęczaki. Nadciągały falą wzywane przez Wilknura, władcę bestii i bestię najzacieklejszą.

– Pomóż – wyszeptał Cichy.

Chłopiec nie zastanawiał się i pomógł.

* * *

– Wiem – wysapał Cichy, kiedy zabarykadowali się w bankowym holu. – Wiem, jak cię nazwać. Przyjacielu.

– Tak?

– Powiedziałem właśnie. Przyjacielu.

– Nie wiem, co to znaczy.

– …kiedyś, przed Ogniem: niby dużo, a niewiele. Teraz, tutaj: wszystko.

* * *

Spotkanie Chłopca, Przyjacielem ochrzczonego, i Cichego, eks-stalkera, zwieńczyło dzień pierwszy Demiurgowej odysei.

Przetrwali tamten dzień. I wiele kolejnych. Na swój pseudonim Cichy zasługiwał: pytał niewiele, z rzadka, acz celnie. Chłopiec odpowiadał bez zahamowań i rewanżował się pytaniami. Ze wzajemnych indagacji układali obraz swoich przeszłości. Odrzuconych i niemożliwych do odzyskania. Ale Cichy stawał się Cichszym, kiedy Chłopiec zahaczał o temat kudłatej, zdradzieckiej zgrai i wspólnych losów. Mówił, że nieważne to, było, minęło, że uwzięli się nań, ci zawistni i gniewni i zazdrośni ludzie. A Chłopiec opowiadał o rodzimym schronie i jego gospodarzach. O codziennym rytuale nadawania nowego imienia. Nieśmiało zapytał, czy inne dzieci nie są przypadkiem niemowami. Cichy odpowiadał wówczas, że nie. Nie mówiły do ciebie, przekonywał, bo są takie jak ich rodzice. A oni – jak stalkerowska kompania. Każdy zawistny, gniewny, zazdrosny. Nawet słów drugiemu człowiekowi skąpią. Źli, źli, źli.

Chłopiec powtarzał za nim: źli, źli, źli.

Utwierdzał się w tej wierze. Tak na początku sądził – że to wiara. Ale wędrując z Cichym po dzielnicach kanibali, unikając posterunków i patroli,

watażków i zakapiorów, ludzi – niemal zawsze ludzi – z czasem skonstatował, że nie o „wiarę” w zło idzie. Bo było ono zupełnie namacalne. Nie musiał wierzyć. Wiedział i widział.

Chłopiec dorastał w trakcie podróży i w takt międzyludzkich okropieństw. Uczył się. Cichy mówił o mętnie przezeń zapamiętanym świecie sprzed Ognia. Opisywał społeczność, w jakiej przyszło mu żyć. Niewielką, a podzieloną na frakcje i podfrakcje, wszystkie skonfliktowane.

– Czy byli u was – Chłopiec ośmielił się spytać – tacy jak ja? Mut…

– Byli – odrzekł Cichy, cichnąc. – Byli. Potem przestali.

Niedopowiedzenie zawisło między nimi.

– Znów będą – dodał wówczas Cichy. – Zadbamy o to.

* * *

…o poplecznikach, popielnikach, wspominać nie muszę. Przecież wy, dzieci, od nich przybywacie. Wychowani przez banitów w niedoli, przez Demiurga wywiedzeni z niewoli.

…że powiedzieć? Że ładnie prosicie? No dobrze, dobrze. Powiem. Bo już nie Chłopiec, a jeszcze nie Demiurg, On, odwiedził domenę waszych przodków, kiedyście za młodzi byli, aby zakonotować.

Zdarzyło się to u schyłku zimy.

Chłopiec i Cichy krótkie dni i całodobowy zmierzch przepędzili na rubieżach, przedmieściach, w sporządzonej przez siebie kryjówce, ufortyfikowanej i suto zaopatrzonej. Mieściła się w bibliotece. Chłopiec, nauczony sztuki czytania, na nudnicę, chorobę wśród tułaczy bardzo rozpowszechnioną, nie zapadł. Śledził losy dawnego świata, tego o niewyobrażalnym obliczu. Odmiennego, a jakże bliźniaczego. Na zdjęciach wyglądał ów świat całkiem inaczej. I na kolorowych, i na biało-czarnych. Do obrazków z tych drugich Chłopiec porównywał swój świat, a i to na wyrost. Za lekturę służyło mu coś, co Cichy nazywał podręcznikami. Z nich to Chłopiec wysnuł jeden wniosek – i wtedy, i teraz,

i we wszelkich „kiedyś”, gdzie obecny jest człowiek, działo się, dzieje i dziać będzie to samo.

Podczas długich, apatycznych wieczorów, kiedy zamierała okolica (wbrew pozorom, na co dzień ożywiona grą światłocieni, hulaniami wiatru, echami kroków, podziemnymi dudnieniami), Chłopiec trenował też Siłę. Metodą wielu prób i ogromu błędów. Siła, Siła – jeszcze jej nie dzierżycie, młodzi adepci, ale zza ostatniego zakrętu czujecie jej woń i widzicie poblask; wkrótce, nauczani i obdarowani skarbem Demiurga, przekroczycie próg, wkroczycie na ostatnią prostą.

…ale wrócę do popielników i końca pamiętnej zimy.

Wyklęci, wygonieni, wzgardzeni. Tacy byli popielnicy. Piekielnicy, jak powiadali ludzie, którzy wyklinaniem, wyganianiem i wzgardą się parali. Chłopiec i Cichy trafili do nich niezamierzenie. Wybrali się ku jednemu z miejsc Siły (Cichy, rzecz jasna, czekał na zewnątrz; Chłopiec wkraczał w źródło bez strachu). Tamtego dnia Chłopiec okiełznywał Światło. Tak. Te, które i wam nadano. Jemu pisane było dojść do Światła samotnie, bez przewodnika, przez kręte ścieżyny niewiedzy.

Kiedy wracali we dwóch do bezpiecznego schronienia, napadli ich ludzie… Tak, jacy, jak nie źli…? Urządzali obławę. Głodowali po długiej posusze. Zadowoliłaby ich i ludzina. Darowawszy sobie resztkę pozorów, zgiąwszy kark w hołdzie, wyznawali w owym czasie wzmiankowanego już przeze mnie władcę. Głód batożył ich i nimi kierował. Głód kazał ścigać, bić, deptać, jeść, jeść, jeść.

Szli z łupami. Znienawidzonych popielników wyciągali z jam, porywali rodziny całe, nie przepuszczali nikomu. Chłopiec i Cichy napotkali ludziołapów, gdy ci prowadzili jeniecki korowód. Niektórym pochwyconym uszczknięto to i owo; bezstopi kuśtykali, bezpalcy dygotali, bezręcy maszerowali krzywo.

Były tam też dzieci – wy. Lub ich przyszli rodzice. Wasi.

Nad karawaną krążyły już chuderlawe strzępy-sępy i głowębie o bulwiastych łebkach.

Łowcy wstrzymali pochód.

– Wy tam! – krzyczeli. – Stać!

– Biegnijmy – radził Cichy. – Umkniemy w nasze rejony. Tam gdzie ogniska Siły… Zasadzimy się i…

– Nie – zdecydował wtedy Chłopiec. – Pora, by Siła chodziła z nami, nie my do Siły.

Cichy, choć wyparłby się, gdyby go wprost zapytać, nie wierzył. Zwątpił i kto wie, czy nie zgrzeszyłby tchórzostwem i nie zbiegł, gdyby nie zacieśniający się krąg wroga. Toteż, chcąc nie chcąc, zdał się na swego Przyjaciela. A ten udowodnił, że słowami gospodaruje równie oszczędnie jak jego druh i nie rzuca ich na wiatr.

W swym miłosierdziu i roztropności dał jednak niby-ludzkim hyclom ostatnią szansę.

– Uwolnijcie tych biedaków! – zażądał.

Tamci się rozrechotali.

– Dopiero – odrzekł jeden – w porze kolacji!

– Gdzie ich prowadzicie?

– Pójdziesz z nami, chłopcze, to sam zobaczysz. Lepiej ci tam będzie niż tutaj, na rubieżach.

Cichy ostrzegł spojrzeniem. Ale Chłopiec już wyrósł i dobrze przyłożył się do nauki.

Źli – pomyślał, wezwawszy Siłę. Czerpał z powietrza, ze zszarzałej ziemi, z malowniczo porozbijanych wraków. Zimową szarugę rozcięło jarzeniowe światło. Jeńcy padali na kolana. Łowcy klęli, nieskładnie odbezpieczając broń. Celowali w blask. Chcieli zabić. Źli!

Na wezwanie Chłopca spod pobrużdżonego gruntu wykwitały płomienie. Gdzie taki szkarłatny jęzor polizał złego ludziołapa, tam topiła się skóra i skwierczał tłuszcz.

Na życzenie Chłopca wzmogła się jasność. Igły srebrzystych odblasków powbijały się w ciemne, złe oczyska złych ciemiężców.

Na sygnał Chłopca z nieba spadła żywa chmura, w której kłębiły się pazury i dzioby. Głowębie zapamiętale dziabały. Bach, bach, bach; tłukły kostne główki. Ludzie krzyczeli. Bzycząc, brzęcząc, ptaszyska-komarzyska

wpijały się igłami, upuszczały złą krew. Ludzie upadali. Szkielekruki, łopocząc błoniastymi skrzydłami, donośnym kra-krakaniem zachęcały towarzyszy do ucztowania. Strzępy-sępy także dały się skusić i zaraz zaroiło się od ich mumiowatych, wysuszonych sylwetek. Żarłoczni łowcy nie doczekali kolacji sami zjedzeni na ptasi obiad.

Chłopiec długo stał ponad motaniną kości i krwistych skrawków. Cichy uwalniał jeńców, ci zaś patrzyli to na doczesne i nieliczne pozostałości ludziołapów, to na swego wybawcę. Ale nie padali jeszcze na kolana.

Zwabiony harmidrem i wonią śmierci, z Alei wychynął Wilknur. Kroczyła za nim śliniąca się obstawa. Żebra na wierzchu i chudziutkie łapy świadczyły, że i na nich zima odcisnęła swe piętno.

Dopiero, gdy umysł zwierza dojrzał czyhającą w Chłopcu moc, gdy pojął ten samozwańczy król bestii, że wyrosła mu konkurencja, gdy odszedł wraz ze stadkiem, okazawszy respekt, także zmęczone, zaćmione oczy popielników dostrzegły to, co skryte było pod płaszczem mizeroty i prezencji podobnego im wyrzutka.

* * *

…zaprosili, oczywiście. Do siebie, tak, w gościnę skromną, ale jednak gościnę. W niegościnnym świecie nie odrzucało się podobnych propozycji. Dzielili się z Chłopcem i Cichym swym dobytkiem. Niczego nie żałowali. I ja też tam byłem, i bluszczową polewkę i deszczówkę piłem.

…a Chłopiec zobaczył, jak żyją, i częstokroć milczał. Cichszy niż Cichy. Spozierał ukradkiem na popielne potomstwo… Was, was. Wtedy jeszcze dużo młodszych, ot, ledwie od ziemi odrośniętych. Szkraby takie, rzekłbym: pociechy, ale niewiele było w was pocieszności. Bo rodzice wasi pamiętali, co powinno zostać Ogniem wymazane. Nie aprobowali swej inności i przewagi… nie aprobowali, co znaczy?

Odrzucenie. Wstyd. Wyrzut.

Bezzasadne.

Nie byli to ludzie źli, źli jak reszta; źli złem Taty, łowców, stalkerów, bandytów. Byli nijacy.

Od nich to jednak Chłopiec zasłyszał wieść o Wielkim Zachodnim Świetle. To już jednak inna historia i opowiadałem ją wiele razy…

* * *

…trafnie odgadujecie. Ulegnę i powtórzę.

Powędrował Chłopiec wraz z Cichym na zachód. Poza suburbia, przez wypalone ziemie, łańcuch piargowych gór i puszczę bezlistnych sczerniałych kikutów, co kiedyś były pniami. Kierowali się na łunę. Nie sposób jej przegapić. Rozszerzała się na cały widnokrąg. Przewyższała wieżowce miasta. Pulsowała w powolnym rytmie.

…spójrzcie w niebo, dzieci. Przymrużcie oczka. Pulsuje, tak. Tak.

Po żmudnej wędrówce dotarli Cichy i Chłopiec tutaj, na skraj pustyni. Cichy nie wkraczał w jej obręb. Czuł Siłę. Chłopiec także czuł, postąpił więc przeciwnie, i ruszył przed siebie, w objęcia luminacji, aby szukać jej bijącego źródła.

…wrócił po czterech dniach i czterech nocach, równie jasnych co dnie.

Cichy nie posiadał się z radości. A Chłopiec, który całkiem odrzucił już swe imię, rzekł:

– Okiełznałem ją.

– Kogo? – zapytał Cichy.

– Wcześniej – odparł młody Demiurg – napotykaliśmy jej kałuże. Tam, tam jest oaza Siły. I studnia. Napiłem się z niej.

– Teraz – oczy Cichego rozgorzały zimnymi ognikami – możemy… możesz nareszcie wrócić i dopełnić, co przyrze…

– Wrócić… Tak. Dla zemsty?… Nie. Teraz podzielę się skarbem z innymi. Sprowadzimy ich do wodopoju. Niechże dane im będzie to co mi.

Taki był szlachetny, pomimo niedogodności, jakimi karmił się od urodzenia.

* * *

Wrócił po tych, którzy rokowali nadzieję. Którzy zasługiwali na wzięcie Siły we własne wielopalcowe ręce. Wywiódł z upodlenia do ziemi Krataar, do Czyśćca. Starsi odstąpili dobrowolnie. Nie poszli; tragiczny ich los, smutna egzystencja, bycie jedną nogą w świecie starym, drugą zaś na przedprożu nowego. Tu zawiesić mogę opowieść, czyż nie? Przecież pamiętacie, choć minęły lata. Przynajmniej przebłyski; nie zacierają się obrazy z pionierskiego marszu, z pierwszego opuszczenia znanych stron. Szok, jaki niesie odkrycie, że za wzgórzem nie kończy się świat, ale czeka tam wzgórze kolejne, i wzgórz całe pasmo – tego odkrycia dokonuje się raz w życiu. A w przeciwieństwie do innych jednorazowych przełomów, narodzin i śmierci, ten szok pamięta się…

…nie zwracajcie uwagi, nie dopytujcie. Głupstwa to. Rozwodzę się znów nad sprawami w nadchodzącej rzeczywistości całkiem nieważnymi. Wybaczcie człowiekowi, który, jak popielnicy, został w tyle, i choćby latać umiał, dystansu nie pokona, owej przepaści nie przeskoczy…

* * *

Demiurg odnalazł źródło, poprowadził doń swój lud. Nie ujrzał jednakże dobra, do jakiego się przyczynił.

Pozostawiwszy kandydatów na skraju pustyni, aby oswoili się z dotykiem blasku, wkroczył między zastałe piaski. Cichy, odpowiednio wyekwipowany i zabezpieczony, poszedł wraz z nim. Do samej „studni”.

W istocie była to studnia. Tyle że równie szeroka, co głęboka.

Tyk, tyk, tykał na postrach i ostrzeżenie czujnik Siły. Cichy nie schodził po stoku.

Demiurg uśmiechnął się do niego, odsłaniając tych kilka zębów, jakie posiadał.

– Odchodzę – oznajmił. – Muszę.

– Przyjacielu! – zawołał Cichy, nad wyraz głośno, bo i wezbrały weń długo tłumione emocje. – Nie rób tego! Kto im drogę wskaże, kto…

– Nie potrzeba wskazówek. Pilnuj ich. Opowiedz o Sile. O mnie.

– A co ze złymi ludźmi? Co z…

– Nieważni są źli ludzie. Te dzieci staną się nowymi ludźmi. Dobrymi.

– Nieważni?! Jak to nieważni, skoro obieca…

– Żegnaj, przyjacielu.

– Nie, czekaj, zaczekaj…!

Demiurg zsuwał się już po zboczu, ku epicentrum.

A kiedy stanął na dnie studni, obserwowany przez Cichego, zamotanego w bezsilność – Demiurg oddał się Sile. Aby rozpalić jej stłumione czasem ognie. I zniknął, na zawsze.

* * *

Powiadali zawistnicy, wrogowie Demiurga, że zabił go Cichy. Miotali oskarżeniami. Nazbyt bali się podejść, rozpuszczali tylko plotki. Że Cichy, dla którego nie ma powrotu, knuje, pragnie odnaleźć nowego Demiurga wśród dzieci ze skazą… z darem. „Kłamstwa”, krzyczycie? Tak. Tak. Ale powtarzam je, byście byli gotowi. Na zarzuty i fałsz.

Przecież Cichy nie skrzywdziłby Chłopca. Nie poświęcił Przyjaciela.

Nie wierzcie. Nie zrobił… Nie zrobił tego.

Podziwiał Demiurga we wszystkich inkarnacjach. Pomagał, a on się odwdzięczył. Mieli cel.

Mylił się jednakże Demiurg. Nie jego to wina, że serce miał skłonne do przebaczenia. Albowiem ci „nieważni” źli ludzie, chociaż dalecy, posłyszeli wieść o tutejszym azylu. A azyl nie będzie azylem, póki nie wypleni się złożyczliwców.

Pamiętajcie, pamiętajcie Chłopca. To, jak wyprowadził młode pokolenie, pokolenie, którego nie w pełni ima się Ogień, ku owej oazie. Między szklane wydmy, w głąb pustyni, na której skraju zasiadamy. Tam przecież odejdziecie niedługo na nocleg. Ja zaszczytu tego nie dostąpię. Ja z Siłą nie igram. Mogę tylko radą i opieką służyć. I czekać, aż wybrani spośród was przejmą moc Demiurga i pójdą po rekompensatę. Ku złym,

złym ludziom. Nie zawiedźcie mnie, waszego druha. Cichego przyjaciela Przyjaciela.

* * *

…promiennie wyglądacie, pociechy. Czy już tego nie mówiłem…? Nieważne, powtórzę. Nie zaszkodzi.

I nawet smutek po opowieści nie przyćmiewa waszej łuny. Tej wewnętrznej, w sercu rozpalonym wdzięcznością i uwielbieniem. Ani zewnętrznej. Oświecani wiedzą i skarbem Demiurga, dzień za dniem, rozświetlona noc za nocą, w końcu uczynieni będziecie na jego podobieństwo. I na nowo zasiedlicie całą ziemię.

Otrzyjcie ropne łzy, dzieci. Uśmiechnijcie się tymi bezzębnymi ustami. Nie dotykajcie jątrzących się ran ni odchodzących płatów skóry. To nie choroba. To wypala się wasza słabość. To symbole rozwoju. Waszemu pokoleniu pisana jest przyszłość. Samo to przewagą ponad ludem, którego nie iluminuje skarb Demiurga. Tym barbarzyńcom, tym okrutnikom, napiętnowanym banicją Chłopca, zaniesiecie pewnego dnia prawdę i zażądacie spłaty długu.

Pisana wam świetlana przyszłość. Świetlista i promienna, tak jak wasze ciała.

Dlatego żyjecie tam, w centrum szklanej równiny, w Czyśćcu, w kraterze obiecanym, punkcie zerowym. Tam gdzie na grobie Demiurga tykanie geigerów odlicza chwile do waszego zbawienia. Któremu patronuje rad; będzie to zbawienie radosne i radykalne. Radonowe i radiacyjne.

Podżegajcie płomienie duszy. Syćcie się mocą Skarbu, który spadł niegdyś z nieba i w błysku i blasku zalał tę okolicę atomową Siłą.

Śpijcie snem sprawiedliwych, dzieci hipocentrum. Niech atom utula was i hartuje.

Dobranoc.

Paweł Naskręt

Czwarty tunel

Skończył sprawdzać wyliczenia raz jeszcze. Wyglądało na to, że wszystko się zgadza. Czyżby udało mu się po tych wszystkich latach wyliczyć wreszcie dokładne parametry? Czy los resztek ludzkości, zamkniętych w ciemnych, wilgotnych tunelach i stacjach moskiewskiego metra, miał szansę niebawem się odmienić? Czy niedawni panowie Ziemi, zdegradowani teraz o kilka pozycji w łańcuchu pokarmowym i zepchnięci do podziemnych korytarzy, dostaną drugą szansę? I czy będą umieli z niej skorzystać? Pomasował wytatuowane skronie. Przeciągnął się na krześle, potrącając dłonią kubek, w którym kilka godzin wcześniej zaparzył sobie mocny napar z grzybów. Owa „herbatka" pochodziła z WOGN-u i zastępowała mu kawę. Nafta w lampie powoli się kończyła i w namiocie zrobiło się na tyle ciemno, że ciężko było mu przeczytać wytłoczone na grzbietach książek tytuły i nazwiska autorów. Na szczęście znał je na pamięć: Albert Einstein, Brian Greene, Hugh Everet III, Michio Kaku. Wielu oddało życie, aby sprowadzić je z Wielkiej Biblioteki i aby on, Dżabrail Bazijew, mógł dokonać tego przełomowego odkrycia. Muszę jak najszybciej przekazać Radzie informację o moim sukcesie, pomyślał. Zebrał ze stolika wszystkie notatki, wychylił się z namiotu. Światła na Borowickiej były mocno przygaszone, stacja wydawała się opustoszała. Czyli jest już noc – stwierdził nieco zawiedziony. Ruszył jednak z determinacją przed siebie. Takie wiekopomne dzieło nie może czekać. Rozpierała go duma i satysfakcja. Szedł szybko, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Oczami wyobraźni widział już swój triumf. Nagle poczuł przeszywający ból w plecach, potem następny i następny. Zatoczył się, ciężko łapiąc oddech. Nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku oprócz

urywanego charczenia. Oparł się plecami o kolumnę, po której następnie osunął się na podłogę, zostawiając czerwone ślady na białym marmurze. Zamglonym wzrokiem dostrzegł zbliżającą się postać. Poczuł, jak ktoś wyrywa mu notatki. Potem już niczego nie czuł.

***

Stał już kwadrans w ciemnym tunelu pomiędzy Frunzeńską a Parkiem Kultury. Przyszedł dużo wcześniej, niż było to umówione, i teraz czekał, nasłuchując, czy ktoś się nie zbliża. Mimo dwudziestu lat spędzonych w tunelach nigdy tak do końca nie zaaklimatyzował się w tym klaustrofobicznym środowisku. W początkowym okresie, gdy ludzi w metrze było znacznie więcej, nie dla wszystkich starczało miejsca na stacjach. Część żyła w tunelach. Odcięci od światła i otwartej przestrzeni, wariowali, widzieli zjawy i słyszeli dziwne dźwięki. Dla niektórych mrok był torturą. To właśnie z tego czasu pochodzi większość legend o zjawiskach paranormalnych w metrze.

Odgonił od siebie nieprzyjemne myśli, bo wydało mu się, że słyszy czyjeś kroki. Zaczął nasłuchiwać. W kompletnej ciemności, gdy wzrok był bezużyteczny, wyostrzały się pozostałe zmysły, a słuch miał bardzo dobry. Może nie aż tak jak młodzi, urodzeni już w metrze, ale jak na pięćdziesięciolatka nie było źle.

Kroki rozbrzmiewały coraz głośniej. Uspokoiło go to, że nie był to stukot kilku par wojskowych butów. Czyli nie patrol – odetchnął z ulgą. Nagle rozbłysło światło latarki, po czym szybko zgasło, i tak trzy razy. Umówiony znak. Odpowiedział. Wciąż czuł się podenerwowany, jak przed pierwszą randką, i to w ciemno. Właściwie to była randka w ciemno, ponieważ nigdy się nie spotkali. Do tej pory komunikowali się za pomocą skrzynek kontaktowych. Zostawiał w umówionych miejscach krótkie notatki, odbierał zapłatę i nowe instrukcje. O czym pisał? Wydawało mu się, że o niczym szczególnym. Spisywał plotki krążące wśród mieszkańców, a także niższych stopniem funkcjonariuszy różnych służb (do

wyższych nie miał dostępu), z którymi stykał się w trakcie pracy, opisywał stan infrastruktury – nic szczególnego. Akurat w tej drugiej kwestii mógł się pochwalić dużą wiedzą, ponieważ był członkiem ekipy remontowej i przemierzał tunele Linii Czerwonej w celu naprawy zepsutych filtrów, pomp i transformatorów. Ze względu na wykonywaną pracę był jednym z nielicznych szczęśliwców, którzy mogli się swobodnie przemieszczać. W trakcie wojny z Hanzą władze wprowadziły wewnętrzne paszporty i bez przepustki nie można było opuścić stacji. Po zakończeniu działań wojennych przepustki nadal obowiązywały, ponoć jako środek zapobiegawczy przeciwko szpiegostwu oraz przemytowi. Rodziny partyjne były oczywiście uprzywilejowane w tym względzie. Wybrańcy mogli nawet poruszać się swobodnie po całym metrze zaopatrzeni w paszporty dyplomatyczne. Kilka razy podwozili wędrownego grajka, który posiadał taką przepustkę. W zamian umilał im czas grą na swoim flecie. Skąd miał taki papier, tego nie chciał zdradzić.

Nieznajomy zbliżył się, ale na twarzy miał maskę, więc nie sposób było dostrzec jego rysów. Ubrany był w jednoczęściowy kombinezon antyradiacyjny. Ale chyba nie obawiał się promieniowania, do mostu Sokolniczewskiego nie było aż tak daleko.

– Władimirze Jarosławiczu! – odezwał się nieznajomy. – Chciałbym najpierw podziękować wam w imieniu organizacji za dotychczasową owocną współpracę. Sprawa jest bardzo pilna, a czas nagli i dlatego zdecydowałem się spotkać z wami osobiście. Mamy informację, że jutro wasza ekipa monterska wyjeżdża na Partizanską. Waszym zadaniem jest dołączyć do niej i zdać dokładną relację z tego wyjazdu. Proszę odczekać pięć minut i możecie wracać.

Wołodia kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Postać w kombinezonie odwróciła się i szybkim krokiem oddaliła w stronę Linii Okrężnej.

Przecież Partizanska jest bazą trockistów? – pomyślał. Oni uznają nas, z Linii Czerwonej, za renegatów, którzy porzucili idee wszechstacyjnej rewolucji i przeszli na pozycje ugodowe. Chodziły jednak słuchy, że

towarzysz Moskwin wspierał ich potajemnie. Wołodia nie rozumiał meandrów polityki i teraz też dał sobie spokój.

Nie był idealistą. Nie wierzył w te dyrdymały o walce klas. Po prostu dwadzieścia lat temu, gdy wszystko się zaczęło, a może raczej skończyło, gdy zawyły syreny, kolejka, którą jechał, zatrzymała się na Krasnosielskiej, gdzie zwykle wysiadał, i już tam został. Nie mógł dotrzeć bliżej domu. Domu, w którym wychodząc do pracy, zostawił żonę i półroczną córeczkę. Miał tylko nadzieję, że czymś ostatnim, co w życiu zobaczyły, był błysk, i nie cierpiały wcale. Przez długi czas męczyły go koszmary. Śniła mu się żona idąca zagruzowaną ulicą w nadpalonej letniej sukience. Jej włosy były przerzedzone jak u stuletniej staruszki, z policzka zwisał płat skóry, z oczu ciekły czerwone łzy. W rękach trzymała kwilące zawiniątko. Próbując mu je podać, krzyczała: „Ratuj nasze dziecko!”. Po czym obie zamieniały się w popiół. Czasem, gdy o tym myślał, śmiał się z siebie w duchu: „Ty stary sentymentalny głupcze! Ocknij się wreszcie! Tamtego życia już nie ma!”.

Święty nie był. Lubił wypić, choć smaku tutejszego samogonu nie znosił. Od gry w kości też nie stronił. Aż w końcu się doigrał. W czasie jakiegoś wyjazdu przegrał w Kitaj-Gorodzie poważną sumę, a że nie miał aż tyle, to musiał pożyczyć. Procenty rosły, a dług trzeba było oddać. Wierzyciele znaleźliby go nawet w Polis. Wtedy podeszła do niego elegancko ubrana, bardzo ładna kobieta i zaproponowała prosty układ: kilkanaście sztuk 7,62 mm za krótką notatkę na temat stanu torowiska na Linii Czerwonej. Propozycja była kusząca, on w potrzebie, więc się zgodził i tak się zaczęło.

Gdy wrócił na Frunzeńską, ekipa remontowa już zbierała się do drogi powrotnej, pakowano skrzynie z narzędziami i częściami zamiennymi na ręczną drezynę. Spalinowe były zarezerwowane dla jednostek militarnych.

– Tutaj jesteś! – krzyknął do niego kierownik towarzysz Kowpak. – Gdzie cię znowu poniosło, do cholery?! Rusz dupę i pomóż chłopakom w załadunku! Zaraz wyjeżdżamy!

Na Ochotnyj Rjad dojechali w godzinę. Rozładowali w pośpiechu drezynę, podpisali karty pracy i fajrant. Wołodia nie uległ namowom

kolegów, aby uczcić koniec zmiany szklanką lub dwiema samogonu. Odczekał chwilę i podszedł do tęgiego, wiecznie spoconego Kowpaka.

– Obywatelu kierowniku – zaczął niemrawo.

– Czego wy znowu chcecie, towarzyszu? Nie widzicie, że jestem zajęty? – Nalana twarz kierownika pozostała bez wyrazu.

– Ja w sprawie jutrzejszego wyjazdu na Partizanską.

– A skąd wy, do cholery, o tym wiecie?! Przecież nie ma o tym w grafiku! – krzyknął ze zdziwieniem Kowpak.

– Wie pan… obywatelu – poprawił się szybko, w chwilach paniki zapominał o oficjalnej nomenklaturze – chłopaki gadają… wiadomo, jak jest. Mam tam znajomego, jeszcze z czasów Komsomołu. – Skłamał całkiem przekonująco.

– Tylko się dowiem, kto ma taką słowną sraczkę, to nogi z dupy powyrywam! – irytował się Kowpak, czerwieniejąc na twarzy. – Nie wiem, czy będzie czas na wasze pieprzone wycieczki sentymentalne. Mamy zamontować tam agregat, a to sporo zajmie.

Wołodia poczuł, że szansa na wykonanie zadania wymyka mu się z rąk.

– Ale wy to macie szczęście, Wołodia – dodał kierownik po chwili namysłu. – Misza zatruł się samogonem i raczej nie będzie w stanie jechać jutro, więc moglibyście go zastąpić. Ale sam nie wiem… – Ton głosu sugerował rozwiązanie i duża porcja kwasu szybko zmieniła właściciela.

Obudziwszy się rano, Wołodia wykonał swój codzienny rytuał: obmył twarz i kark wodą z miski, włożył przydziałowy kombinezon i waciak, do kieszeni schował czapkę uszatkę. Następnie udał się na śniadanie do stacyjnej stołówki.

– Cześć, Wołodia! – krzyknął do niego Jakow Sieriebrianski, dla kolegów po prostu Jasza. Wiecznie uśmiechnięty i rozczochrany, młodzik jeszcze, pracował z nimi dopiero od tygodnia, ale już został duszą towarzystwa, a z jego żartów śmiali się wszyscy. Nawet milczący zwykle Wołodia.

– Siadaj z nami – zaprosił go Jasza. – Słyszałem, że jedziesz z nami na Partizanską zamiast Miszy. Bardzo dobrze się składa, bo przyda się prawdziwy mężczyzna do taszczenia tego transformatora. Z tym chuchrem, co po szklance bimbru rzyga trzy dni, daleko byśmy nie zajechali!

Wołodii wydało się, że nawet ta breja, którą nazywano owsianką, zaczęła lepiej smakować w wesołym towarzystwie. Po skończonym posiłku, wstając od stołu, zauważył w miejscu, w którym siedział Jasza, wyryty na blacie napis: „Partia walczy z narodem o lepsze jutro!”. Uśmiechnął się.

– Będziemy jechać przez Łubiankę. Mamy tam odebrać dodatkowy ładunek – oznajmił Kowpak.

Humor Wołodii się pogorszył, bo drezyna była załadowana po brzegi, a on pierwszy miał stanąć przy wajsze razem z Iwanem, przeraźliwie chudym staruchem, wiecznie wspominającym dawne czasy. Miał długą siwą brodę i chełpił się, że nosi ją na cześć Marksa, ale jakoś nikt w to nie wierzył.

– A słyszeliście tę historię o Linii Arbacko-Pokrowskiej? – zaczął. Wszystkie spojrzenia powędrowały w jego kierunku. – Opowiedział mi o tym mój znajomy, Aleksander, jeszcze przed wojną. To było jakieś czterdzieści lat temu. Otóż Aleksander wracał metrem do domu. Pociąg wyjechał z tunelu i skierował się na wysoki nasyp przebiegający przez park Izmajłowski. Było jeszcze jasno, świeciło słońce. Nagle za oknami zrobiło się ciemno, a wagon zaczął cały dygotać. Pasażerowie wystraszyli się, ale za moment znów zobaczyli słońce. Jednak obraz za oknami zmienił się diametralnie. W parku nie było widać spacerowiczów, ale toczyła się jakaś bitwa. Ziemia była zryta artyleryjskimi pociskami. Grzmiały strzały, wzdłuż pociągu galopowali żołnierze w czapkach i szynelach z okresu rosyjskiej wojny domowej. Mieli przerażone twarze, a ich wierzchowce były spłoszone. Aleksander pomyślał, że już z nim koniec. Że pewnie pociąg się wykoleił, on zaś został ranny i umierając, ma halucynacje. Ale inni pasażerowie musieli widzieć to samo, bo wszyscy rzucili się do okien.

Naraz pociąg zatrzymał się, chociaż nie było widać żadnej stacji. Jakiś mężczyzna, który do tej pory drzemał, poderwał się z miejsca, wyskoczył z wagonu i po chwili zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. W głośnikach rozległo się: „Następna stacja: Pierwomajska”, i wtedy wielgachny koń, bez jeźdźca, próbował wejść do wagonu. Pociąg ruszył, ale drzwi nie mogły się zamknąć. Zwierzę było przerażone. Rżało i waliło kopytami, uwolniło się dopiero wtedy, gdy pociąg wjechał w tunel. Cała ta scena trwała dwie lub trzy minuty, ale pasażerom wydawała się wiecznością.

– Nie opowiadajcie mi tu, Kryłow, bajek o duchach! Nie jesteśmy przecież dziećmi! – burknął Kowpak.

– Jak dla mnie to nie były duchy, towarzyszu. Ten koń wydawał się całkiem żywy – zripostował stary.

Dojechali do Łubianki. Zatrzymali się przy peronie i ze smętnymi minami czekali na odbiór dodatkowego frachtu. Stacja odziedziczyła swoją funkcję po mieszczącej się nad nią dawnej siedzibie KGB, a wcześniej NKWD, i również została centralą służb bezpieczeństwa. Pełna była funkcjonariuszy wszystkich szczebli i zwykłych donosicieli.

Perspektywa dekonspiracji napawała Wołodię grozą. Śledztwo i przesłuchania nie należały do przyjemnych doświadczeń. Łamano człowieka nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Prawie każdy podpisywał podsunięty mu protokół z zeznaniami. Jeśli nie, to kończył z kulą w potylicy. Następnie proces, oczywiście publiczny. Lud pracujący musiał się dowiedzieć, kto jest winny spadającej produkcji grzybów, awarii filtrów powietrza i wody czy coraz częstszych i dłuższych przerw w dostawach prądu.

Sąd nigdy nie traktował dywersantów pobłażliwie. Karę śmierci zniesiono już jakiś czas temu, więc najwyższą i najczęściej stosowaną był dożywotni przydział do karnej kompanii stalkerów zapuszczających się w najniebezpieczniejsze rejony na powierzchni. Z powodu deficytów w wyposażeniu oczywiście bez należytej ochrony w postaci kombinezonów czy masek, o broni nie wspominając. Śmiertelność była oczywiście

stuprocentowa, Jeśli nie zabiła skazańca zmutowana fauna lub flora, to w szybkim czasie wykańczała choroba popromienna. Uciec na górze nie było jak, bo niby dokąd?

Podeszła do nich kobieta w mundurze czekisty i z dystynkcjami majora.

– Towarzyszu Kowpak! Major Zoja Kosmodiemiańska. Mam z wami jechać na Partizanską – oznajmiła.

Wszyscy czterej pasażerowie drezyny oniemieli. Takiego „dodatkowego ładunku” się nie spodziewali.

– Oczywiście, towarzyszko! – otrząsnął się kierownik. – Zapraszam na pokład. – Próbował pomóc jej wejść, ale ona, nie zważając na jego ofertę, sama zwinnie wskoczyła na pakę drezyny. – Wołkow! Kryłow! Do wioseł! – Jasza tylko lekko uśmiechnął się pod nosem.

Reszta podróży minęła w zupełnej ciszy. Nikt nie odezwał się słowem, bo każda niefortunna wypowiedź w obecności oficera bezpieki mogła mieć daleko idące konsekwencje. Wołodia przysiągłby, że jego kompani przestali nawet myśleć, aby nie zgrzeszyć choćby myślą przeciwko władzy ludowej.

Pani major była bardzo seksowną młodą kobietą. Spod zielonej furażerki wystawały kosmyki ciemnych włosów. Bluza od munduru ściśle opinała jędrny biust. Spódniczka uwydatniała krągłe pośladki. I nogi – ach, te nogi. Długie do samej szyi. Ciężko było uwierzyć, że taki anioł mógł być członkiem najokrutniejszej organizacji w całym metrze. Wołodii na jej widok wzrosło ciśnienie i tak się zapatrzył, że nawet nie zauważył, jak Jasza zmienił Iwana po drugiej stronie wajchy. W pewnym momencie ich spojrzenia się spotkały. Wołodia szybko spuścił wzrok. Czyżby zauważyła, że gapi się na nią jak uczniak? Jeśli w dodatku pochodziła z ulicy Podbielskiego, to mógł już żegnać się ze wszystkimi.

Ulica Podbielskiego była stacją zamieszkaną wyłącznie przez kobiety. Nazywały siebie feministkami, a do mężczyzn nie pałały sympatią. Uważały, zresztą całkiem słusznie, że to samcza agresja i dążenie do dominacji doprowadziły do katastrofy nuklearnej. Na jednej z obowiązkowych pogadanek politycznych politruk tłumaczył, że zgodnie z marksistowsko-leninowską dialektyką stwierdziły, że „system

patriarchalny to przeżytek, i postulowały powrót do pierwotnego stanu matriarchatu”. Wołodia mało z tego rozumiał. Mężczyźni z Linii Czerwonej twierdzili, że ponoć u siebie na stacji feministki chodziły z nagimi biustami. Ale nikt tego nie wiedział na pewno, trzeba by było mieć paszport, żeby się dowiedzieć.

Pozostałą część drogi pokonali bez przeszkód. Posługiwali się specjalnym glejtem, dzięki któremu nikt nie zatrzymywał ich dłużej na żadnej stacji zarówno Linii Czerwonej, jak i otwartej niedawno ponownie po kwarantannie spowodowanej epidemią dżumy Kurskiej czy terytorium Sojuszu Baumańskiego.

Przed samą stacją minęli nadzwyczaj dużo posterunków, Wołodia naliczył przynajmniej pięć. Pierwszy z nich obsadzony był przez trockistów, kolejne już przez żołnierzy z Linii Czerwonej. Zatrzymali się przed ostatnią czujką. Rozpoczęli rozładunek. Pani major oddaliła się w sobie tylko znanym kierunku. Im nie wolno było opuszczać stacji. Na miejscu zastali już niezliczoną liczbę generatorów ustawionych pod ścianami tak, że zasłaniały płaskorzeźby. Generator przywieziony przez grupę Wołodii był największy. Zespół spalinowo-elektryczny wielkości sporej szafy spoczywał na przyczepie. Z mozołem podłączyli agregat do wiązek elektrycznych. Ilość przewodów była zdumiewająca. Cała stacja wyglądała jak jeden wielki akumulator.

Przysiedli przy rozpalonym nieopodal wyjścia ognisku, pomiędzy dwoma posągami, i wyciągnęli drugie śniadanie. Monumenty przedstawiały kobietę i mężczyznę. Wołodia nie pamiętał już kogo dokładnie. Przyglądając się damskiej twarzy, wydawało mu się, że skądś ją zna.

– Ja rozumiem, elektryfikacja linii i tak dalej, ale to, co tu się wyprawia, to już chyba lekka przesada – zdumiał się Iwan.

– Lepiej zachowaj takie uwagi dla siebie, bo jak to mówią: „Ściany mają uszy” – przestrzegł Jasza.

– Ciekawe, dokąd te kable prowadzą… Na zewnątrz czy do jakichś bocznych tuneli? Tyłek boli mnie od tego siedzenia na betonie. Pójdę się

przejść. – Wołodia, znalazłszy wymówkę, wstał od ogniska i udał się wzdłuż leżących kabli.

– Wracaj! Przecież nam nie wolno! – próbował zatrzymać go Jasza, ale Wołodia zbył go niedbałym gestem.

Prowadzony przez kable jak po sznurku, nie mógł zgubić drogi. W niedużej odległości od peronów zobaczył wielką metalową obręcz. Słabe światło latarki nie obejmowało jej w całości. Okrąg zajmował całą przestrzeń między ścianami oraz od torowiska do sufitu. Do niego prowadziły wszystkie przewody. Nagle Wołodia poczuł uderzenie w głowę i stracił przytomność.

* * *

Kończono właśnie ostatnie przygotowania. Wszystko było już podłączone. Spalinowe agregaty terkotały, rozgrzewając się przed czekającym je wysiłkiem. W powietrzu unosił się słodkawy zapach spalin. Na stacji kłębił się tłum wojskowych i osób w białych kitlach.

– Jak tam Popow? Kiedy możemy zaczynać? – spytał generał Czesław Andrejewicz Korbut, szef wywiadu Linii Czerwonej.

– Towarzyszu generale! Wszystko gotowe! Według tych notatek za pięć minut wchodzimy w fazę przesilenia i będzie można włączyć wzmacniacz pola – odpowiedział niski naukowiec. Jego okulary przypominały denka od butelek, ledwo mieszczące się w oprawkach sklejonych w kilku miejscach taśmą izolacyjną.

– Majorze Morozow! Proszę dać znak do rozpoczęcia operacji – rozkazał generał.

– Wszyscy na pozycje! Za pięć minut zaczynamy! Drużyna SG-1 przygotować się do wymarszu! – doniosły głos majora, wzmocniony dodatkowo przez ściany tunelu, postawił wszystkich w stan gotowości.

Prądnice zwiększyły obroty. Diody umieszczone na wielkiej obręczy zaświeciły czerwono, po czym jedna za drugą, począwszy od godziny pierwszej i zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zmieniały kolor na

zielony. Przy każdym przeskoku pierścień wpadał w coraz silniejsze drgania.

Nagle rozległ się terkot serii z karabinu. Ktoś jęknął. Kolejna seria. Tunel spowił gęsty dym z granatu dymnego. Wojskowi nałożyli maski przeciwgazowe. Automaty znów zawarczały. Ktoś krzyknął: „Uwaga! Granat!”. Potężny huk ogłuszył wszystkich znajdujących się na stacji. Przepierzenie zadrżało niebezpiecznie i pojawiło się na nim kilka dodatkowych pęknięć. Stojący bliżej epicentrum wybuchu zostali zwaleni z nóg falą uderzeniową i rażeni odłamkami, kilku pechowców śmiertelnie. Największy agregat został całkowicie zniszczony. Bez niego nie można było uruchomić wzmacniacza. Całe przedsięwzięcie wydawało się nieodwracalnie udaremnione. Tajemniczy napastnicy zniknęli tak szybko i niezauważalnie, jak się pojawili.

* * *

Ktoś chlusnął Wołodii wodą w twarz. Ten otworzył oczy i zobaczył nad sobą niewyraźną twarz Jaszy.

– Wreszcie obudziła się nasza śpiąca królewna – zakpił młodzik.

Wołodia zaczął powoli odzyskiwać zmysły i, skonsternowany, zrozumiał, że ręce ma skute i unieruchomione za oparciem krzesła. W głowie pulsował mu paskudny ból. Przed Wołodią stał Jasza, ale nie był to ten sam Jasza, z którym przyjechał na Partizanską. Nie uśmiechał się, tylko krzywił się szyderczo, włosy miał ulizane gładko do tyłu, połatany waciak i znoszony kombinezon zastąpił skrojony na miarę mundur, podobny do tego, który nosiła major Kosmodiemiańska. Lewą dłoń miał owiniętą bandażem.

– Jasza, co się stało?

– Major Paweł Morozow, do usług! – krzyknął mu chłopak w twarz, bryzgając śliną. – Zabronionych spacerów po tunelach się dywersantowi zachciało! Sabotować chciał największy projekt badawczy wszech czasów! Matce swojej, Linii Czerwonej, tak odpłacasz za opiekę, wikt i opierunek?!

Mów, dla kogo pracujesz, sprzedawczyku jeden! – Sierpowym rąbnął więźnia w szczękę.

– Ty mnie znasz przecież, wiesz, że ja swój człowiek – tłumaczył się niemrawo Wołodia, w sumie był przecież winny zdrady. – Zapytaj Kowpaka albo Iwana.

– O to wy się, towarzyszu, nie martwcie. Już ktoś odpowiedni zadaje im stosowne pytania. Na pewno w zmowie byliście. A czy wy swój, to ja mam wątpliwości poważne natury empirycznej. Kto jak nie wy nie zgłosiliście odpowiednim służbom kontrrewolucyjnego oszczerstwa wyrytego na blacie w stołówce?

– A więc ty od początku szpicel i prowokator byłeś!? – Wołodia splunął krwią na podłogę. Zrozumiał już beznadziejność swojego położenia. Postanowił jednak, że nie będzie prosił o litość. Czuł się przy tym winny. Przez jego nieudolność dwie Bogu ducha winne osoby były teraz brutalnie przesłuchiwane.

– Takich jak wy zawsze trzeba mieć na oku. Zwłaszcza w takich historycznych momentach. Najchętniej to ja bym was w samych gaciach kilometr od metra na powierzchni zostawił. Niestety, są wobec was inne plany. – Morozow zmienił nagle ton na bardziej uprzejmy. – Wyniknęły drobne problemy i jeszcze możecie zadośćuczynić za szkody wyrządzone ojczyźnie. Wy i wasi wspólnicy.

Wołodia, słysząc to, podniósł głowę.

– Tak, jeszcze żyją – potwierdził major.

Wyprowadzony z sali przesłuchań na korytarz Wołodia natknął się na swoich towarzyszy. Obaj byli skuci, a ich twarze nosiły ślady rozmów z oficerami śledczymi. Milczeli i jedynie patrzyli wymownie. Eskorta popędziła ich na peron stacji. Łubianka… zorientował się Wołodia. A gdzieżby indziej? Podeszli do torowiska, tam stała sporych rozmiarów drezyna. Cała została szczelnie obudowana ołowianymi płytami. Do obserwacji lub prowadzenia ognia pozostawiono długie i wąskie szczeliny, zamykane od środka na zasuwy. Sądząc po rodzaju metalu użytego do

osłony, służyła zapewne do przemierzania wciąż napromieniowanych części metra. Gdzie oni nas chcą wywieźć? – zatrwożył się.

– Seria 81 Rusicz – stwierdził z zachwytem Iwan.

– Mordy w kubeł! Zapierdalać do środka! – pogonił ich jeden ze strażników.

Wgramolili się do środka, do części pasażerskiej, z której wymontowano wszystkie siedzenia, toteż musieli usiąść na podłodze.

Zatrzaśnięto za nimi drzwi i wagon ruszył.

– Koledzy! Wybaczcie! To wszystko moja wina. Nie zdawałem sobie sprawy, że swoją głupotą zaszkodzę też i wam – Wołodia próbował przepraszać kompanów.

– Ja już stary jestem. A tak przynajmniej śmierć będę miał ciekawą. Tylko szkoda, że nie będę miał już możliwości nikomu o tym opowiedzieć – zatroskał się Iwan.

– Spokojnie, bez paniki. Nie odstrzelili nas od razu, to znaczy, że jesteśmy im do czegoś jeszcze potrzebni. Gdybym wiedział, że Jasza to wtyka, to sam bym ci wtedy w ten durny łeb przywalił i nie siedzielibyśmy teraz skuci – dodał Kowpak.

Drzwi rozsunęły się i wszedł jeden z konwojentów w towarzystwie niskiego, łysawego okularnika. Rzucił im torbę pod nogi.

– Ubierać się! Zaraz dojedziemy! Kurdupel ma kluczyk do kajdanek – poinstruował ich i wyszedł. W torbie znajdowały się stare połatane kombinezony oraz równie wiekowe maski.

– Czyli trafiliśmy do karnej kompani stalkerów? Cóż, przynajmniej przed śmiercią znowu będę mógł popatrzeć na niebo – ucieszył się Iwan.

– Wcale nie wiozą nas na powierzchnię, tylko na Kantemirowską – odezwał się niepokaźny jegomość.

– A wy kim jesteście? – spytał ostrożnie Kowpak.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe wagonu. Ukazało się w nich kilka uzbrojonych w karabiny postaci, również ubranych w skafandry ochronne i maski, jednak o wiele lepszego sortu.

Więźniów zdziwiła sterylność stacji. W porównaniu z innymi niezamieszkanymi terminalami, które we władanie objęły mech, pleśń i brud, Kantemirowska wydawała się nowa, jakby przed chwilą została oddana do użytku. Nie dostrzegli na niej żadnych żywych organizmów, choć wcale nie znaczyło to, że ich tam nie było. Całe wrażenie psuła wielka wyrwa w płytkim sklepieniu, z której wystawała oparta o posadzkę biała, długa na kilkanaście metrów rakieta. Wołodia przełknął gorzkawą ślinę.

– Wypierdalać, gnoje, z autobusu! Nie przyjechaliście tu na wczasy! Kurdupel powie wam, co macie robić! Tylko zagęśćcie ruchy, bo się tu usmażymy! – ponaglał ich żołnierz.

Dość szybko udało im się wymontować rdzeń pocisku oznaczonego jako MaRV Mk. 500 Evader.

– Amerykański! – z zachwytem oznajmił mały facecik, uradowany niczym dziecko. Wyglądało na to, że znał się na rzeczy. Umieściwszy w specjalnym futerale, zanieśli jądro pocisku do pancernej kolejki.

– Dobra robota, szpiony! A teraz twarzami do ściany! Koniec zabawy!

Więźniowie bez szemrania wykonali polecenie. Czy za ten stan apatii odpowiadało promieniowanie, które przekraczało tu normę stokrotnie, czy po prostu dało o sobie znać zmęczenie? Szczęknęły zamki odbezpieczonych karabinów. Wołodii stanęły przed oczami żona i córka. Nie czuł smutku, żalu ani nawet strachu. Zamknął oczy.

Zaterkotał karabin. Dwa ciała upadły z głuchym łoskotem. Wołodia otworzył oczy. Ciągle jeszcze stał i nie czuł żadnego bólu. Jego towarzysze też żyli, a w oczach mieli zdumienie. Ocuciła ich następna sekwencja strzałów i wybuch granatu. Obejrzeli się za siebie. Przed nimi leżały dwa trupy członków niedoszłego plutonu egzekucyjnego. Reszta żołnierzy ostrzeliwała się za ruszającą powoli ołowianą troleją. Na stację wjechała kolejna drezyna z zamontowanym na niej cekaemem. Kowpak chwycił karabin jednego z zabitych.

– Osłaniam was! Wycofujcie się do tunelu!

Wszyscy bez szemrania wykonali jego rozkaz i wbiegli do tunelu. Oba pojazdy minęły się, wciąż prowadząc ostrzał. Nie ubiegli zbyt daleko,

w maskach ciężko się oddychało. Zatrzymali się, aby nabrać tchu. Przysiedli ze zmęczenia na torach. Nie mieli sił analizować tego, co właśnie zaszło. Po chwili podjechała do nich tajemnicza drezyna. Zeskoczył z niej człowiek cały ubrany na czarno i w masce takiego samego koloru.

– Wsiadajcie, musimy jechać! – Ku swemu zdziwieniu usłyszeli kobiecy głos.

Na drezynie leżał Kowpak. Był nieprzytomny, ręce trzymał na zakrwawionym brzuchu.

– Jeszcze żyje. – Słowa nieznajomej przyniosły im otuchę. – Wiktor! Gazu na Smoleńską!

Dojechali na stację, gdzie sanitariusze pośpiesznie odnieśli rannego do szpitala. Wołodia i Iwan doznali niemałego szoku, gdy okazało się, że ich wybawczyni to „majorka” Zoja Kosmodiemiańska. Widząc ich zdezorientowanie, powiedziała z uśmiechem:

– My się już znamy, ale wypadałoby się ponownie przedstawić. Mam na imię Anna. Zakonspirowana, pojechałam z wami na Partizanską w celu ustalenia, co knują czerwoni, i ewentualnej dywersji. Przepraszam panów i pana, Władimirze Wolkow. To przeze mnie zostaliście pojmani. Wysłaliśmy pana na akcję od początku skazaną na niepowodzenie, ponieważ potrzebowaliśmy pretekstu do skupienia na czymś uwagi straży, abym mogła przekraść się niezauważona i dokonać rozpoznania.

– To pani dokonała ataku i zniszczyła transformator? – spytał okularnik.

– Tak, to ja. A kim pan w ogóle jest?

– Nazywam się Aleksandr Popow. Jestem profesorem fizyki. Byłem członkiem zespołu pracującego nad tajnym programem wywiadu Linii Czerwonej pod kryptonimem „Czwarty Tunel”, którego realizacja została przez panią przerwana.

– Nie byłam w stanie ustalić, co się tam dokładnie dzieje, więc postanowiłam to przerwać. Nic, za czym stoi Korbut, nie może być bezpieczne dla metra. Domyślam się, że ma to jakiś związek z zabójstwem pewnego bramina z Polis i kradzieży wyników jego prac.

– Tak myślałem, że zdobycie tych notatek musiało być okupione krwią – spochmurniał uczony.

– Czy jest pan w posiadaniu jakichś kluczowych informacji, które mogą pomóc nam w zrozumieniu tego, co komuchy robią na Partizanskiej?

– Ten zabity bramin był wielkim umysłem. Opracował model stabilizacji tunelu Morrisa-Thorne'a oraz czas i lokalizację najbliższego przesilenia. Korbut chce otworzyć taki tunel czasoprzestrzenny do równoległej rzeczywistości i uzyskać stamtąd broń, za pomocą której opanuje całe metro.

– Równoległa rzeczywistość? Tunele czasocoś tam? Widocznie promieniowanie zaszkodziło panu bardziej, niż można było się spodziewać. Przywykłem do bajek opowiadanych przez Iwana, ale pan bije go tym na głowę – skrzywił się Wołodia.

– Obawiam się, że profesor ma rację. W Polis chodziła plotka, że jeden z kapłanów pracuje nad możliwością przeniesienia mieszkańców metra do innego świata, którego nie dotknęła zagłada atomowa – przygasiła go Anna. – Proszę jaśniej, profesorze. O co w tym wszystkim chodzi?

– Żyjemy w jednym z wielu wszechświatów równoległych. W każdej chwili nasz wszechświat rozszczepia się na wszechświaty równoległe, gdzie zachodzą te zdarzenia, do których nie doszło w naszym. Są wszechświaty, w których przegraliśmy bitwę pod Kurskiem, ale są i takie, w których nadal możemy się cieszyć życiem na powierzchni.

– Czyli wczoraj, idąc, wdepnąłem w szczurze gówno, zatem powstał od razu wszechświat, w którym także idę, ale gówno omijam szerokim łukiem? – Wołodia wciąż pełen sceptycyzmu próbował zrozumieć wywody fizyka.

– Można i tak to ująć – naukowiec nie dał się zbić z pantałyku. – Co najmniej jeden z takich innych światów znajduje się o włos od naszego. Niestety, nie możemy go widzieć, ponieważ istnieje on w innej, czterowymiarowej przestrzeni. Zamordowany bramin pracował nad czymś, co nazywa się teorią superstrun lub teorią M. Jej celem jest odnalezienie

równania, które pozwala, przy wykorzystaniu pewnego rodzaju manipulacji grawitacyjnej, otworzyć drzwi do innych wymiarów.

– W takim razie dlaczego wybrali Partizanską? Dlaczego nie mogli stworzyć takiego tunelu gdzieś na swojej linii? I po co im ten metalowy pierścień? – dociekała Anna.

– Są miejsca, które pulsują dziwną energią. Chory organizm szybciej wraca tam do zdrowia, a umysł łatwiej nawiązuje kontakt z wyższym wymiarem rzeczywistości. To „miejsca mocy", znane od tysiącleci punkty energetyczne Ziemi, połączone ze sobą liniami energetycznymi. Taki właśnie strumień energetyczny znajduje się pomiędzy Partizanską a Izmajłowską. Znacie legendę o pociągu, który nagle znalazł się w środku bitwy? – Wszyscy zgodnie potwierdzili skinieniem głowy. Iwan aż się zaczerwienił z radości. – Wtedy prawdopodobnie doszło do przeniknięcia się naszego świata z innym. Zgodnie z tym, co zapamiętałem, sytuacja taka zdarza się raz na czterdzieści cztery lata, co przypada właśnie teraz.

– A pierścień?

– Pierścień jest takim wzmacniaczem, który zwiększa siłę tych strumieni energetycznych i pozwala otworzyć drzwi, czyli stabilny tunel pomiędzy naszym światem a jakimś światem równoległym. Wbrew pozorom, to prosta konstrukcja zbudowana ze złomu. Do działania potrzebuje jednak bardzo dużo energii. Panna Anna zniszczyła największy generator prądu, jaki był na stanie Linii Czerwonej. Stąd zagnali nas do wymontowania rdzenia atomowego, który posłuży jako zastępcze źródło zasilania.

– Czyli istnieje prawdopodobieństwo, że po drugiej stronie okaże się, iż tam też wybuchła wojna i ludzie również mieszkają w metrze, a jedyną różnicą jest to, że Wołodia nie wdepnął w szczurze łajno? – spytał Iwan.

– Może i tak być, ale równoległych rzeczywistości jest nieskończenie wiele, więc istnieje duża szansa, że trafimy do świata, gdzie ludzie żyją w pokoju i w harmonii z naturą. Taka wizja zapewne przyświecała temu biedakowi, który to odkrył.

– A teraz Korbut chce to wykorzystać do zawładnięcia metrem! To bydlę! – wściekła się Anna.

– Trzeba go powstrzymać! Pani Anno, musi pani zebrać swoich ludzi i trzeba natychmiast ruszyć zniszczyć to ustrojstwo! – rzucił twardo Wołodia.

– Niestety, to niemożliwe. Mój ojciec wyruszył z większością żołnierzy na poszukiwanie naszego zaginionego człowieka. Została nas tylko garstka. Nie damy rady sforsować posterunków i dostać się do obręczy.

Wizja czerwonego metra napawała Wołodię równocześnie strachem i odrazą.

– Czy ktoś z was pracował przed zagładą na kolei lub w samym metrze? – zapytał milczący do tej pory Wiktor.

– Tak, ja! – odpowiedział z wigorem Iwan.

– Pójdziesz ze mną.

– Co z Kowpakiem? – spytał Wołodia wychodzącą ze szpitala Annę.

– Obrażenia były zbyt duże. Nawet nasi lekarze nie mogli nic zrobić – oznajmiła ze smutkiem.

– Ratując nas, zginął jak prawdziwy bohater – westchnął Popow.

– Na żałobę jeszcze przyjdzie czas. Chodźcie za mną, Wiktor powinien już dotrzeć do metra.

Gdy stanęli na skraju peronu, spostrzegli w tunelu migoczące słabe światło. Nie mogli jeszcze dostrzec jego źródła, wciąż pogrążonego w mroku. Migotanie nie pochodziło bynajmniej z latarki niesionej w ręce człowieka. Zdawało się ono położone nienaturalnie wysoko. Ich uszu dobiegł przeciągły gwizd. Z ciemności wynurzył się prawdziwy stalowy potwór. Obudowana pancerzem reaktywnym, ściągniętym chyba z kilku czołgów, lokomotywa ŁTZ M62 ciągnęła za sobą jeden wagon platformę, na której zamontowano armatę S-60. W otwartym okienku maszynisty zobaczyli uśmiechniętą twarz Iwana. Na głowę włożył sobie zawadiacko starą czapkę, a z ust wystawał pokaźnych rozmiarów skręt. Stary monter wydawał się przynajmniej o dwadzieścia lat młodszy.

– Jak się podoba mój Gagarin?! – zawołał chełpliwie z góry.

– Wchodźcie do środka! Musimy się śpieszyć! Czerwoni na pewno już montują reaktor! – wyrwał ich z osłupienia stojący na platformie obok działa Wiktor.

Pędzili z zawrotną, jak na realia metra, prędkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Żadne mijane po drodze posterunki nie miały możliwości ani nawet ochoty zatrzymywać sunącej machiny. Mieszkańcy stacji, przez które przejeżdżali, opowiadali jeszcze przez wiele lat opowieści o tym, co widzieli. Jedni mówili, że byli świadkami legendarnego kursu widmo. Inni, że to obywatele Szmaragdowego Grodu uciekli z Moskwy w stronę Uralu.

Na Kurskiej, dzięki umiejętnościom Iwana, dokonali manewru i odwrócili skład armatą do frontu, po czym pognali dalej. Zatrzymali się za Siemionowską, jeszcze poza zasięgiem wzroku pierwszych postów. Tunel w kierunku celu był prosty jak strzała. Wiktor załadował armatę. Huk pierwszego wystrzału sprawiał wrażenie, jakby znaleźli się w środku bitwy z opowieści Iwana. Wiktor strzelał dalej, niczym wprawny artylerzysta. Wołodia z Anną prawie nie nadążali z podawaniem kolejnych pocisków. Gdy skończyła się amunicja, w powietrzu unosił się gęsty obłok pyłu. W uszach wciąż dzwoniły im odgłosy detonacji. Jakimś cudem Partizanska nie zawaliła się mimo nawały ogniowej.

Znów usłyszeli znajomy świst lokomotywy. Sądzili, że to Iwan gwiżdże triumfalnie na znak zwycięstwa. Wątpliwości dopadły ich, gdy zauważyli w okienku jego bladą i skupioną twarz. Wyciągnął, znaleziony pewnie w kabinie maszynisty, biały lizak i pomachał nim na zewnątrz. Jego spojrzenie wydawało się nieobecne. Patrzył na nich, ale jakby ich nie widział. Jego źrenice postrzegały świat im niedostępny, który istniał gdzieś poza ich percepcją.

– UWAGA! ODJAZD! – krzyknął nagle.

Pociąg ruszył. Nabierając rozpędu, wjechał w czerń tunelu.

– Tam jest wyjazd na powierzchnię. Nic tu po nas. Wracamy. Może Młynarz wrócił? – odrzekł Wiktor.

Marek Pietrusewicz

Gieroj

– Z kim idziecie? – Stiopa grzebał zardzewiałym prętem w ognisku. W nowym ubraniu, chyba po jakimś wojskowym, wydawał się jeszcze chudszy niż zwykle. Mogliby go postawić przy wejściu na stację jako znak dla złodziei. „Jedzenia u nas nie ma”.

Nie odpowiedziałem. Niech Miszka sobie pogada. Widać było, że tego potrzebował. Na miejscu nie mógł usiedzieć, obracał kubek w dłoniach, zerkał to tu, to tam tymi świdrującymi oczkami.

– Ze Smutnym – odpowiedział.

Stiopa na to, że ze Smutnym to żadne ryzyko, żadna przygoda; że za rękę jak matka poprowadzi, robotę sam wykona, a nam, jak będzie w humorze, pozwoli postać i popatrzeć z daleka.

Mnie to jakoś szczególnie nie martwiło. Na początek taki opiekun wydawał się w sam raz. Bo jest u nas na stacji zasada, że stalkerzy, którzy się przyuczają, pierwsze dziesięć wyjść muszą odbyć z opiekunem. Opiekunowie zdarzają się różni – jedni chcą nauczyć, inni, przeważnie młodsi, popisują się, dowartościowują przed jeszcze młodszymi. A niektórzy po prostu mają sprawę do załatwienia i biorą niedoświadczonych na mięso armatnie, żeby tylko robota była wykonana, nieważne, jakim kosztem. Dobrze, że taki się nie trafił.

Co tu dużo gadać – bałem się.

Miszka też jakby się zaniepokoił, ale raczej tym, co powiedział Stiopa. Na bycie biernym obserwatorem za nic by się nie zgodził.

– Skąd wiesz? – spytał. Dłonie obracały kubek coraz szybciej, zanosiło się na to, że cenny samogon zaraz się wyleje. – Wychodziłeś z nim?

– A bo to raz?

– Gadasz, jakbyś wychodził od gówniarza. Pewnie byłeś raz albo dwa i…

– Gówniarzami wciąż jesteśmy – przerwał Stiopa. – Wychodziłem pięć razy, z czego trzy ze Smutnym. A ty wiercisz się i drzesz, jakbyś szedł pierwszy raz.

– Idę drugi raz, ale pierwszy w osiedle. Mówię ci, chłopie, w zachodnią część! Niedaleko domków!

– I co z tego!

– Domków! – Miszka rzeczywiście się darł.

– Co jest z tymi domkami? – spytałem, sadowiąc się bliżej ogniska.

– Bo widzisz, Maksym… – Stiopa odłożył pręt. Metal brzdęknął o betonową posadzkę. – Miszka lubi historie o duchach, kosmitach, niekończących się butelkach spirytusu i domach widmach.

– No co? – zaprotestował Miszka. – Smutny sam mówił o tym domu! To nie żaden pic!

– A co mówił? – spytał Stiopa.

– No, żeby trzymać się z daleka, ale…

– No właśnie.

– O co chodzi z tymi domkami? – odezwałem się znowu.

– Słuchaj – zaczął Miszka. Oczy rozbłysły mu jak wskaźniki w komorze dezaktywacyjnej. – Od zachodu z osiedlem graniczy dzielnica domków jednorodzinnych. Stoi tam taki duży budynek. Każdy boi się tam podejść. Nikt już nie pamięta, co to było. Szkoła, mówią, poczta, przychodnia. Ale są i inne przypuszczenia.

Nastąpiła teatralna pauza.

– Podobno ktoś widział tam ludzi. Bez masek, kombinezonów, normalnie sobie mieszkają. Małżeństwo z dziećmi. Niektórzy mówią, że jak się tam wejdzie, to zostaje się naświetlonym czymś, co neutralizuje promieniowanie jonizujące, i potem można już chodzić po powierzchni bez żadnej ochrony. Niby że był tam jakiś ośrodek naukowy, trzymali jakieś materiały, które wskutek radiacji zaczęły coś dziwnego wydzielać. Ale są i tacy, co twierdzą, że robiono tam takie eksperymenty… Zaraz po wojnie,

tej, co była wcześniej. Brali psa, odcinali łeb, przyszywali do takiego mechanizmu podtrzymującego czynności życiowe mózgu. Pancerz, sztuczne łapy, którymi ten pies mógł poruszać jak własnymi. Taki kostium super-zwierzaka, niezniszczalność i nienaturalna siła przy minimalnych potrzebach biologicznych. Podobno wszystko się udało, wszystko tam jest w dobrym stanie i nawet… – Miszka ściszył głos. – Jest tam taki kostium obliczony na człowieka. I kompletne medyczne instrukcje, co i jak poobcinać, poprzyszywać…

Stiopa tylko machnął ręką.

– I niby dlaczego nikt tam nie chodzi?

– Mówią, że w pobliżu jest gniazdo czegoś wyjątkowo wrednego. Podobno widziano tam jakieś czarne kudłate paskudztwo na czterech łapach. Strasznie śmierdzi mu z pyska, podejść się nie da.

– Taa… – Stiopa pogładził blond czuprynę. – Pewnie ktoś wyszedł z Karbonienką, a ten tak się napruł, że zdjął maskę i łaził na czworaka. I czegóż ci jeszcze naopowiadali? Pewnie, że mieszka tam legendarny Psujcew, któremu zdarza się niechcący założyć okulary na lewą stronę i któremu stanął zegar słoneczny. Albo nieszczęśliwa zmutowana żyrafa, która jest genetycznie uzależniona od alkoholu, a szyję ma tak długą, że zanim cokolwiek doleci do żołądka, cały procent zdąży się ulotnić. I jeszcze Konstantinoiwanoignatoszewczenko, zwany Pijącym z Niemymi. Obraża się na każdego, kto przekręci jego nazwisko. A jak się dobrze postarasz, to spotkasz tam nawet trzeźwego Karbonienkę.

Miszka pozastanawiał się chwilę, podrapał po głowie, w końcu spytał:

– Co to jest zegar słoneczny?

Stiopa z politowaniem pokręcił głową.

– Lepiej uważajcie na siebie – powiedział, wstając, po czym ruszył w stronę swojego namiotu.

Z zazdrością obserwowałem, jak łatwo przychodziło mu czasem nabijanie się z Miszki, który, o czym wszyscy wiedzieli, miał znajomości i czekała go kariera w sztabie. Sam zazwyczaj starałem się uważać przy nim na słowa. Ale Stiopa to Stiopa.

Kurażem dorównywał mu tylko jego kuzyn Giena, dzielnicowy nadzorca zaopatrzenia w żywność. Z uwagi na tę funkcję i na to, że był chudy zupełnie jak Stiopa, przezwano go Gieną Żarłocznym. Spotkaliśmy się tamtego dnia zaledwie parę godzin wcześniej.

– Gdzie tak lecisz, Maksym? – spytał. – Postałbyś chwilę, pogadał.

– Mam odprawę.

– Odprawę, powiadasz… Ciągnie cię na górę, do przygód? Ja ci powiem, dokąd tak naprawdę ci śpieszno: na ścianę pamięci.

Chciałem się odciąć, ale jak zwykle nie miałem pomysłu i wzruszyłem tylko ramionami.

– Wróciłbyś na zakład – dodał. – Robota spokojna, bezpieczna, do końca życia byłeś ustawiony. Że też zachciało ci się tych wszystkich…

– Zakład jest w dobrych rękach.

– Iwan to porządny chłopak, uczynny, ale powolny i gapa. Ciągle przyłazi, pyta o to, o tamto… A hodowla to teraz sztuka. Podręczników nie ma, fachowców ze świecą szukać. Zmieniłbym go, ale rąk do pracy brakuje. Miną wieki, zanim kogoś będą mi mogli przydzielić. A ty robiłeś w tym od gówniarza, nikt cię nie zastąpi.

– Aaa, tam… – Machnąłem ręką. – Nie gniewaj się, ale muszę być na czas.

– W razie czego, pamiętaj, drzwi zawsze otwarte.

Giena Żarłoczny uścisnął mi wylewnie dłoń i ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

A teraz siedziałem, słuchając Miszki trajkoczącego o raczej mało prawdopodobnych wyczynach wybitnych stalkerów. Skąd te bajki brał – nie wiem, ale posłuchać było ciekawie. Najpierw mówił o szczególnie uzdolnionej drużynie kosmonautów. Dawniej nazywano tak ludzi, którzy opuszczali matkę Ziemię i latali ku gwiazdom. Wybierano do tego najbystrzejszych, najsprawniejszych fizycznie, najodporniejszych – krótko mówiąc, takich, którzy sprostaliby wymaganiom, jakie stawia się kandydatom na mężów dla córek komendanta stacji. Legenda głosi, że paru takich cwaniaków żyje gdzieś tam na orbicie do dziś, gwiżdżąc na

wszystko, co się dzieje na dole. Nasi kosmonauci to takie właśnie wybitne jednostki. Tyle że nie lotnicy, ale stalkerzy. Dostają najtrudniejsze zadania, chodzą w rejony, z których rzadko się wraca, a wszyscy gapią się w nich jak cielę na malowane wrota. W nich albo – zdecydowanie częściej – w ich tabliczki na ścianie pamięci.

Później wysłuchałem historii o Andrieju Wyginie – małym chłopcu, u którego bardzo wcześnie stwierdzono szczególne predyspozycje do stalkerskiego rzemiosła i wyszkolono go tak, że w wieku dwunastu lat uratował swoją stację przed inwazją wyjątkowo wrednych robali. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że gdzieś już o tym słyszałem, tyle że chłopak nie nazywał się Andriej Wygin, lecz jakoś podobnie, i strasznie kojarzył mi się z biblioteką wujka Olega, z której często korzystałem jako szczeniak.

Wreszcie Miszka dał się przekonać, w noc przed wyjściem powinniśmy się wyspać, i wróciłem do siebie.

Wiedziałem, że będzie mi się śnił ojciec. Było tak przed dwoma pierwszymi zadaniami, musiało być i teraz. Siedział i obierał pieczarki w tym swoim zakładzie (szumna nazwa dla baraku bez dachu ustawionego na obrzeżu stacji, ledwie mieszczącego stolik z ebonitowym blatem, plastikowe krzesło i kilkanaście półek z doniczkami). Zajmował się siewem, zbiorami, pilnował, by gleba była odpowiedniej jakości. Ale obierania nie cierpiał najbardziej.

Wszyscy moi towarzysze zabaw byli starsi i komendantura od czasu do czasu przydzielała im już obowiązki. Gdy zostawałem sam, czytałem książki, z których, póki co, niewiele rozumiałem, a kiedy oczy mi się zmęczyły, co podobno spowodowane było atawistycznym przystosowaniem do światła słonecznego, biegłem przyglądać się pracy ojca. Zawsze psioczył na swoje zajęcia. Dziwiłem się temu, opieka nad hodowlą mnie, dzieciakowi, wydawała się fascynującą przygodą.

– Możesz tego nie zrozumieć, Maksym – powiedział kiedyś mój staruszek – ale dla mnie to koszmar. Odwiedzałem egzotyczne kraje… Oglądałem palmy, widziałem kakadu i tukany… – Na górze pracował jako

animator dla grup w biurze turystycznym. – Dla ciebie zwykłe sosny byłyby ciekawostką, a mnie obmierzł nasz kraj, nasz klimat, to wszystko dookoła… Smutne, szare, wszędzie pełno brudnego śniegu. Zawsze od tego uciekałem. A teraz… Prawdziwe więzienie.

Wtedy musiał wytłumaczyć mi, co to jest więzienie. Z jego opisu wynikało, że było to miejsce dokładnie takie jak nasza część stacji, tyle że znajdowało się na powierzchni i jedzenie było tam dużo lepsze.

– Pamiętaj, synku – powtarzał. – Bądź odważny, ćwicz ręce i dbaj o wzrok. Może zostaniesz stalkerem i zwiedzisz trochę świata. Zobaczysz rzeczy, o których innym się nie śniło. A ludzie będą cię szanować. Nigdy, pamiętaj, nigdy nie wolno ci pokazać, że jesteś tchórzem. Inaczej przydzielą cię do takiej nory i do końca życia będziesz obierał te przeklęte pieczarki.

– A ty, tato? – spytałem pewnego razu. – Jak pokazałeś, że jesteś tchórzem?

W oczach ojca pojawiły się łzy. Pomilczał chwilę, zanim je otarł.

– Nie jestem tchórzem. Jestem… za stary. Ale przed tobą wszystko. – Mocno ścisnął moje ramiona. – Twoje życie nigdy nie będzie tak wyglądało.

Zmarł, gdy miałem trzynaście lat, i zawsze byłem mu wdzięczny, że zdążył mi to wszystko powiedzieć.

No i zdecydowałem, co będę robił w życiu.

W swoim postanowieniu umocniłem się zwłaszcza po tym, co wydarzyło się z Kolką i Katią. Cud-dziewucha była z tej Katii. Bez pryszczy, nogi ogolone (w spódniczce chodziła), włosy zdrowe, długie – do ramion prawie, zęby w komplecie. I nie do zdobycia. No bo co tu chcieć – u nas chłopy jakie były, takie były, jej wymogów zapewne żaden nie spełniał.

A potem pojawił się Kolka. Nie pamiętam, skąd się wziął, chyba nawet nie pytałem. Po prostu nowy na stacji. Szybkośmy go polubili. Ale Katia nawet uwagi na niego nie zwróciła. Dziwne trochę, bo chłop był przystojny, wysportowany i w gadce do rzeczy. No i ile można na księcia z bajki

czekać? Ale dobra, jej sprawa. W każdym razie Kolce w oko wpadła. Że Kolka, jak normalny facet, fiutem myślał, to było wiadomo. Ale że się okaże taki sentymentalny, nikt się nie spodziewał. Zaczął chodzić zamyślony, nie słuchał, co się do niego mówiło. Trzeba było ciągle powtarzać, a on tu czegoś zapomniał, tam się poparzył, szczura przypalił (z zawodu był kucharzem). Normalnie się zakochał. Po pewnym czasie przystąpił do działania. Chodził za Katią, zagadywał, z nami już prawie w ogóle przestał rozmawiać, tylko ciągle do handlarzy, i a to książka, a to spinka do włosów, a to znowu czekolada. Skąd brali tę czekoladę i gdzie Kolka takich obrotnych znalazł, pojęcia nie mam, ale był bystry, zwinny, refleks miał, to i diabłu spod ogona by wyciągnął, jakby było trzeba. Raz nawet urządził samotny skok na osobisty magazyn komendanta. Podprowadził karton mydła i pastę do zębów. I zaczął się myć. Chodził pachnący, aż w nosie kręciło. Chłopaki się z niego nabijały, pociągały nosem, kasłały ostentacyjnie na jego widok, ale on nic sobie z tego nie robił.

Żarty się skończyły, gdy pewnego dnia zauważono, jak Kolka z Katią spacerują po peronie i trzymają się za ręce. Niejednemu gul skoczył z zazdrości, ale nikt nie wątpił, że na ten uśmiech losu Kolka zasłużył jak mało kto. Trwało to ze dwa tygodnie. Potem pewnego razu idę, patrzę, a tu przy ognisku siedzi Kolka, gęba czarna od sadzy, ubranie brudne, po zapachu mydła ani śladu, tylko samogonem śmierdzi, że aż nos zatyka. Zdziwiłem się, bo przez tę Katię alkohol w ogóle odstawił. No i okazało się, że go zostawiła. Dla stalkera. Gbura, pijaka, w dodatku niskiego, ale stalkera.

– No to weź i ty zostań stalkerem – mówię. – Młody jesteś, sprawny, szanse masz spore. Odbijesz ją jeszcze. A przy jakiejś okazji z tamtym wyjdziesz, wystawisz go gdzieś, szlag go trafi. A ona z czasem zrozumie, jaki błąd popełniła.

– Kiedy mnie nieśpieszno na górę. Ja bym chciał… Dom, dzieci, normalną pracę…

Diabelska logika. Do stabilizacji życiowej baba potrzebna. A babie potrzebny awanturnik, gieroj.

No nic, zostanę i ja gierojem.

Z Katią skończyło się tak, że w końcu strasznie zaczęło ją ciągnąć na górę, ciekawić, jak tam wszystko wygląda, jak słońce wschodzi, gwiazdy świecą, ptaszki śpiewają. No i ten jej stalker jakoś tam zakaz obszedł i wyszli razem. A potem słuch po nich zaginął. Niektórzy mówią, że się urządzili na powierzchni i żyli długo i szczęśliwie. Ale tyle w tym prawdy co w opowieściach, w które wierzy Miszka. A Kolka od tamtej pory już nie wytrzeźwiał.

Ja natomiast, trzeźwy, wyspany i nawet nie tak bardzo wystraszony, ruszyłem o poranku do magazynu po przydział sprzętu na wyjście. Smutny był już na miejscu, w kombinezonie, z kałasznikowem na ramieniu, ale jeszcze z odkrytą twarzą. Na mój widok skinął niedbale głową. Zanim zdążyłem podejść do zaopatrzeniowca, spomiędzy rzędów metalowych szafek wysunęła się drobna postać Miszki. Chłopak podszedł do naszego przewodnika i wyprężył się, rzucając pytające spojrzenie zza okrągłych szkieł.

Twarz Smutnego skrzywiła się z dezaprobatą. Mężczyzna postąpił krok naprzód i zaczął poprawiać elementy ekwipunku ucznia. Tymczasem ktoś poklepał mnie w plecy, a gdy się odwróciłem, ujrzałem chudego mężczyznę wręczającego mi stertę zielonych gumowanych szmat. Po chwili Smutny zabrał się i do moich zamków i pasków, przeglądając przy okazji zawartość torebek (latarka, lornetka, opatrunki), gęsto poupinanych wokół bioder. Prawdziwa matka.

Złapało mnie, gdy staliśmy przed ogromnymi drzwiami śluzy, wykonanymi z metalowych elementów połączonych grubymi nitami. Wejście do piekła. Nogi zrobiły się cieniutkie jak dwa druciki, za to guma maski stała się gruba jakby na trzy palce. Świat za szkiełkami wydał się odległy o całe kilometry. Miałem ochotę zedrzeć z siebie całe wyposażenie i czym prędzej rzucić się do ucieczki. Pobiec jak najdalej od nieznanego,

pełnego potworów świata bez sufitu, wpaść do namiotu i szybko zapiąć wejście, a potem zakutać się w śpiwór i nigdy już nie wychodzić.

– Maksym, wszystko dobrze? – Głos Smutnego nieco mnie otrzeźwił. Z pewnością byłem tak blady, że dało się to dostrzec pomimo maski.

– Dobrze, dobrze – odparłem powoli. Robiłem wszystko, żeby jakoś wziąć się w garść. Wyobraziłem sobie Katię odchodzącą w tej swojej krótkiej kiecce w siną dal ze stalkerem (w tej roli oczywiście ja), a gdy to nie pomagało, przywołałem obraz wiadra z pieczarkami do obrania. Ten drugi obraz okazał się skuteczniejszy.

– Nawet bardzo dobrze – dodałem nieco pewniej.

No i ruszyliśmy.

Na zewnątrz dopiero zaczynało świtać. Wielkie ściany bloków mieszkalnych przybrały dziwny różowawy odcień. Wiatr przetaczał plastikowy woreczek po spękanym asfalcie. Przewrócony do góry kołami samochód ze zgrzytem kiwał się na krzywiźnie dachu. Smutny rozejrzał się, po czym dał sygnał do wymarszu na środek ulicy. Coś małego przebiegło w poprzek szosy. Serce zabiło mocniej. Miszka szybkim ruchem odprowadził znikający cień lufą karabinu. Przewodnik, widząc to, pogroził chłopakowi palcem.

Po dwóch, może trzech minutach dotarliśmy do skrzyżowania. Za nim wielkopłytowe osiedle kończyło się, ustępując miejsca rzędom parterowych budynków, w większości porośniętych niebieskawym bluszczem o ogromnych liściach. Uświadomiłem sobie, że jestem już na tyle doświadczony, że potrafię uznać, które rośliny mają „przepisowe” rozmiary. Poczułem dumę.

Smutny zatrzymał się przy podjeździe prowadzącym do garażu obok jednego z domów i gestami kazał nam ustawić się po obu stronach metalowej bramy. Czyli że my mamy zostać na czatach, a on sam załatwi sprawę.

Będzie dobrze.

Tyle że ledwie wysoka sylwetka naszego opiekuna zniknęła za skrzypiącymi drzwiami przybudówki, Miszka podskoczył, wskazując

palcem w stronę dachu czerwieniejącego sporo ponad szczytami otaczających go budynków, jakieś dwa podwórza od nas. Zrozumiałem, co się święci. Stanowczo pokręciłem głową. Mój towarzysz postukał w zegarek, po czym uniósł dłoń, prostując palce. Pięć minut.

– Nie ma mowy – powiedziałem głośno, ale on już biegł wąskim chodnikiem w kierunku swojego domu widma. Po chwili skręcił w przerwę w zapuszczonym żywopłocie i straciłem go z oczu.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu zostałem sam. W zasięgu wzroku dziesiątki metrów i ani jednego człowieka. Kropelka potu spadła z brwi i połaskotała mnie w policzek, a ja poczułem panikę na myśl, że w tym momencie byłem bezradny wobec takiej błahostki.

Sekundę później moją uwagę odwróciło coś innego. W oknie małej willi po drugiej stronie ulicy dostrzegłem ruch. Ciemna plama. Nieduża, ale większa od szczura. Zabulgotało mi w kiszkach. Brakowało tylko, żebym się zesrał. Plama znów się poruszyła. Przypomniałem sobie o lornetce przypiętej do pasa. Starając się nie wydać najcichszego szmeru, wyciągnąłem ją i podniosłem do oczu. To coś miało cętki. Żbik. Smutny uczył, że w tej dzielnicy jest ich pełno. Nie wiadomo dlaczego. Trochę większe od kotów, za to agresywne jak piranie.

Jednak prawdziwa niespodzianka dopiero na mnie czekała. Gdy opuściłem lornetkę, ujrzałem, jak od strony, w którą uciekł Miszka, pełznie ku mnie ogromny ślimak. Wyglądał jak zwykły winniczek (widziałem takiego w atlasie zwierząt), z tym że jego muszla miała dobrze ponad pół metra średnicy. Z mlaskiem ruszył ku jezdni, zostawiając za sobą grubą warstwę śluzu, który momentami zdawał się fosforyzować.

Tym razem zachciało mi się rzygać.

Po chwili zza żywopłotu wyłonił się kolejny okaz, jeszcze większy, jeszcze bardziej obślizgły. W panice rozejrzałem się za moimi towarzyszami. Krzyczeć? Nie krzyczeć? Czy to cholerstwo coś usłyszy? A co na to żbik?

Miszka najwyraźniej nie zaprzątał sobie głowy podobnymi rozważaniami. Usłyszawszy jego wrzask, odruchowo rzuciłem się

w kierunku domu widma, szalonym slalomem omijając ślimaki. Dziwne, podejrzewałbym siebie o skłonność do ucieczki, a tu taka bohaterska szarża. W mgnieniu oka dotarłem do podwórza rozpościerającego się przed okazałym gmachem. Mój kompan, drąc się wniebogłosy, stał jak sparaliżowany. Otaczało go kilkanaście dorodnych winniczków, które spokojnie sunęły w jego stronę.

Moje myśli galopowały jak szalone. Z kolei przeciwnik, szczęśliwym trafem, do najszybszych nie należał.

– Do mnie! Szybko! – krzyknąłem.

Miszka ani drgnął.

– Zdążysz!

Nadal nic. Spojrzałem na bluszcz wyrastający z ziemi tuż za plecami chłopaka.

– Balkon!

Miszka podskoczył, obejrzał się, skoczył zwinnie ku grubemu pnączu i bez trudu wspiął się na niewysoką balustradę. Potrzebowałem zaledwie kilku kroków, by go dogonić. Gdy obaj byliśmy na górze, bez namysłu sięgnąłem po latarkę, po czym skierowałem promień światła w okno naprzeciwko garażu.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął Miszka.

– Wabię żbika.

– Kogo?

Tymczasem drapieżnik pojawił się w mgnieniu oka i z dzikim pomrukiem zaczął rozszarpywać jednego mięczaka. Zupełnie nie zauważyłem, kiedy pozostałe zdążyły pochować się do muszli.

Wyciągnąłem makarowa. Próbowałem wymierzyć, ale zwierzę, szalejąc wśród galaretowatych kawałków swojej ofiary, rzucało się z niewiarygodną szybkością.

Pozostawało znaleźć tylne wyjście z budynku i liczyć, że od drugiej strony nikt na nas nie czeka. Kiepski plan.

– Do środka! – rzuciłem, ale w tym samym momencie rozległ się strzał. Żbik znieruchomiał w kałuży krwi powoli mieszającej się z zielonkawym

śluzem. Za płotem stał Smutny z karabinem w rękach.

– Szybko! – warknął.

Nie pamiętam, jak znaleźliśmy się znów na osiedlu. Podążaliśmy za Smutnym aż do zejścia, za którym czekał właz.

Wspomnienia kolejnych chwil przypominają zdjęcia przeglądane pośpiesznie jedno po drugim. Śluza, dezaktywacja, oględziny dokonane pobieżnie przez jakiegoś faceta w pożółkłym kitlu i chudzielec z magazynu rozliczający nas ze sprzętu. A potem siarczysty policzek wymierzony Miszce przez Smutnego. Przy okazji otrzeźwiałem i ja.

Opiekun wyrzucił z siebie stek wyzwisk, jakiego na próżno szukać nawet w bibliotece wujka Olega. Nie wrzeszczał. Cedził słowa przez zęby, prawie szeptem.

– Czego tam szukałeś?

– Ja…

– Milcz! Nigdy nie słyszałeś o ślimakach? Nie wiesz, co potrafią? Jeszcze trochę i byś się przekonał! – Miszka cofnął się o krok, chcąc uciec przed wściekłym spojrzeniem. – Nasłuchałeś się opowieści? Ciekawe były? Bo miały być. Sztab sam rozpuszcza te brednie po to, żeby korciło takich cymbałów jak ty. Nikt o zdrowych zmysłach nie poszedłby tam z własnej woli. Tylko jedna rzecz jest nie do zwalczenia. Ta durna dziecinna ciekawość. To zawsze na was działa, wy skończone dupki. Chcesz wiedzieć? Jeszcze ci nie powiedzieli? Ja ci powiem. Prowadzili tam eksperymenty nad neutralizowaniem promieniowania jonizującego. Radiacja po wybuchach zrobiła coś, czego nikt się nie spodziewał. Powstało tam silne źródło fal, które uszkadzają mózg. Każdy, kto tam wejdzie i zdoła przeżyć, wychodzi z przysmażonym ciałem migdałowatym i odczuwanie strachu jest u niego porządnie zaburzone. Dlatego podpuszcza się i wysyła tam co sprawniejszych. A ty się do nich nie zaliczasz, więc dostałeś rozkaz: trzymać się z daleka! Rozumiesz?

– Kosmonauci… – wyszeptał chłopak.

– Tak, kosmonauci, nieustraszeni, pójdą w ogień albo w paszczę samego komendanta, bo nie pamiętają, że jak coś jest niebezpieczne, to

należy przed tym spieprzać. A ty nie powinieneś w ogóle zostawać stalkerem. Gdyby nie twój ojciec…

Smutny odwrócił się i spojrzał na mnie. W jego oczach dostrzegłem coś, co mogło być cieniem przerażenia. Jakby dopiero teraz przypomniał sobie o mojej obecności. Podszedł bliżej.

– Niczego nie słyszałeś – wysyczał, dotykając palcem wskazującym mojego mostka, a potem odwrócił się i szarpnięciem zmuszając Miszkę, by poszedł za nim, ruszył ciasnym korytarzykiem.

A ja zostałem sam, ciesząc się, że uszliśmy z życiem. Bałem się jednak, że później przyjdzie i mnie ponieść konsekwencje. Rozkaz to rozkaz, miałem stać, gdzie mnie postawiono, a tymczasem porzuciłem posterunek i pobiegłem ratować tego idiotę. Ale jak miałem go zostawić na pożarcie galaretom?

Cały kolejny dzień chodziłem z kąta w kąt. Żołądek zdawał się robić to samo w moim wnętrzu. Wreszcie pod wieczór natknąłem się na Smutnego. Wpadliśmy na siebie na peronie, postaliśmy, popatrzyliśmy sobie w oczy, a potem klepnął mnie po ramieniu.

– Cześć – powiedział.

W tej sytuacji zabrzmiało to wręcz czule.

– I co? – spytałem.

– Pojutrze idziemy.

Co za ulga!

Z grubsza wszystko mi przedstawił. Teren niezbyt dobrze zbadany, daleko jak cholera, towar nieporęczny i tylko nas dwóch.

– Za każdym razem radzisz sobie coraz lepiej – skonkludował Smutny, widząc moje zdziwione spojrzenie. – Poprzeczkę trzeba ci ustawić wysoko.

Tego się nie spodziewałem. Żaden z opiekunów dotąd mnie nie pochwalił. Ale i nie opieprzył.

– Nie powinienem ci tego mówić – dodał po chwili – ale możesz mieć jakieś zadatki na dowódcę. Błyskawicznie wymyśliłeś wyjście z gównianego położenia. Nie najlepsze, ale coś pokazałeś. Można nad tobą popracować, kto wie…

No i zaczęło się. Wychodziliśmy w najgorsze rejony. W sumie przynieśliśmy z góry chyba z pół tony towaru. Straciliśmy trzy kałasznikowy i jeden noktowizor. Raz narobiłem w kombinezon. Dwa razy byliśmy wzywani przed oblicze komendanta. Po pochwałę. Giena Żarłoczny dostał rozkaz, by przydzielić nam racje lepszego żarcia. Smutny przestał być matką. Ratowaliśmy sobie nawzajem skórę tak często, że nie tylko przestaliśmy sobie za to dziękować, ale zdarzało się nam zapominać o tym niemal natychmiast i po kilku minutach potrafiliśmy już kłócić się w najlepsze o błahostki. Słowem, jak w małżeństwie, tylko spaliśmy osobno.

Trwało to ze dwa miesiące. Aż tu nagle pewnego dnia, dowiedziawszy się o kolejnym zleceniu, przyszedłem jak zwykle do dyżurki. Mieściła się na końcu peronu w dawnym sklepie z odzieżą. Na środku stała duża drewniana skrzynia służąca za biurko, za którą siedział dyspozytor Zajcew. Siwy, pomarszczony człowiek w okularach posklejanych taśmą izolacyjną. Nie wiedzieć czemu, nikt nigdy nie wyniósł z dość ciasnego pomieszczenia kilku manekinów. Niektórym brakowało rąk albo głów. Może przestroga? Zastanów się dobrze, zanim zdecydujesz się iść. Tak możesz później wyglądać. Na mnie zawsze działało. Zawsze był moment wahania. Obecność opiekuna zazwyczaj dodawała otuchy. Ale tym razem mój anioł stróż się nie stawił.

Przywitałem staruszka, który swoim zwyczajem odpowiedział skinieniem głowy, wpatrując się w notatki na pożółkłym papierze. Rozejrzałem się niepewnie.

– A Smutny? – spytałem.

– Koniec niańczenia, Maksym. Idziesz sam.

Więc to już. Cieszyć się? Wiać? A to dopiero był początek.

– Traktuj to jako egzamin – usłyszałem. Zajcew podał mi zlecenie. Rzut oka i nogi ugięły się pode mną. Koszary. Amunicja i materiały opatrunkowe. Droga prowadziła przez park Poległych. Dodać należy, że nazwę tę otrzymał nie dalej jak kilka lat temu. Kartka zadrżała mi w dłoniach.

– Komendant powiedział, że jeśli dasz radę, zostaniesz dowódcą z pominięciem ścieżki zdrowia. Osobiście zajął się kompletowaniem twojego plutonu.

– Taki jest pewien, że wrócę?

Dyspozytor wzruszył ramionami.

– Podpisujesz?

Jeśli dostanę pluton, dostanę i paskudniejsze zlecenia. Z drugiej strony grupa to grupa. I to prawdziwi stalkerzy, może nawet kosmonauci, nie jakieś żółtodzioby. Boże drogi, do wczoraj sam byłem żółtodziobem. Ale teraz – i tylko teraz – mam okazję zostać dowódcą. Samcem alfa, wydającym rozkazy, wrzeszczącym czasem nawet na lepszych od siebie. Pod warunkiem że sam nie wezmę nóg za pas.

Pomyślałem o ojcu. Dla niego wyboru nie było. Kiedy tu trafił, miał swoje lata. Żadnych szans na karierę. Ja natomiast byłem szczęśliwcem. Los dokładnie wyznaczył moment, w którym mogłem podjąć decyzję. Jeśli mam spieprzyć sobie życie, zrobię to właśnie teraz, w tej dyżurce, z Zajcewem w roli świadka.

Szybko, zanim zdążyłem się rozmyślić, wziąłem do ręki długopis, nabazgrałem swoje nazwisko i rzuciwszy papier na stół, wybiegłem na zewnątrz.

Trzy dni później znów stałem przed nitowanymi drzwiami śluzy. Podczas ostatnich wyjść przyzwyczaiłem się do ciężaru karabinu i ładownic, ściśle przylegającej gumy maski i mętnej rzeczywistości obserwowanej przez szkła. Teraz jednak wszystko znów było takie jak za pierwszym razem. Niewygodne, nieporęczne, ciężkie, straszne. I nigdzie nie widać matki, która podeszłaby, żeby wprawną ręką poprawić paski, sprawdzić zawartość toreb, pokręcić z dezaprobatą głową albo wyśmiać niedociągnięcia.

Poczułem, jak panika wzbiera we mnie, jakby ktoś pompował ją we mnie strumieniem, który lada moment rozsadzi mi głowę jak bańkę mydlaną. Żeby tylko ruszyć w stronę wyjścia, żeby tylko nie przyznać się do strachu.

Drzwi zaczęły się powoli otwierać. Widoczna za nimi przestrzeń rozszerzała się, rażąc ostrym światłem. Ręka bezwiednie powędrowała ku oczom, by je osłonić. Niektórzy twierdzą, że takie coś widzi się tuż po śmierci. Skąd oni to wiedzą? Przecież wszyscy jeszcze żyją. A może nie? Może już dawno umarliśmy i błąkamy się po piekle? Tylko gdzie te wszystkie diabły i kadzie z wrzącą smołą? Może zostały już tylko ruiny? Może piekło też już zniszczyliśmy? Nie był to dobry pomysł, żeby wpuszczać tam człowieka.

Świetlista szczelina stała się w końcu na tyle szeroka, bym mógł przez nią przejść. Może po raz ostatni. Może droga przede mną prowadzi prosto na ścianę pamięci.

Żeby tak odpędzić te myśli i wreszcie, na litość boską, zrobić parę kroków, po których siłą rozpędu pójdę już dalej przed siebie.

No dobra, słuchaj, Maksym: lepsza śmierć bohatera niż życie spędzone w zakładzie, wśród doniczek i obierków, ze smrodem nawozu w nozdrzach. To też śmierć, tyle że przez pewien czas jeszcze się oddycha, je i sra.

Ruszyłem.

Sam nie wiem, kiedy znalazłem się na skrzyżowaniu. Przystanąłem. Droga w lewo prowadziła do domków. Prosto szło się do rozwidlenia, a potem albo stadion, albo rynek, albo parę jeszcze innych, pomniejszych obiektów, które dokładnie przeczesaliśmy ze Smutnym. Park Poległych był na prawo. Niecały kilometr.

Coś zaszeleściło. Gwałtownym ruchem przyłożyłem kałasznikowa do policzka i mierząc, sam nie wiem do czego, obróciłem się szybko dookoła w poszukiwaniu ruchu. Brudny foliowy woreczek zatańczył na wietrze. Omal nie strzeliłem. Odetchnąłem głęboko, opuszczając karabin.

Postałem jeszcze chwilę, a potem, powoli niczym po zawieszonej wysoko nad ziemią linie, skierowałem się w stronę parku. Z czasem, zachęcony panującym wokół spokojem, szedłem coraz szybciej. Minąłem kilka budynków świecących czerwienią cegieł spod złuszczającego się tynku. Czarne otwory okienne wyglądały jak puste oczodoły. Uschnięte

drzewa niczym w ostatnim geście rozpaczy wyciągały kikuty gałęzi ku niebu zasnutemu szarością. Tu już nic nie żyje. Nie ma się czego bać.

Wtem z bocznej uliczki jak z procy wystrzelił czarny kształt. Zatrzymał się na środku jezdni i świecącymi na zielono oczkami spojrzał wprost na mnie. Ciało jak u człowieka, tyle że przycupnął na wszystkich czterech kończynach, jakby do chodzenia służyły mu również ramiona. Podobno tak wyglądają małpy.

Znieruchomiałem. W gardle ścisnęło, jakby kołnierz się skurczył. Czułem, że nie zdołam unieść broni. Dziwoląg wrzasnął, otwierając pyszczek pełen ostrych białych zębów. Plecy raptownie zjeżyły się dziesiątkami długich kolców.

W mgnieniu oka zawróciłem i jak szalony rzuciłem się do ucieczki. Nie obchodziło mnie, że przeciwnik z pewnością okaże się szybszy. Nieokiełznana, pierwotna siła poruszała nogami w tempie, które zdawało się przekraczać moje naturalne zdolności. Minęła chyba minuta, zanim zdałem sobie sprawę, że drę się wniebogłosy, bardzo zresztą podobnie do stwora.

Tuż przed skrzyżowaniem potknąłem się i upadłem. Zamocowana na pasku saperka brzęknęła o asfalt. Dopiero wtedy odważyłem się spojrzeć za siebie. Pusto. Spróbowałem wstać. Udało się za drugim razem. Serce waliło jak opętane.

Gdy ochłonąłem, dotarło do mnie, że zawiodłem. Siebie? Sztab? Ojca? Wszystko jedno kogo. Okazałem się tchórzem.

Też odkrycie.

Spojrzałem w kierunku drogi, którą szliśmy tamtego dnia z Miszką. Gnojek niczego się nie bał. Miał wyraźny rozkaz, a i tak nic nie było w stanie go powstrzymać. Gdybym umiał tak jak on…

I nagle przyszło olśnienie.

Głos rozsądku jakoś dziwnie łatwo dał się zepchnąć w najciemniejszy zakamarek mózgu. Za to inna myśl rozbrzmiewała jak dzwon cerkwi, który raz kiedyś usłyszeliśmy ze Smutnym. Mój największy wróg to strach. Pokonam go, pokonam i pozostałych.

Poradziłem sobie ze ślimakami. Radziłem sobie z całą masą innych okropności. Jestem lepszy od wielu, może nawet od wszystkich. Tylko strach jest przeszkodą.

Ruszyłem ku domkom.

Gnijące ciało żbika nadal leżało wśród kawałków grubej muszli, choć po galarecie nie pozostał już ślad. Gigantyczny powój miejscami zaczął usychać.

Drzwi domu widma otworzyły się w zupełnej ciszy. Dziwne, byłem pewien, że skrzypnięcie będzie słychać w całej dzielnicy. Znalazłem się w niewielkim holu. W półmroku ujrzałem strzępy dywanu i powywracane doniczki, z których wyrastały kępki niebieskich rurek. Naprzeciwko mnie majaczyło następne wejście zasłonięte bordową kotarą.

Podszedłem bliżej. Nadal się bałem. A jeśli Smutny skłamał? Jeśli ten przeklęty dom wcale nie leczy ze strachu?

Jeszcze jeden krok. Gruba tkanina okazała się podszyta setkami metalowych płytek. Uchyliłem ją i zobaczyłem następne drzwi.

Coś zaczynało się dziać, czułem to.

Nacisnąłem klamkę. Tym razem usłyszałem przeciągłe skrzypnięcie. Zajrzałem do środka i wzdrygnąłem się. Cztery ogromne czułki powoli wyginały się w moją stronę. Obślizgłe ciało winniczka pokryte było drobnymi haczykami. Bez namysłu sięgnąłem po saperkę i zdzieliłem ohydę w łeb. Cielsko w ułamku sekundy z mlaśnięciem zniknęło w muszli.

Pomieszczenie wypełniała zielonkawa poświata. Przeszklone regały otaczały metalową skrzynię spoczywającą na masywnym stole. Żarzyła się jak nafosforyzowana.

Wtedy zdałem sobie sprawę. Nie bałem się. Niczego. Lekki jak targana wiatrem foliowa torebka, upuściłem saperkę. W muszli zabulgotało. Nic mnie to nie obchodziło. Czując napływające do oczu łzy ulgi (dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo jej pragnąłem), odwróciłem się i wyszedłem, zostawiając za sobą otwarte drzwi, o które jeszcze przez chwilę postukiwały blaszki kotary.

Mijając obrośnięte bluszczem domki, rozkoszowałem się spokojem, jakiego istnienia nigdy nie podejrzewałem. Wszystko stało się proste. Dlaczego nie mogłem tak od początku?

Przeszedłszy przez skrzyżowanie, ruszyłem ku wejściu na stację. Wystukałem sygnał.

Za śluzą przywitało mnie zdziwione spojrzenie wartownika.

– Tak szybko? A gdzie towar?

– Olać towar – odparłem z dziecinnym uśmiechem. – Straciłem saperkę. Resztę możecie sobie zabrać.

Nie bałem się.

– Zaczekaj! – usłyszałem, gdy zdawszy sprzęt, ruszyłem prosto do wyjścia na peron. – A raport? Gdzie się wybierasz?

– Do Gieny Żarłocznego.

Nie bałem się. Tego, że nigdy nie zdołam dostać się do tego cholernego parku Poległych. Tego, że nigdy więcej nie wysłucham pochwały. Tego, że nigdy nie spojrzy na mnie dziewczyna choć w połowie dorównująca Katii. Może nawet żadna. Tego, że nie będę oglądał tropikalnych wysp – ba, nawet zwykłego osiedla już nie zobaczę. Nie bałem się ciasnej klitki i półek zapchanych doniczkami. Ani wiadra z obierkami, ani tego, że ojciec się wścieknie, jeśli jakimś cudem gdzieś z góry, ze stacji Wieczna, Niebiesna czy jak jej tam, dojrzy mnie marnującego sobie życie. Nie bałem się już niczego.

Zostałem gierojem.

Komodo

To, co umiera ostatnie

– Podszeptom Szatana nie wolno ufać! – grzmiał z prowizorycznej mównicy otyły siwy mężczyzna w habicie. Nisko na piersi wisiał mu olbrzymich rozmiarów stalowy krzyż. – Wydaje nam się, że wiemy o tym doskonale, jednak wciąż tak często zapominamy, że w przeciwieństwie do nas Zło nie zna odpoczynku i nigdy nie traci czujności. Ono bezustannie nas obserwuje i analizuje nasze czyny, czekając jedynie na dogodny moment do ponownego ataku. Moment zwątpienia w to wszystko, w co tutaj wierzymy i co od tylu już lat daje nam schronienie przed koszmarem czającym się tuż nad naszymi głowami. I dlatego właśnie minionej nocy straciliśmy nie jednego, ale aż czterech członków naszej wspólnoty. Trzech z nich pod wpływem namowy złych mocy złamało złożone Zakonowi Rycerskiemu przysięgi i bez przyzwolenia udało się poza bezpieczny teren świętego klasztoru! Wprost w objęcia Szatana, na pewną śmierć! – gromił dalej stuosobową grupę słuchaczy stłoczoną w kamiennej komnacie o rdzawych ceglanych ścianach.

Klecha kłamał. Jacek podejrzewał to od dawna, teraz jednak zyskał pewność. Ale nie mógł powiedzieć tego głośno. Jeszcze nie teraz.

– Tomasz, który zeszłej nocy pełnił wartę przy bramie, naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo nie tylko siebie samego i dwóch swoich kolegów, Patryka i Norberta, ale także nas wszystkich! – kontynuował kapłan z przejęciem. Wiedział doskonale, jak manipulować ludźmi, jak wzbudzić w nich poczucie winy, obawę, wreszcie strach i w konsekwencji posłuszeństwo. – Najświętsza Panienka czuwała jednak nad nami i w sobie tylko znany sposób natchnęła Janusza Kowalika, zmiennika Tomasza, by ten udał się na poranną wartę wcześniej niż zwykle. Zastał on bramę

otwartą na oścież i pomimo braku ochronnego odzienia zdecydował się ją zamknąć – zrobił pauzę, stopniując napięcie. – Podjął świadomą decyzję przyjęcia na siebie śmiertelnej dawki promieniowania radioaktywnego, bo do samego końca pozostał wierny naszej wspólnej sprawie! I to za jego męczeńską śmierć dziś będziemy się modlić. Bracia i siostry! Prośmy o wybaczenie!

Zgromadzeni w sali ludzie w odpowiedzi zgodnie uklęknęli i pogrążyli się w cichej modlitwie, przerywanej jedynie żałosnym łkaniem matki zmarłego Janusza. Ale Jacek nie. Był jedną z niewielu osób zamieszkujących podziemia Jasnej Góry, znających prawdę na temat wydarzeń minionej nocy. A przynajmniej sporą część tej prawdy, jakże odmienną od tej przedstawionej we wzniosłym przemówieniu ojca Szczepana. Tego kłamcy, manipulatora i samozwańczego króla kreciej społeczności od dwudziestu lat dogorywającej w wapiennych kiszkach wzniesienia w samym niemal sercu Częstochowy. Prawdy, którą wyjawił Jackowi Stanisław – stalker z wieloletnim stażem, jego bezpośredni przełożony w szeregach Zakonu Rycerskiego. Człowiek, który był dla Jacka wzorem. Stanisław wiedział z całą pewnością, że Tomek, Patryk i Norbert nie mogli wyjść poza teren jasnogórskich tuneli. Sam je opuścił, udając się do zabytkowego ratusza na placu Władysława Biegańskiego. I kiedy wyruszał na swoją włóczęgę, pozostawił za sobą ciężką zabytkową włócznię, którą niepotrzebnie zabrał wprost z arsenału Straży Jasnogórskiej. Oparł ją więc o zewnętrzną stronę hermetycznych wrót z zamiarem zabrania jej w drodze powrotnej. I gdy zadyszany, ale zdrów i cały powrócił przed świtem, włócznia wciąż stała dokładnie tam, gdzie ją pozostawił. Gdyby rzeczywiście opuszczał kryjówkę ktoś po nim, przewróciłby ją, a najpewniej zabrałby ze sobą. A już na pewno, uciekając, nie traciłby czasu na ponowne ustawienie jej w pierwotnej pozycji. No i przede wszystkim po co w ogóle mieliby uciekać? Bez kombinezonów ochronnych i masek przeciwgazowych nie zdołaliby przetrwać w zatrutym świecie więcej niż kilka godzin. Faktem jednak było, że tych trzech naprawdę zniknęło, a do tego w niewyjaśnionych okolicznościach Janusz

pożegnał się z życiem. Jacek wiedział, że ma spore szanse na wyjaśnienie tej zagadki i zdemaskowanie Szczepana i jego popleczników. I nie miał zamiaru zmarnować tej okazji.

***

– Dzieją się tutaj dziwne rzeczy, młody – powiedział Stanisław rozpostarty w fotelu w pokoju Jacka. – Nie jestem pewny, czy to dobry moment, aby się do tego mieszać.

– Wiesz przecież, że już dłużej nie możemy czekać – sprzeciwił się Jacek. – Grunt zaczyna się nam palić pod nogami. Powinniśmy wreszcie powiedzieć głośno, że być może jest jeszcze dla nas wszystkich szansa na lepsze życie.

– Zapomnij, widziałeś ich miny, jak przemawiał ten psychopata? – Stanisław sprowadził go na ziemię. – Wierzą w każde jego słowo i patrzą jak w obrazek. Obojętnie, z zaufania, wiary czy strachu. To tępy, zacietrzewiony lud. Okrzyknie nas heretykami i nie wyjdzie stąd nigdy, choćby wskazać mu wyjście palcem. Swoją drogą, myślę, że Patryk, Tomek i Norbert naprawdę je znaleźli.

– Mówisz o wyjściu? Też w to wierzę, a przynajmniej chciałbym… – zasępił się Jacek.

– A jak inaczej to wyjaśnisz? Po chłopakach nie pozostał ślad, a historyjka sprzedawana przez tego klechę cuchnie na kilometr, wiesz doskonale. Trzeba poczekać, aż sprawa nieco przycichnie, i samemu sprawdzić. Musimy mieć pewność.

– Zgadzam się, choć nie zwlekałbym już dłużej – Jacek obstawał przy swoim. – Jeżeli chłopcy rzeczywiście odnaleźli tunel, Szczepan i jego byczki już zaczęli węszyć, zadawać pytania. Ciebie jestem pewny nawet bardziej niż siebie samego; i Janusza również byłem. Za Pawła jednak nie ręczyłbym głową.

Stanisław zmarszczył brwi, najwyraźniej nieco urażony słowami podkomendnego.

– Paweł to porządny chłopak. Sam wiesz, że wielokrotnie ryzykował wszystko. Niczego nie wygada, wierzę w niego przynajmniej tak samo mocno jak w Janusza.

– Sądzisz, że mogli przesłuchiwać Janka? – Jacek nieświadomie zacisnął pięści. – Że jego śmierć to robota tych skurwieli?

– Może być. No, przecież nie zamykał otwartej śluzy, bo ta cały czas była zamknięta. Nie, promieniowanie nie mogło go zabić, to pewne. Postaram się to sprawdzić pojutrze, mam wtedy wyjście na powierzchnię. A ty póki co trzymaj się od tej sprawy z daleka. – Z tymi słowami Stanisław wstał, a leciwy fotel skrzypnął z wyraźną ulgą.

– Wiesz, że nie mogę ci tego obiecać – powiedział Jacek, zanim przełożony wyszedł z pokoju.

Stanisław nie usiłował z nim dyskutować. Zamiast tego uśmiechnął się pod nosem, jakby od samego początku spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi.

– Uważaj na siebie, młody – rzucił na odchodne, dając tym samym Jackowi zgodę na podjęcie działań.

* * *

Ubrany w żółty skafander przeciwchemiczny Jacek szedł korytarzem zachodnim wprost do bramy. Kroki ciężkich wojskowych butów niosły się echem i z pewnością obudziły przysypiającego wartownika. Tym razem bramy pilnował Paweł. Jacek znał go dobrze, nie tylko z Zakonu Rycerskiego, gdzie wspólnie z resztą chłopaków szkolili się na stalkerów, ale także z beztroskich lat dzieciństwa. Było ich sześciu – on sam, Janusz, Tomek, Paweł, Norbert i Patryk. Codziennie wspólnie pokonywali drogę do szkoły i z powrotem, w klasie zajmowali trzy sąsiadujące ze sobą ławki, a na przerwach najczęściej trzymali się blisko siebie. W komplecie stawili się także na autokarową wycieczkę do Częstochowy i jak się wkrótce potem okazało – razem wkroczyli do wspólnej mogiły głęboko pod powierzchnią ziemi. W przeciwieństwie do pozostałych wspomnień z dzieciństwa, dzień

wycieczki na Jasną Górę Jacek pamiętał wyjątkowo wyraźnie, jakby wydarzył się przed chwilą, a nie dwadzieścia lat temu. Często zastanawiał się, czy to dlatego, że był to ostatni dzień jego życia spędzony na powierzchni, czy też dlatego, że wówczas po raz ostatni spojrzał w oczy matki. Jako siedmiolatek nie miał szansy dostrzec w jej kasztanowym spojrzeniu niczego niezwykłego, gdyby jednak mógł zerknąć w nie dzisiaj, zapewne bez trudu wyczytałby z nich niepokój przemieszany z troską. Czasy były bardzo niespokojne i przewodzącej komitetowi rodzicielskiemu matce Jacka niełatwo przyszło podjąć decyzję o zorganizowaniu wycieczki klasowej. Niezwykle napięta sytuacja międzynarodowa oraz przerażające wieści nadawane na okrągło w większości telewizyjnych stacji informacyjnych skłaniały rodziców do trzymania swych pociech jak najbliżej. Ostatecznie jednak dzieci miały pojechać jedynie pięćdziesiąt kilometrów dalej, na dodatek pod okiem zaufanego wychowawcy Stanisława Pietrzaka. W założeniach czekał je jeden przyjemny dzień poza domem i powrót na kolację. Rodzicom nie mogło nawet przejść przez myśl, że raptem kilka godzin później cały znany im świat zostanie zmieciony przez atomowy huragan, a wycieczką nieświadomie zdołali w ostatniej chwili uchronić swoich potomków przed zgubą.

– Jacek, a dokąd to? Nie mam cię w harmonogramie. – Wyraźnie zaskoczony Paweł gorączkowo przerzucał kolejne strony wymiętoszonego zeszytu w kratkę.

W odpowiedzi Jacek wyciągnął jedynie dłoń z trzema papierosami bez filtra. W tutejszych warunkach równowartość tygodniówki odźwiernego.

– Ooo, nie, stary, wiem, o co ci chodzi! Nie ma mowy, nie wypuszczę cię poza harmonogramem, nie po tym, co się stało w nocy! – Paweł dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że kolega właśnie usiłuje kupić jego milczenie, i nie krył przerażenia.

– Paweł, nie udawaj głupszego, niż jesteś. Do tej pory powinieneś się zorientować. Żadnej ucieczki poza tunele nie było, a przynajmniej nie przez śluzę! – odrzekł zirytowany Jacek, niedbale uderzając kolegę w tył głowy.

– No, ale jeżeli nie wyszli śluzą, to gdzie się podziali? Przecież nie rozpłynęli się w powietrzu! No i Janusz! Zginął, bo zamykał uchyloną bramę!

Jacek puknął się w czoło. Paweł to dobry chłopak, ale nieszczególnie rozgarnięty. Z gatunku tych, którzy w osiedlowej paczce rozrabiaków najczęściej stoją na czatach, a podczas meczu piłki nożnej grzeją ławę. Jednak uderzenie w tył głowy ostatecznie zaczęło działać, bo przyrdzewiałe tryby rozumu Pawła nareszcie ruszyły.

– Nieee… Nie powiesz mi chyba, że znaleźli TEN tunel?! – wykrzyknął niemal na cały głos.

Jacek ponownie zdzielił go w głowę, tym razem jednak zdecydowanie mocniej.

– Zamknij się, idioto, bo wszyscy usłyszą! – zrugał go szeptem. – Nie rozumiesz, o jaką stawkę idzie gra? Klecha i jego psy już pewnie węszą i jestem prawie pewny, że to właśnie oni pozbyli się Janusza. Mogli podejrzewać, że coś wie, bo miał być zmiennikiem Tomka na bramie.

Na twarzy Pawła malował się wyraz niedowierzania.

– O, cholera, możesz mieć rację. Mogli go zabić i wymyślić całą tę bajeczkę. Mogli zabić jego, ale nie pozostałych chłopaków! Nie zdołaliby niepostrzeżenie wynieść stąd zwłok całej czwórki. Wynosili tylko Janusza, sam widziałem, jestem na zmianie od rana! Ale… – zająknął się. – …skoro podejrzewali Janusza, to oznacza, że i my możemy być na celowniku! My dwaj i Stasiek! O matko i córko, co teraz? A jak po mnie przyjdą? – plótł nerwowo, rozglądając się na boki.

– Uspokój się. – Jacek potrząsnął kolegą. – Sam widzisz, że nie możemy zwlekać. Bierz te fajki, otwieraj drzwi i ani się waż o tym wspominać komukolwiek. Idę do sali Kordeckiego sprawdzić zwłoki Janusza. Musimy mieć pewność.

– Zgoda, zgoda! Tylko błagam cię, wracaj szybko… – wyszeptał szczerze przerażony Paweł, zasuwając pod samą szyję znoszony gumowy kostium z kapturem i zakrywając usta aparatem oddechowym.

Złapał za olbrzymie pokrętło na drzwiach i zaczął mocować się z nim w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Po krótkiej chwili zamek puścił i potężne stalowe drzwi z żałosnym jękiem uchyliły się na tyle, by Jacek mógł przecisnąć się przez powstałą szparę. Przekraczając próg, odwrócił się jeszcze do Pawła.

– Jestem twoim dłużnikiem – zapewnił.

***

Jacek wspinał się ku powierzchni, oświetlając sobie drogę latarką czołową. Najpierw wzdłuż całkiem stromej kamiennej ścieżki, potem ciasnym metalowym szybem po drabinie, dalej znów tunelem. Za każdym razem kiedy pokonywał tę drogę, przechodziły go dreszcze. Wspomnienia z tego miejsca trudno mu było zaliczyć to przyjemnych, nawet jeżeli w ostatecznym rozrachunku to właśnie one uratowały mu życie. Pamiętał doskonale, jak razem z klasą, opiekunem i setkami innych osób przeciskał się nimi w podziemia Jasnej Góry. W małą sieć podziemnych tuneli wydrążonych w wapieniu jeszcze w XVII wieku, kiedy z polecenia króla Zygmunta III Wazy klasztor Paulinów zamieniono w twierdzę zdolną do przetrwania najbardziej zajadłego oblężenia. Olbrzymia praca nie poszła na marne, bowiem monumentalne mury klasztoru przetrzymały nie tylko wiele historycznych bitew, ale także atomową zagładę. Na dole wprawdzie panowało powszechne przekonanie, że ludzie przeżyli dzień sądu ostatecznego wyłącznie dzięki protekcji Matki Boskiej Częstochowskiej, ale w rzeczywistości to nie żadna mistyczna moc ani tym bardziej święta ikona wybawiła ich od zguby. Zwiedzali właśnie jedno z tutejszych muzeów, gdy dobiegł ich przeszywający ryk dziesiątek syren alarmowych zapowiadający atak z powietrza. Większość przerażonych ludzi pośpieszyła do kaplicy Cudownego Obrazu, a ci, dla których zabrakło miejsca, szukali schronienia w nawie głównej bazyliki jasnogórskiej. Na szczęście jednak wychowawca Jacka zdołał zachować resztki zdrowego rozsądku i poprowadził podopiecznych w przeciwnym kierunku, wprost do bastionu

Świętego Rocha – jedynej udostępnionej dla turystów części kompleksu znajdującej się nie tylko pod powierzchnią placu, ale także za grubymi murami twierdzy. Na miejscu okazało się jednak, że nie tylko on wpadł na ten pomysł. W ciasnych korytarzach i nieco bardziej obszernych salach muzealnych bastionu panował potworny tłok. Oszalali z przerażenia ludzie wpadali na szklane gabloty, ranili siebie i innych, wypadali przez barierki na niższe poziomy wystawowe i tratowali się wzajemnie. I wtedy przez to całe zbiegowisko przedarł się zasapany mężczyzna w białym habicie, pobrzękujący pękiem kluczy nawleczonym na olbrzymie stalowe kółko. Jeden z tych, do których należało zwracać się „proszę ojca” lub „proszę brata”, jak poinstruował ich Stanisław. Zajęty ratowaniem własnej skóry „proszę ojciec” Szczepan nie zwrócił jednak na pozostałych najmniejszej uwagi i samotnie odbił w jedną z płytkich odnóg korytarza zamkniętą na głucho solidnymi kratami. Dobierając odpowiedni klucz, zaczął majstrować przy kłódce. Najwyraźniej dostrzegł to nie tylko Jacek, bo w tłumie rozległy się okrzyki: „On ma klucze!”, „Otworzył!”, „Za nim!”, „Do tunelu!”.

Chwilę potem przepychali się już w głąb odnogi oficjalnie prowadzącej do nieodremontowanej jeszcze komnaty bastionu, a w rzeczywistości – wprost do wydrążonych głęboko w wapiennej skale tuneli. Jednak to, co tam znaleźli, nie przypominało wcale wytworu siedemnastowiecznej myśli technologicznej. Jak się okazało, na polecenie komunistycznych władz w okresie zimnej wojny tunele zaadaptowano na potrzeby tajnego bunkra mającego dać schronienie kadrze oficerskiej w razie ataku jądrowego na blok wschodni. Skalne korytarze wyłożono więc cegłą, stworzono pomieszczenia mieszkalne, jadalnię, lazaret i centrum dowodzenia, a cały kompleks wyposażono w zapasy żywności oraz oleju napędowego, agregaty prądotwórcze, systemy uzdatniania wody, filtry powietrza, gumowe kostiumy ochronne, maski przeciwgazowe, hermetyczną śluzę – słowem, we wszystko, co konieczne do przetrwania nuklearnej katastrofy. Jednak podziemny schron opracowano z myślą o maksymalnie stu

pięćdziesięciu gościach, a nim brama wejściowa z hukiem zatrzasnęła swoje podwoje, do środka weszło pięć razy więcej ludzi. Jacek pamiętał to wszystko aż nazbyt dobrze, podobnie jak to, co wydarzyło się zaraz potem. Pamiętał dobiegający gdzieś z góry stłumiony wrzask masowego przerażenia, następujący zaraz po nim potworny huk i wtórujący mu potężny wstrząs. I chwilę później kolejny, kiedy uszkodzona przez falę uderzeniową górna partia gargantuicznej wieży klasztoru zwaliła się na południowy fragment dziedzińca, by pozostać tam już na wieki. Pamiętał też pierwszy okropny tydzień pod ziemią, kiedy ludzie, szlochając, bezskutecznie usiłowali skontaktować się telefonicznie z bliskimi. I drugi, jeszcze gorszy, kiedy wyznaczony przez ojca Szczepana kwatermistrz rozpoczął oszczędne wydzielanie szybko kurczących się zapasów pożywienia, a zapędzeni pod ścianę ludzie zaczęli domagać się możliwości wyjścia na powierzchnię w celu odszukania pozostawionej tam rodziny i przyjaciół. W szturmie na hermetyczną bramę ochranianą przez wszystkie znajdujące się wewnątrz uzbrojone siły Straży Jasnogórskiej zginęło przynajmniej kilkadziesiąt osób. I wielokrotnie więcej już na powierzchni, kiedy desperatom udało się wreszcie sforsować wrota.

Pamiętał, jak stopniowo umacniała się pozycja ojca Szczepana, który z podrzędnego zakonnika w ciągu kilku zaledwie miesięcy przeistoczył się w prawdziwego mesjasza. Szukający ukojenia w wierze ludzie z dziecięcą niemal naiwnością zawierzyli prawdom przez niego głoszonym i nie przestawali wierzyć nawet wtedy, kiedy sami przymierali głodem, gdy tymczasem ich przywódca miał coraz większe trudności, by zmieścić się w habicie. Dla własnego bezpieczeństwa z ocalałych członków Straży Jasnogórskiej utworzył grupę przybocznych, dla wygody zaś – Zakon Rycerski, który przynosił mu z powierzchni wszystko, na co tylko ojciec Szczepan miał ochotę. No, i rzecz jasna, co nieco dla jego podwładnych, tak dla niepoznaki. Szybko powstał też rygorystyczny spis nakazów, zakazów i kar, na który milcząco przystała cała podziemna społeczność. Cała, z wyjątkiem Stanisława. Ten najpierw w pojedynkę, a potem do

spółki ze swoimi dorastającymi podopiecznymi nie zaprzestał przeczesywania tuneli w poszukiwaniu tylnego wyjścia. Zgodnie ze znaną od pokoleń miejską legendą, miało ono łączyć Jasną Górę z oddalonymi o jakieś piętnaście kilometrów ruinami zamku w Olsztynie. Byłaby to jedyna bezpieczna droga poza miasto, strefę największego poziomu promieniowania oraz zasięg zębów i szponów jego nowych, śmiertelnie niebezpiecznych mieszkańców. Czyżby lata spędzone na opukiwaniu ścian, badaniu ślepych zaułków i studiowaniu zgromadzonych w jasnogórskich muzeach ksiąg i przekazów wreszcie przyniosły oczekiwany skutek? Czyżby trójka poszukiwaczy z nocnej zmiany odnalazła drogę do wyjścia? Był tylko jeden sposób, aby się upewnić.

* * *

Żywiołowy taniec światła latarki czołowej po ścianach tunelu dobiegł wreszcie kresu. Jacek znalazł się w jednej z sal muzealnych bastionu Świętego Rocha, skąd już tylko kilka kroków dzieliło go od olbrzymiej sali Ojca Augustyna Kordeckiego, która od początku sprawdzała się w charakterze prowizorycznego grobowca dla zmarłych i poległych członków podziemnej wspólnoty. Zwłoki składowano bezceremonialnie jedne na drugich, omotane wyłącznie w plastikowe worki. Nie był to może najbardziej godny rodzaj pochówku, na pewno daleki od standardów przyjętych w wierze chrześcijańskiej, okazał się jednak jednym z wielu kompromisów, na jakie należało pójść, by zapewnić sobie choćby minimum komfortu. Jacek mijał ten groteskowy cmentarz za każdym razem, gdy na polecenie Zakonu wychodził z misją na zewnątrz, nigdy dotąd jednak nie przyglądał mu się z bliska. Uważał, że ludziom należy się odrobina szacunku i spokoju, jeżeli nie za życia, to chociaż po śmierci. Tym jednak razem podszedł bliżej. Ku swojej rozpaczy odkrył, że nikomu nie przyszło nigdy do głowy, by w jakikolwiek sposób znakować worki. Sięgnął po zatknięty za but nóż sprężynowy i rozciął pierwszy z brzegu. Z otworu buchnął gaz powstały w wyniku rozkładu oraz fale siwych włosów.

Nieomal krzyknął i z przerażeniem odskoczył do tyłu. Potworna pomyłka. Kolejny worek – obrzydliwe napuchnięte zwłoki zmarłego dwa tygodnie wcześniej pracownika lazaretu. Jak mu było na imię? Michał? Choć starał się zająć czymś myśli, rozcięcie każdego kolejnego worka na zmianę sprawiało mu niemal fizyczny ból i przyprawiało o mdłości. Przy siódmej próbie trafił. Krótki rzut oka na zawartość plastikowego grobu w zupełności wystarczył.

Twarz Janusza była potwornie pobita, pozbawiona niemal całego uzębienia i wykrzywiona w bolesnym przedśmiertnym grymasie. No i dziury. Dwie. Jedna mniejsza, na lewej skroni, tam gdzie wleciała kula, i większa na prawej – tam gdzie wypadła. Janusz został zamordowany, bez wątpienia przechodząc wcześniej przez istne piekło. Jacek nogi miał jak z waty, ale wiedział, że natychmiast musi wracać na dół. Skoro ich podejrzenia się potwierdziły, to zarówno Paweł, jak i Stanisław mogli znajdować się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Tak jak każdy obywatel podziemnej społeczności, który mógłby wydać się obłąkanemu do reszty zakonnikowi podejrzany o próbę przeprowadzenia przewrotu. Jacek wsunął nóż do buta i co sił w nogach rzucił się w drogę powrotną. Dudniło mu w głowie, w uszach słyszał wyłącznie szum krwi oraz własny oddech uwięziony w pułapce gumowej maski. Nim zdążył zaplanować jakikolwiek sensowny plan dalszego działania, znalazł się już pod bramą i zaczął uderzać pięścią o jej metalową powierzchnię. Wrota drgnęły już po drugim uderzeniu, Paweł najwyraźniej z wyjątkową niecierpliwością wyglądał jego powrotu. Jacek chciał czym prędzej wchodzić do środka, jednak zawahał się na widok twarzy kolegi. Coś było nie tak. Paweł nie miał na twarzy maski tlenowej, zwisała mu na szyi. Patrzył wprawdzie na Jacka z tym charakterystycznym głupawym uśmieszkiem, ale w oczach miał potworne przerażenie. Jacek nie zdążył zareagować. Zza drzwi wyłoniła się czteroosobowa grupka uzbrojonych w krótką broń osiłków Szczepana. Bez trudu przygwoździli Jacka do ziemi. Kątem oka przez zaparowane szkła maski dostrzegł klęczącego i zalewającego się łzami Pawła. Z daleka

słyszał jego krzyki: „Przepraszam, musiałem! Mają Staśka! Mówili, że inaczej go zabiją!”. Za nim stał klecha.

– Ty skurwielu! – Jacek szarpnął się bezskutecznie. Oczy nabiegły mu krwią.

Szczepan w odpowiedzi prychnął jedynie i gestem rozkazał swoim ludziom zabrać jeńca.

– A co z tym, szefie? – zapytał jeden z nich, wskazując Pawła.

Szczepan spojrzał z pogardą na zrozpaczonego.

– Wyprowadźcie go na spacer. Bez skafandra – rzucił niedbale.

Jackowi cały świat zawirował przed oczami, Paweł z kolei patrzył na niego w niemym otępieniu. Dwóch ochroniarzy stalowym chwytem złapało go pod pachy i żwawo pociągnęło na górę. Minęła chwila, nim z korytarza dobiegł potworny ryk Pawła, do którego najwyraźniej dopiero teraz dotarło, że prowadzony jest na egzekucję. Powolną i bolesną – od promieniowania, lub szybką, za to przerażającą – w paszczy jakiejś bestii. Co było gorsze w tej sytuacji? Sam wyrok czy pozostawiony wybór?

Jacek poczuł tępe uderzenie w tył głowy, od którego pociemniało mu przed oczami. A potem jeszcze jedno, tym razem skutecznie pozbawiające go przytomności.

* * *

Chluśnięcie brudnej i śmierdzącej uryną wody przywróciło go do świata żywych. Jacek próbował jakoś zebrać fakty, ale w głowie mu huczało. Janusz w worku, Paweł z głupim wyrazem twarzy, banda uzbrojonych drabów, Paweł prowadzony na śmierć, Szczepan… Podniósł głowę. Dokładnie naprzeciw niego, rozwalony w fotelu, siedział zadowolony z siebie zakonnik, a tuż obok niego, przywiązany do krzesła i dotkliwie pobity Stanisław. Przy wyjściu stało dwóch strażników, pewnie tych samych, którzy go tutaj przywlekli. Próbował się wyrwać, ale bezskutecznie. Też był przywiązany do krzesła. Omotane sznurem dłonie

niemal dotykały buta… Nóż. Ten mały sprężynowiec, który nosił zatknięty za lewy but. Może go nie znaleźli?

– No i jak, panowie? Było warto? – odezwał się Szczepan. – Było warto ze mną zadzierać? Było warto wprowadzać chaos w moim małym, poukładanym społeczeństwie?

– Poukładanym? – wycharczał Stanisław. – A może zniewolonym? Nie masz prawa dyktować innym, co mają robić, a czego nie. Nie masz prawa przetrzymywać ich tutaj siłą. Dobrze wiesz, że stąd jest wyjście! Gdzieś tutaj jest droga do wolności! – dokończył i splunął zalegającym mu w ustach krwawym skrzepem.

Jacek wymacał nóż. Był na swoim miejscu, co za ulga. Korzystając z tego, że klecha interesował się chwilowo Stanisławem, delikatnie go wyciągnął. Zakaszlał, aby zagłuszyć szczęk wyskakującego ostrza. Chwilę potem zaczął powolutku przecinać więzy.

– A, do wolności? – Szczepan podniósł brwi w udawanym zaskoczeniu, najwyraźniej drocząc się ze starym stalkerem. – Ty chcesz dać ludziom wolność? Chcesz im pozwolić, by robili to, co im się żywnie podoba, a nie to, co zaplanował dla nich nasz Pan?! – zaczął podnosić głos. – Nie! Ludzie nigdy więcej nie mogą być wolni! Dać im możliwość wyboru to tak jakby wręczyć im w ręce śmiercionośną broń! To jak pozwolić, aby w swojej pustej zazdrości, nienawiści i pysze wyniszczali się wzajemnie, nieśli jedynie zło, cierpienie i śmierć! Ludzie już raz byli wolni. I o ten jeden jedyny raz za dużo. Wiesz kiedy. Przed dwudziestoma laty i wcześniej, kiedy działali zgodnie z tym całym swoim głosem rozsądku. I zobacz, jak to się skończyło! Nasza cywilizacja została doprowadzona do upadku, z którego już nigdy nie będzie miała szansy się podnieść! I dobrze… I bardzo dobrze, że tak się stało! Dzięki temu ludzie znowu słuchają głosu Pana przemawiającego do nich przeze mnie! Teraz ja uchronię te zbłąkane owieczki przed nimi samymi! Teraz ja wskażę im drogę! Teraz ja zaprowadzę nowy porządek, wolny od zła, zazdrości i nienawiści. Tak… – Zrobił pauzę i uśmiechnął się z dumą. – Jaka szkoda, że nie dane wam będzie dożyć tych pięknych czasów.

– Ty jesteś nie tylko głupi, ale wygląda też na to, że kompletnie ślepy! – sprowokował go Jacek, który już niemal się uwolnił.

Klecha przestał się głupio uśmiechać i spojrzał Jackowi w oczy. Połknął przynętę.

– Byłem dzisiaj na górze, przy tej stercie trupów – kontynuował. – Próbowałeś kiedykolwiek liczyć worki z ciałami? Oprzytomniej, człowieku, tam jest już więcej trupów, niż tobie zostało owieczek. Za kilka lat nie będziesz miał komu wskazywać drogi. Ale co do jednego miałeś rację. Ludzie ulegli podszeptom Szatana. Bo to ty jesteś jego wcieleniem!

Wszystko poszło zgodnie z planem. Doprowadzony do wrzenia Szczepan zerwał się z fotela i z zadziwiającą jak na swój wiek i tuszę lekkością doskoczył do Jacka z pięściami. Ten dla niepoznaki pozwolił mu się uderzyć. Raz. Potem ku zaskoczeniu zgromadzonych zerwał się z fotela, zwinnym chwytem złapał Szczepana za szyję, drugą ręką zaś przyłożył mu ostrze do gardła. Zaskoczeni strażnicy nie mieli szansy w porę zareagować. W oczekiwaniu na kolejny ruch napastnika stanęli jak wryci. Jeden zero dla niego.

– Każ im rzucić broń w kąt i rozwiązać Stanisława! – krzyknął Jacek, w którym zdobyta przewaga obudziła nowe pokłady energii.

– Róbcie, co każe, do jasnej cholery! – rozkazał zakonnik, pocąc się przy tym obficie.

Strażnicy rozcięli więzy Stanisława i postawili go na nogi. Stary rozmasował nadgarstki i spojrzał na swojego wychowanka.

– A teraz przechodzić na przeciwną stronę pokoju, z dala od drzwi, już! – rozkazał z całą stanowczością młody, przyciskając nóż mocniej do gardła ofiary. W miejscu zetknięcia się stali ze skórą pojawiły się pierwsze krople krwi.

Strażnicy tym razem nie czekali nawet na potwierdzenie ze strony przywódcy. Jacek obrócił się, by nie tracić ich z oczu, stając plecami do drzwi wyjściowych.

– A teraz mam pytanie do ciebie, wieprzu – wyszeptał Szczepanowi do ucha. – Gdzie-jest-wyjście? – artykułował powoli, jakby jego zakładnik był opóźniony w rozwoju.

Przerażony Szczepan nie zawahał się ani przez moment.

– Tam! – krzyknął w odpowiedzi i wskazał palcem swoje przepastne łoże z wysokim zagłówkiem, zniesione tutaj przed laty przez stalkerów wprost z kwater dawnego generała zakonu.

Jacek mógł się tego domyślić. Z całego podziemnego kompleksu najmniej zbadanym zakątkiem był wszak pokój zakonnika. Wkradli się tu w przeszłości tylko dwukrotnie, szybko i nieco niedbale opukując ściany i podłogi w poszukiwaniu pustej przestrzeni po drugiej stronie. Najwyraźniej nie dość dokładnie.

– Odsuńcie to łóżko, chcę zobaczyć – tym razem to Stanisław wydał rozkaz osiłkom.

Kiedy odsunęli łoże i przygnieciony nim ozdobny karmazynowy dywan, wszystko stało się jasne. Wyjątkowo mały metalowy właz nie krył się pod nim, ale za nim, zamaskowany przez zagłówek. Więc to tędy przecisnął się Tomek, Norbert i Patryk. Musieli zostać niemal przyłapani na gorącym uczynku, bo nie zdążyli nawet poinformować o odkryciu nikogo ze swoich ani nawet zabrać jakiegokolwiek ekwipunku poza tym, który mieli przy sobie. Czy tunel, zgodnie z legendą, prowadził do warowni w Olsztynie? Czy przejście było bezpieczne, czy też zdążyły się już w nim zalęgnąć maszkary z piekła rodem? Czy jego przyjaciele mieli szansę dotrzeć na drugą stronę? Jackowi w głowie kołatało się jeszcze wiele innych pytań, żadnego z nich nie zdążył jednak wypowiedzieć na głos. Poczuł silny ból w okolicach podbrzusza. W szoku przestał dociskać nóż do tłustego karku zakonnika i Szczepan zdołał się oswobodzić. Jacek zorientował się, że grubas trzyma w dłoni swój stalowy krzyż, w całości niemal ubrudzony krwią. Jego, Jacka, krwią. Wykorzystując chwilę dekoncentracji, klecha użył krucyfiksu w charakterze broni. Wynik pojedynku został wyrównany. Jeden do jednego.

Pozbawieni zakładnika stalkerzy nie mogli już dłużej dyktować warunków. Stojący za plecami Szczepana strażnicy dobyli własnych noży. Czarnych, solidnych, z zębatymi krawędziami po tępej stronie ostrza. Z tego pojedynku ranny Jacek i pobity Stanisław nie mieli szans wyjść zwycięsko. Stary wiedział o tym doskonale. Z dzikim okrzykiem w pojedynkę rzucił się na przeciwników. Zaskoczony atakiem Szczepan przyjął uderzenie potężnej pięści wprost na nos, który w strugach krwi i przy akompaniamencie obrzydliwego gruchotu natychmiast zmienił kształt. Z dwoma byczkami nie mogło jednak pójść już tak łatwo.

– Uciekaj, młody! – krzyknął Stanisław. – Na wieżę! Wypatruj sygnału! – polecił i w tej samej chwili dostał pchnięcie w bok.

Jacek doznał olśnienia. Jasnogórska wieża, umówiony znak! Spojrzał na zegarek opasający nadgarstek. Było wpół do dwunastej. Musi zdążyć tam dotrzeć przed południem. Dopiero teraz przypomniał sobie o ich umowie sprzed lat – jeżeli komukolwiek z nich uda się w jakiś sposób dotrzeć bezpiecznie do Olsztyna, poinformuje o tym resztę, nadając codziennie o dwunastej za pomocą zwykłych „zajączków” komunikat szyfrowany alfabetem Morse’a. Stanisław poświęcił się, aby ranny Jacek miał szansę. Dziękując w duchu swemu wychowawcy, Jacek wybiegł z pomieszczenia i puścił się biegiem wzdłuż korytarza. Nie obrócił się za siebie ani razu. Znów wygrywał – dwa do jednego.

Biegł korytarzem wschodnim, a potem południowym – mieszkalnym. Mijając mieszkańców wspólnoty, na całe gardło wykrzykiwał wszystko to, czego się dowiedział. Teraz już mógł. Była to zresztą chyba jego ostatnia szansa. Wykrzyczał prawdę o śmierci Janusza i Pawła, o obłąkanym Szczepanie, o tajnym przejściu w bezpieczne miejsce, ucieczce trójki kolegów i ostatecznym poświęceniu Stanisława. Nie wiedział, czy może się to przerodzić w długo oczekiwaną rewolucję dającą społeczności szansę na lepsze jutro. Wiedział jedynie, że musi uciekać, bo tutaj zapadł już na niego wyrok. Dobiegł wreszcie do najdłuższego ze wszystkich tunelu zachodniego prowadzącego do wyjścia na powierzchnię. Kiedy już tylko kroki dzieliły go od zawieszonego na haku skafandra i bramy, usłyszał

z oddali pojedynczy strzał i ułamek sekundy potem poczuł dojmujący ból. Spojrzał na ręce. Były brudne od ciemnej, niemal czarnej krwi. Oberwał w wątrobę. Wiedział, że to koniec. Obrócił się i dostrzegł stojącego na drugim końcu korytarza Szczepana w dalszym ciągu celującego do niego z pistoletu.

– Wybieraj, gówniarzu! – ryknął klecha. – Staruch już pożegnał się z życiem, a ludzie tutaj nigdy nie uwierzą w twoje kłamstwa! Wypieprzaj stąd bez kombinezonu albo sam nafaszeruję cię ołowiem! – zakonnik nie żartował.

Mimo bólu Jacek zdołał otworzyć zawór hermetycznej grodzi i wolno truchtając, udał się kamienną ścieżką w górę. Tam, skąd nie było już powrotu. Brutalna rozgrywka dobra ze złem dobiegła końca. Remis.

***

Mijając salę Kordeckiego i wielką stertę trupów w foliowych workach, Jacek powoli tracił siły. Miał wielką ochotę przysiąść choć na chwilę, wiedział jednak, że nie zdołałby się ponownie pozbierać. Jeszcze zdąży przysiąść, jeszcze zdąży odpocząć – tam, na szczątkach wieży. Na tarasie widokowym, z którego rozciągała się panorama na całe miasto i dalej, na sąsiednie miejscowości. Ignorując wszelkie środki bezpieczeństwa, wyszedł na zewnątrz. Nie zwolnił kroku ani wtedy, gdy minął rozszarpane ciało Pawła, ani później, kiedy z trudem przeskakiwał zmasakrowane zwłoki dwóch jego katów, którzy wpadli najwyraźniej w potworną zasadzkę wraz ze swoją ofiarą. Dotarł wreszcie do schodów prowadzących na wieżę i rozpoczął mozolną wspinaczkę na górę. Najpierw po wąskich, krętych metalowych schodach, później po tych szerszych, za to dziurawych. Starał się nie patrzeć w dół, zwłaszcza że dokuczały mu zawroty głowy spowodowane znaczną utratą krwi i wdychaniem zatrutego radioaktywnego powietrza. Wiał zimny, porywisty wiatr, przyjemnie kojący rozpaloną twarz Jacka. Kiedy dokuśtykał do miejsca z widokiem na wschód, wiedział, że już może odpocząć. Opierając się o ścianę budynku, niemal bezwładnie

zsunął się na podłogę. Dokładnie w chwili gdy zegarek na jego ręce pisnął krótko, informując o nadejściu południa. Siedząc, spoglądał na rozciągający się przed nim widok. Straszny, ale hipnotyzujący zarazem. Spróchniałe zęby kamienic wyszczerzone wzdłuż bajecznych niegdyś alei, którymi corocznie z całej Polski ściągały zastępy rozśpiewanych pielgrzymów. Tysiące samochodów ciasno zawalających ulice pełne wysuszonych szkieletów ich dawnych właścicieli w ostatniej chwili usiłujących uciec poza zasięg rażenia bombardowania. Usiane czarnymi, powykręcanymi drzewami parki jasnogórskie, kiedyś zielone, pełne roześmianych dzieci, zakochanych par trzymających się za ręce i leniuchujących na trawniku obok fontanny. Ziejące tysiącem dziur wieżowce mieszkalne z wielkiej płyty, które chyba cudem tylko w większości zdołały przetrwać uderzenie. Obraz zniszczenia, pustki i braku jakichkolwiek oznak dawnego, gwarnego życia. Zimny trup, nienadający się ani do reanimacji, ani nawet do przeszczepu, choćby i kompletu organów. No i wreszcie majaczące gdzieś daleko na horyzoncie wzgórze z olsztyńską warownią na szczycie. Miejsce, w którym od tylu lat upatrywali ratunku i możliwości lepszego życia. Tak blisko i tak daleko zarazem. Czy ktoś mógł tam przetrwać? Czy rzeczywiście obszary wiejskie mogły być bardziej zdatne do życia niż miasto stanowiące główny cel wrogiego ataku atomowego? Czy jego przyjaciele mieli szansę tam dotrzeć? Jacek zerknął na zegarek. Kwadrans po dwunastej. Westchnął, znając już najwyraźniej odpowiedź przynajmniej na to ostatnie pytanie. Czuł, że na niego już czas. Zaczął powoli zamykać oczy…

Błysk.

Jacek zebrał się w sobie po raz ostatni i z trudem podniósł ciężkie jak kamień powieki. Czy coś mu się przywidziało? A może to tak właśnie wygląda to mityczne „światełko w tunelu”?

Błysk. Długi, krótki, krótki, krótki. Nie, to chyba niemożliwe.

Kolejny krótki błysk. Potem następne – długi, długi, krótki, krótki. Alfabet Morse’a.

I dalej – krótki, długi, długi, krótki.

Ktoś nadaje komunikat. I to jakby wprost z zamku.

Jeszcze jeden krótki błysk i kolejny. Chwila przerwy i znowu krótki. A po nim następne. I jeszcze. Jacek z nadludzkim wysiłkiem skupił się na komunikacie. Ale bezskutecznie, odczekał więc, aż dobiegnie końca i być może rozpocznie się od nowa. Nie zawiódł się. Wiadomość została nadana raz jeszcze. A potem ponownie. I jeszcze raz. Układała się w jedno jedyne słowo, powtarzane raz za razem – „BEZPIECZNIE”.

Jacek napawał się tym widokiem tak długo, na ile starczyło mu sił, a potem zamknął wreszcie zmęczone oczy. Tym razem już po raz ostatni. Nie mógł być pewny, czy to, co widział przed chwilą, wydarzyło się naprawdę, czy może tylko zwidziało mu się w agonii. Może to było to, co tyle lat temu zaszczepił Jackowi Stanisław i co kierowało zarówno nim, jak i pięcioma jego przyjaciółmi. To, co pozwalało mu każdego wieczoru zasypiać spokojnie i następnego ranka budzić się z ochotą do życia. To, co w tym martwym niemalże świecie zostało prawie zapomniane. To, co przeżyło zarówno Janusza, Pawła, jak i Stanisława. I co przeżyje zarówno jego samego, jak i wszystkich tych nieszczęśników dogorywających gdzieś tam pod ziemią. To, co umiera ostatnie.

Jacek miał nadzieję.

malynosorozec

Cóż zostało po jeżozwierzu?

Zostało jeszcze kilka godzin do świtu. Noc minęła wyjątkowo spokojnie. Drapieżcy chyba nie wyruszyli na łowy. Nikt nie uciekał, nie gonił. Ustała szaleńcza walka o życie. Dziwne w tym zrujnowanym świecie. Tak jakby okolica wstrzymywała oddech… W niegdysiejszym centrum miasta, między gruzami, niewielkie ognisko rzucało przerażające cienie. Siedziało przy nim troje nieruchomych ludzi. Ich oczy śledziły niespokojne ruchy olbrzymiej postaci tłumaczącej coś z wielkim przejęciem.

– Moje pragnienia są bardzo proste. No, ale jakie mogą być w takim świecie? Kiedyś bardzo chciałem… Ale nieważne. Teraz chcę tylko być z ludźmi. Znaczy przynależeć do wspólnoty. Pomagać i zasłużyć na akceptację… Czy to za wiele?

A ty czego chcesz, Brzydki? Pewnie masz niejedno marzenie? Sądząc po twojej mordzie, na pewno. Tacy jak ty zawsze dużo chcą od życia. Domagają się, żądają i biorą chciwymi łapskami to, na co uczciwy człowiek ciężko pracuje… Ha! To mi się udało, co? Uczciwy człowiek! Tak jakby zostali jeszcze jacyś na świecie… Ja sam za takiego się nie uważam… Tak, tak… Stojący tu przed wami Anton Dikobraziewicz nie jest, jak można by sądzić, prawym człowiekiem. Nawet moje sumienie nie pozostało czyste… Ale człowiek musi robić to, co musi, aby przeżyć, prawda? Nie… mówię wam, tam poza bunkrami nie jest łatwo…

Weźmy chociażby mój wygląd… Znaczy wzrost i w ogóle gabaryty to oczywiście w genach mam, ale reszta. Te… ciuchy! Łachmany śmierdzące!… Ten smród, jakby zgnilizny, rozkładu? To wszystko kamuflaż… Wszystko, żeby nie zbliżały się bestie, mutanty znaczy. I to nawet działa, choć czasem trzeba jednemu czy drugiemu łeb ukręcić. Ale

wam chyba niepotrzebny kamuflaż, żyjecie sobie bezpiecznie. Nie wychodzicie zbyt często na powierzchnię. I widzę, że uzbrojeni też jesteście nie najgorzej. Ech… tacy to pożyją…

Powiem wam, że ja też, zanim wyruszyłem w drogę do Moskwy, dobrze sobie żyłem… Schronienie pod ziemią, elektryczność, zapasy jedzenia… Kurczę, czasem to i nawet ciepła woda. Promieniowanie w okolicy niewielkie, mutantów mało… Żyliśmy sobie z moim przyjacielem Dikobrazem, nie ma co… Bo to mój przyjaciel najlepszy był, ten Dikobraz, wiecie? Uratował mi życie. Znalazł na mrozie ledwo żywego, wyleczył, zaopiekował się… Nawet czytać nauczył, taki był… Tego, co wcześniej, nie pamiętam… Dzieciństwa, rodziny, czasów sprzed wojny, w ogóle zanim mnie Dikobraz nie znalazł – nic. Nic…

Siadywaliśmy sobie z moim przyjacielem i patrzyliśmy w gwiazdy. Znaczy ja tylko chmury widziałem, ale on mówił mi, że za nimi świecą gwiazdy. Miliony gwiazd, tak mówił. I jeszcze o miastach mówił. Że one przed wojną takie rozświetlone były jak to niebo gwiaździste… Paryż, Madryt, Nowy Jork, on tam był dawno temu. I Moskwa… O, z jakim uczuciem o Moskwie opowiadał! I że metro tam takie jest, że sto tysięcy ludzi może tam nadal żyć, tak mówił… No to dlatego ja tam szedłem właśnie… Do ludzi…

Jak Dikobraz zginął, to postanowiłem iść. Nie mogłem sobie wybaczyć, że pozwoliłem mu umrzeć… Za bardzo się oddalił ode mnie i dopadły go takie jedne… A później cała reszta… Dwadzieścia dwie osoby w sumie były, oprócz mnie i Dikobraza. Ale ja ich nie widywałem w ogóle, bo oni głębiej mieszkali. Nie wychodzili wcale na powierzchnię. Tylko my dwaj chodziliśmy… Znaczy Dikobraz rzadko, ale ja to praktycznie przez cały czas. Miałem mieszkanie zaraz pod powierzchnią. Byłem stróżem i obrońcą wszystkich na dole.

No i kiedy Dikobraz zginął, ja nie mogłem dłużej zostać, no to co miałem zrobić? Musiałem zabić ich wszystkich. Nie poradziliby sobie beze mnie. A już na pewno nie przeżyliby drogi do Moskwy. No to skróciłem ich

męki, spakowałem niezbędne rzeczy i wyruszyłem… I oto jestem tu z wami…

Ale co ja przeżyłem, mówię wam. Straszny jest ten nasz świat…

Tydzień po wyruszeniu w drogę napotkałem pierwszych ludzi. Napadli mnie. Niedobrzy to byli ludzie. Dzicy jacyś. Chyba nawet kanibale. No, ale nie będą już spokojnych wędrowców gnębić. Zająłem się nimi.

W ogóle jakoś tak pecha mam do ludzi. Samych złych spotykam… no, oprócz Dikobraza i was oczywiście… Mówię wam, ile to ja się obelg nasłuchałem. Od potworów, diabłów i innych mnie wyzywali. Przez mój wygląd chyba? Ale to kamuflaż tylko, żeby mutantów zmylić. Tak mi Dikobraz doradził, więc nie zdejmuję tych łachów i maski prawie nigdy. A ile to razy ranny byłem, bo barbarzyńcy od razu strzelali i nie pozwolili dojść do słowa…

Ale te łachmany dobrze mnie chronią, a w ogóle na mnie wszystko szybko się goi. A szczęście jakie mam! Jakby mnie jakaś boska siła prowadziła. Chociaż bogów nie ma. Ludzie dawno wszystkich zabili… Wielu ludzi musiałem ukarać za to, jak mnie traktowali, żeby nie mogli innych, mniej zaradnych, skrzywdzić.

Ale nie myślcie sobie, że sprawiedliwy nie byłem. Znaczy każdemu według przewin… No i jak w osadzie zostali już sami niewinni, czyli zwykle starzy albo młodzi, albo ogólnie niezdolni do przeżycia, to im łaskę okazywałem. Szybko i sprawnie, żeby nie musieli się już męczyć… A raz to, śmieszna historia, zamknęli się w bunkrze, tunel wysadzili, mówię wam, nijak dostać się do środka nie mogłem. Ale na szczęście niedaleko taka rzeczka płynęła. Parę dni roboty, i po sprawie. Pewnie i solidnie, jakbym własnymi rękami wszystko załatwił. A że czas straciłem, to trudno, znaczy najważniejsze, że mogłem pomóc…

A z tymi mutantami to ciekawa sprawa, wiecie? Niby one takie straszne i w ogóle, ale ja tam z nimi problemów nie mam większych. Znaczy te wielkie takie to omijam szerokim łukiem. Łatwo domyślić się, gdzie takie żerują. Wielkie jak domy, a niektóre to jeszcze większe. Nie wierzycie? A ja

widziałem takie… Wasze szczęście, że jeszcze mają co jeść u siebie, bo jakby tu przylazły… A te mniejsze? Phi…

O, na przykład wilki, co mi o nich Dikobraz opowiadał. Że takie groźne w stadzie i nijak obronić się nie idzie przed nimi, jak głodne, a jak jeszcze zmutowały od tego syfu po bombach, to już w ogóle… A ja, wyobraźcie sobie, spotkałem raz w lesie stado, jedno, i mówię wam, bez rewelacji. Kręgosłupy trzaskały im jak zapałki, prawie jak ludzkie… W ogóle ile to ja tych mutantów musiałem po drodze pozabijać. Ale mi ich szkoda wcale nie było. Nie to co ludzi… Znaczy złych ludzi też nie szkoda… A dobrych jakoś mało spotkałem, a jak już, to raczej takich, co za dużych szans w tym świecie nie mieli, no to wiecie…

No to jak, myślicie, że Moskwa może poczekać? Niby marzenie Dikobraza, ale… Chyba zostanę tu trochę z wami, oczywiście, jeśli mnie przyjmiecie. W końcu w dzisiejszych czasach czegóż więcej może chcieć człowiek…?

Wokół w ruinach coś się działo. Uzbrojone postaci zbliżały się do źródła światła. Do świtu nie pozostało wiele czasu. Stalkerzy zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością towarzyszy wyszli na powierzchnię.

Olbrzym przy ognisku klepnął się w czoło, jakby sobie o czymś nagle przypomniał. Podszedł do związanych, poranionych ludzi i wyciągnął knebel jednemu z nich.

– Ty nie jesteś człowiekiem… – wyszeptał jeniec z przerażeniem. Rozległ się ryk wściekłości i odgłos miażdżonej czaszki.

Naraz otworzyli ogień. Strzelali, aż znieruchomiał. Podeszli bliżej.

Błąd.

Żeby tak dać się podejść… Dobrzy byli, nie usłyszał, jak nadchodzili. Ale jak już się wystrzelali i podeszli bliżej, wszystko poszło szybko i sprawnie. Chociaż trzeba przyznać, że nieźle mu dali w kość. I znowu na złych ludzi trafił…

No cóż… Opatrzyć rany, odpocząć, sprawdzić, czy reszta miasta poradzi sobie bez tych tu. Jeśli nie, to trudno, pomoże im. Dzień czy dwa

różnicy nie zrobią… A potem w drogę do Moskwy. Sto tysięcy ludzi. Ciekawe, czy dobrych.

PIOTR JEDLIŃSKI

ROCZNIK 1991, STUDIUJE W SZCZECINIE. PISZE OD KILKU LAT – PRAWIE DEBIUTANT (NA KONCIE JEDNO OPOWIADANIE DRUKIEM), 30 POWSTAŁE TEKSTY SŁUŻYŁY ZA POLIGON DOŚWIADCZALNY I TRAFIAŁY DO SZUFLADY. WYCHOWANY NA FANTASTYCE WSZELKIEJ MAŚCI, OD PRATCHETTA I SAPKOWSKIEGO PO LEMA I DUKAJA, ALE CZYTA WSZYSTKO, CO PRZYKUJE JEGO UWAGĘ.

KOMODO

UR. W 1987 R. W BLACHOWNI (WOJ. ŚLĄSKIE). PRODUCT MANAGER W SIECI SKLEPÓW ELEKTRONICZNYCH, PO GODZINACH – DZIENNIKARZ I PASJONAT GIER WIDEO. OD NAJMŁODSZYCH LAT ŻYWO ZAINTERESOWANY SŁOWEM PISANYM. NA KONCIE SUKCESY W SKALI LOKALNEJ ORAZ DRUKOWANY DEBIUT W PRASIE O ZASIĘGU OGÓLNOPOLSKIM.

WOJCIECH MAGIERA

ROCZNIK 1988. MIESZKA W MAŁEJ WSI GDZIEŚ NA KOŃCU ŚWIATA. WIECZNY OPTYMISTA O TYSIĄCU ZAINTERESOWAŃ: MOTOCYKLE, MUZYKA, RYSUNEK, MITOLOGIA NORDYCKA, MODELARSTWO, FILMY, TANIA WHISKY, KRWAWE KRYMINAŁY, FANTASTYKA. FAN TEORII SPISKOWYCH. WIERZY, ŻE NAPISZE WŁASNĄ KSIĄŻKĘ W KLIMATACH POSTAPO ZANIM SKOŃCZY 69 LAT.

EWA PANI_COGITO MALINOWSKA

URODZONA 12 MAJA 1990 R. W WARSZAWIE. OBECNIE STUDIUJE DZIENNIKARSTWO, PRACUJE I POŚWIĘCA SIĘ PROWADZENIU STRONY O TEMATYCE POSTAPOKALIPTYCZNEJ. UKOŃCZYŁA WARSZAWSKĄ SZKOŁĘ REKLAMY. PISANIEM ZAJMUJE SIĘ OD NIEDAWNA, A ZAMIESZCZONE TU OPOWIADANIE

Z JEJ PIERWSZYCH DZIEŁ.

MALYNOSOROZEC

ROCZNIK 1985. OD ZAWSZE ZAMIESZKUJĄCY W SKARŻYSKU-KAMIENNEJ. ZAKOCHANY W KSIĄŻKACH. CZYTA WSZYSTKO I WSZĘDZIE. OBECNIE WIĘKSZOŚĆ CZASU DZIELI MIĘDZY DWIE CÓRKI. PROWADZI STRONĘ MALYNOSOROZEC.BLOGSPOT.COM, GDZIE ZAMIESZCZA ZARÓWNO OPINIE O KSIĄŻKACH, JAK I TEKSTY WŁASNE, BĘDĄCE WYTWOREM BUJNEJ I NIEBEZPIECZNEJ WYOBRAŹNI.

PAWEŁ NASKRĘT

ROCZNIK 1985. Z ZAWODU POLITOLOG, Z PRZYMUSU BIURWA. ENTUZJASTA HISTORII ALTERNATYWNYCH, POSTAPOKALIPSY I DYSTOPII. AMATOR POLSKICH PIW REGIONALNYCH ZAMIESZKAŁY WE WROCŁAWIU.

MAREK PIETRUSEWICZ

UR. W 1979 R. W STARGARDZIE SZCZECIŃSKIM, Z WYKSZTAŁCENIA HISTORYK I ANGLISTA, PISZE OPOWIADANIA SF I FANTASY. LAUREAT MIN. IV OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU NA OPOWIADANIE FANTASY IM. KRYSTYNY KWIATKOWSKIEJ I V OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO „ŚWIETLNE PIÓRO".

TOMASZ PRZYŁUCKI

UR. W 1991 R. W RADOMIU, ZAMIESZKAŁY W WARSZAWIE STUDENT PSYCHOLOGII. ZAJMUJE SIĘ INDYWIDUALNYM NAUCZANIEM MŁODZIEŻY Z TRUDNOŚCIAMI SZKOLNYMI. STAŻYSTA W FUNDACJI DRUGA STRONA LUSTRA. BOGAMI LITERATURY SĄ DLA NIEGO NABOKOV, SOŁŻENICYN I ODOJEWSKI, ALE TO WŁAŚNIE W FANTASTYCE ODNAJDUJE NAJOD[illegible]

HORYZONTY LUDZKICH POMYSŁÓW.

UNIWERSUM METRO 2033
Portal miłośników książek z serii Metro 2033

Dołącz do społeczności portalu,
publikuj swoje teksty i grafiki,
oceniaj i komentuj twórczość innych
i bądź na bieżąco z wydarzeniami
związanymi z postapokaliptycznym światem
Dmitrija Glukhovsky'ego.

www.metro2033.pl
facebook.com/metro2033pl
twitter.com/metro2033pl

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Od wydawnictwa
Piotr Jedliński – Iteracja
Wojciech Magiera – Układanka
Ewa „Pani Cogito” Malinowska – Zwiad
Wojciech Magiera – Dom ostatnich z nas
Ewa „Pani Cogito” Malinowska – Zagłada
Tomasz Przyłucki – Pejzaże z perspektywy nieba
malynosorozec – Stary las
Piotr Jedliński – Pielgrzym
Piotr Jedliński – Demiurg
Paweł Naskręt – Czwarty tunel
Marek Pietrusewicz – Gieroj
Komodo – To, co umiera ostatnie
malynosorozec – Cóż zostało po jeżozwierzu?
Autorzy
Uniwersum Metro 2033